

Ш9Пол/п

к 84

3

Tryhorij Usacz

wybór

Nasza Księgarnia



wybór

Hryhorij Usacz

WYBÓR

*tłumaczył
Bazyli Nazaruk*



Nasza Księgarnia Warszawa 1983

Tytuł oryginału ukraińskiego
„WYBIR”

© Wydawnictwo „Wesełka”, 1978

© Copyright for the Polish edition

by I.W. „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1983

Ilustrował

WŁODZIMIERZ TERECHOWICZ

Przyjaciele

Najlepsze sny nawiedzają mnie nad ranem, kiedy już czas na przebudzenie, i dlatego nigdy nie wiem, jak miały się zakończyć. Ale zwykle nie żałuję tego. Jednak dzisiaj gotów byłem roztrzaskać budzik.

Do prawdziwej wiosny było jeszcze daleko, a ja stąpałem we śnie po tak miękkiej, delikatnej trawie, że nawet po przebudzeniu czułem na stopach jej łaskocący dotyk. Bo szedłem boso. Na spotkanie mi, w moją stronę, w muślinie porannej mgiełki, płynęła Tala. Uśmiechała się zagadkowo i wiedziałem, że muszę odgadnąć tajemnicę jej uśmiechu, koniecznie muszę. Szliśmy potem oboje zielonym polem, ale odległość między nami nie malała i to mnie dziwnie niepokoiło. „Walerij!” — bezgłośnym ruchem warg wołała Tala i w tym momencie zdawało mi się, że już zrozumiałem, co mi chciała powiedzieć, i czułem, że we mnie także dojrzało to słowo, jedyne słowo, którego jeszcze nigdy nie wymawiałem głośno... Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się nasza szkolna „dzwonniczka” — woźna Maria, zerwała kilka chabrów i zaczęła mi wymachiwać nimi przed samiućkim nosem. Delikatne te kwiatuszki tak wstrętne zaczęły dzwonić, jakby obwieszczały klasówkę z chemii.

Dzeń — dzeń — dzeń!

Obudziłem się, ale dzwonienie nie ustawało.

— Więc to ty?! — wrzasnąłem na budzik i przykryłem go poduszką. — Głupiec!

Okno wypełniał błękit poranku, na uchyłonym lufciku chwiało się księżyc i mrugał do mnie kpiąco.

— Raz, dwa, trzy... — odliczałem.

Kiedy się budzę, nie pozwalam już sobie leżeć dłużej niż dziesięć sekund. Tak jeszcze w piątej klasie zacząłem hartować swoją wolę.

— Cztery...

Dlaczego Tala się uśmiechała?

— Pięć, sześć...

Gdyby to nie był sen!

— Siedem, osiem...

A ja powiedziałbym jej to słowo!

— Dziewięć, dziesięć...

Tak czy owak powiem!

— Jedenaście...

Kiedy? Dzisiaj? Nie, nie. A jeżeli...

— Piętnaście...

Może do niej napisać?

Przed dwoma laty napisałem liścik do Tali i włożyłem go do „Trzech muszkieterów”. Tala poprosiła mnie o książkę, więc skorzystałem z okazji. „Otwórz na stronie sto trzydziestej — powiedziałem — tylko nie teraz, ale w domu”. Byłem pewien, że mój liścik magicznie na nią wpłynie i po tym nie zdoła już oderwać ode mnie wzroku. „Ty jesteś — światłość mego życia, tyś — różą mego cierpiącego serca. Jasną gwiazdą świecisz mi, o Natalio! Płatki ust twoich i kibić cyprysowa mą duszę młodzieńczą wzruszają”. Czyż jestem winien, że byłem takim idiotą? Zaczytywałem się w perskich baśniach i ogłupiałem od nich.

— Dwadzieścia cztery...

Ale jak odpisała mi Tala! „O młodzieńcze, kiedy cię widzę na rączym arabskim rumaku, z turbanem nad dumnym czołem, róża mego serca drży, niby od wiatru, który tu przybiega z wonnych sadów Taurusu”. Ona także czytała baśnie wschodnie, sam jej pożyczałem.

— Trzydzieści dwa...

Trzydzieści dwa?! Nigdy się tak długo nie wylegiwałem. Dość tego! Energicznie odrzuciwszy kołdrę, wyskoczyłem na chłodną podłogę. Gorącej głowie to pomaga. Szczególnie gdy metodą jogi postoi się trochę do góry nogami. Chłopcy w klasie naśmie-

wają się ze mnie z powodu tych hinduskich ćwiczeń. A mnie to nie wzrusza. Mogę nawet na ławce zrobić stójkę i stać na głowie przez całą przerwę.

Po krótkiej gimnastyce — gdzie jeszcze do pełnego zestawu ćwiczeń? — wyzwoliłem spod poduszki budzik. Bezczelnie wskazywał kwadrans po ósmej. Nie było już czasu, więc tylko dwa łyki wody przez nozdrza, także sposobem jogi — to całe śniadanie.

Do przystanku tramwajowego dobiegłem, kiedy wszyscy nasi „chutorianie” już tam byli.

Igor, jak zawsze, przemawiał. Byle mu dostarczyć pretekstu, zaczynał tyradę, w której nie sposób było go pohamować.

— W człowieku wszystko powinno być piękne — perorował.

— Dziękuję za naukę — poważnie rzekła Tala i uściśniła jego dłoń. — Cóż za oryginalna myśl!

— No nie, ty tylko popatrz — ucieszył się na mój widok Igor — jaki krawat pozwolił sobie założyć ten fircyk.

Teatralnym gestem wskazał na Szkipera.

— A bo co? — obruszył się ten.

Krawat rzeczywiście był beznadziejny — zielony, upstrzony czerwonymi kwiatkami. Ale Szkiper mógł zawiązać na szyi nawet pasek od maminej sukienki, byle to było coś pstrokatego. Kiedyś założył obłądną bluzeczkę, pomarańczową, z wielkimi jak talerze guzikami. Przywykliśmy już do jego strojów.

— Zawsze mnie zadziwia, Igorze, twój patos — powiedziałem. — Możesz z jednakowym uniesieniem mówić o kosmosie i o... krawacie.

— Wyczuwam tu przyszłego nauczyciela — ironicznie uśmiechnął się Igor.

— I czemu się czepiasz od samego rana?

— Przecież wygląd zewnętrzny człowieka to nie byle co — nie zamierzał uspokoić się Igor. — Powiedz, Walerij?

— Daj spokój — machnąłem ręką. — Nie zdążyłem zjeść śniadania, a ty... Jak sobie podjem, wtedy pogadamy.

— Chcesz bułkę? — zapytała Tala.

— Dasz mi w szkole... No, co z tym tramwajem?

Igor potrząsnął czupryną — zaraz strzeli nową przemowę.

— Jemu oddaj bułkę — powiedziałem do Tali — niech się wyłączy.

Igor nie obraził się, on nie obraża się nigdy.

— I z kim mi przyszło mieć do czynienia?! — odwrócił się z wyniosłą miną.

Ukradkiem spoglądałem na Talę. Wydawało mi się, że po moim wiosennym śnie zmieniła się nieco, jakby naprawdę była tam, pośród zielonego pola, i teraz szukałem na jej twarzy tego zagadkowego uśmiechu.

Od sprężonego wybuchu zadrżał poranek. To gdzieś, na niedosiężnej dla oka wysokości, samolot odrzutowy pokonał barierę dźwięku. I za chwilę ciszę wypełniły ponownie przyziemne hałasy: głosy ludzi, dalekie dzwonienie tramwaju, pośpieszne kroki po chodniku. Nadjechał tramwaj, i już mknęliśmy przez ciemny marcowy las.

Jeszcze dziesięć lat temu las ten znajdował się poza obrębem miasta. Ale stopniowo otaczały go budynki, a na zachodzie, gdzie do niego przykleił się maleńki chutor, wyrosło osiedle mieszkaniowe. Tutaj właśnie mieszkamy. Stąd też nazywają nas — „chutorianie”. „Chutorian” jest już piętnaście tysięcy. Jeździmy „do miasta” przez lasy, a w lesie spędzamy wolny czas. Jest to nasz park, choć nie ma tu asfaltowych alejek ani specjalnych atrakcji. Bylibyśmy nawet oburzeni, gdyby ktoś wpadł na pomysł uczynić coś takiego z naszym lasem. Niech żyje na swój sposób, my mu nie przeszkadzamy, a on jest nam potrzebny właśnie taki, jaki jest — z wąskimi ścieżkami pośród starych drzew, z gęstymi zaroślami, z zającem, który czasem niespodziewanie wyskoczy z gęstwiny...

— Pierwiosnki! — zawołała Tala pochylając się do okna.

— Gdzie?

— Tam — wskazała za okno.

— Jak je stąd dostrzegłaś? — spytałem z niedowierzaniem.

— A jednak dostrzegłam.

— O czym tak szepczecie? — zwrócił się ku nam Szkiper.

— Tala wypatrzyła pierwiosnki.

— Pierwiosnki? — wtrącił się Igor. — Słuchajcie, mam myśl.

Wstał niemal w tej samej chwili i, uprzejmie przepaszając pasażerów, skierował się do wyjścia. Nie potrzebowaliśmy wyjaś-

nień, ruszyliśmy w ślad za nim. Tylko Szkiper, już na przystanku, zawahał się przez chwilę.

— Nie zdążymy przecież na biologię...

Szkiper ma dwóję z biologii, dzisiaj miał zamiar ją poprawić, wczoraj zrezygnował nawet z potańcówki.

— O wielki łowco ptaków! — zeskoczył ze schodków Igor. — Czy mógłbyś choć teraz zapomnieć o „łabędziach”?

„Łabędzie” — to w naszym języku dwóje. Szkiper ma ich całe stado.

— Mogę! — krzyknął donośnie Szkiper i także wyskoczył z tramwaju.

— Oto co wiosna wyczynia z człowiekiem — rzekł Igor i z szacunkiem uklonił się Szkiperowi. — Witam pana na stacji „Prze-sieka”. Czy jego wysokość pozwoli dotrzymać mu towarzystwa?

— Pozwoli — uniósł głowę Szkiper i z wysokości swoich niemal dwu metrów obrzucił wzrokiem nasze towarzystwo. — A kim są ci ludzie?

— Waszą wysokość wita znany artysta Igor Woroniuk — powiedziałem.

Igor potrząsnął czupryną.

— Piękniejszą połowę chutorian reprezentuje wybitny architekt Natalia Zarajska.

Tala pochyliła się w pełnym gracji ukłonie.

— A ten — wskazałem palcem na siebie — to człowiek bez określonych uzdolnień, lumpen-uczeń Walerij Tkaczuk.

— Bardzo mi miło — wypiął pierś „wysoki gość”. — No więc, prowadźcie.

Nie umawiając się uprzednio, wszyscy skręciliśmy na prawo, do garbatej lipy. Jest to nasze ulubione miejsce. Stara lipa stoi nad jarem, pochyliła się nad nim, a jej pień zakrzywił się węzłowatym garbem. Jeszcze w dzieciństwie polubiliśmy ten głuchy zakątek leśny. Jakże przytulnie i tajemniczo było siedzieć na lipie i wpatrywać się w ciemność jaru. Rozłożyste konary tworzyły nad nami zielony namiot, drzewa ze wszystkich stron osłaniały nas od spojrzeń postronnych ludzi i czuliśmy się tu prawdziwymi robinsonami. Na dnie jaru sennie pomrukiwał strumyk, który, gdy tylko nie był skuty lodem, kołysał na swych przezroczystych falach nasze papierowe okręty...

Teraz strumień milczał — trzymała go w miejscu zima, która ukrywała się jeszcze po mrocznych zakątkach. Na brzegach jaru zalegał kawałkami śnieg, tulił się do drzew, kurczył pod krzakami — wszędzie, gdzie nie mogło go osiągnąć niezbyt gorące marcowe słońce. Ale ono już rosło w siłę, do niego wspinały się pąki na brzozech, ostre byliny, do niego przebijały się pierwiosnki.

Stał śmy w milczeniu koło kępi tych wzruszających kwiatków. Zawładnęło mną jakieś dziwne uczucie i zacząłem się nawet wstydzić swoich niedawnych okrzyków. Dziwne to, ale nawet Szkiper przykucnął z niewyraźną miną koło pierwiosnka, nie zrywał go, tylko ostrożnie kołysał palcem.

Pierwiosnki zjawiają się niespodziewanie. Nigdy nie odgadniesz, gdzie możesz je napotkać. Raz siny z zimna chłopiec sprzeda ci bukietek za dwadzieścia kopiejek, to znów zobaczysz pęczek pierwiosnków na przedniej szybie samochodu albo sam natrafisz gdzieś na bładoniebieski kwiatek i pomyślisz: i po cóż tak się przebijał przez grubą śnieżną pokrywę, kiedy obok jest naga ziemia? Ale nie wiedzieć czemu pierwsze pierwiosnki wykluwają się tylko na śniegu. Pewnie pragną pokazać swoim zielonym krewnym, że zima już nie jest straszna.

Nigdy nie zrywam pierwszego ujrzanego pierwiosnka. Rozgarniam wokół niego śnieg, uwalniam od zimna chwiejną łądźkę. Czyż to nie zadziwiające — lodowa kora, pod nią jakieś dziecięć centymetrów śniegu, dołem jeszcze kilka zeszłorocznych liści — wszystko to przebił cieniutki żywy oszczep.

Przykucnąłem koło kwiatu. Tala stoi nade mną i widzę jej twarz od dołu. Może dlatego zdaje mi się, że dostrzegam na jej ustach zagadkowy uśmiech. Z mojego snu.

— Weź — wstaję i w wyciągniętej ręce podaję jej pierwiosnek. Jeden jedyny. Pierwszy ujrzany tego roku pierwiosnek.

Po chwili ma już ich wielki bukiet. Eleganccy „chutorianie” obdarowują swoją „krajanke”.

— Gdyby tak zebrać pierwiosnki z różnych lasów — mówię — w jednym bukietcie...

W myśli przynoszę ten bukiet Tali.

— Po co? — pyta Tala. — Czy nie są wszystkie jednakowe?

— Nie. Na Kaukazie są zupełnie białe, na Dalekim Wscho-

dzie — niebiesko-fioletowe. A czy wiesz, jakie są nad jeziorem Seliger?

— Jakie?

— Różowe.

— Ty rzeczywiście masz w sobie coś z nauczyciela — uśmiechnęła się Tala.

— Kpisz sobie?

— A ty tego nie widzisz? — włączył się do rozmowy Igor. — Znany architekt Natalia Zarajska... Stop! — przerwał nagle. — Popatrzcie dookoła.

— Konkretnie gdzie? — rozejrzał się Szkiper.

— Zrozumcie, niedługo wszystkiego tego już nie będzie — cicho rzekł Igor.

W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że nasz hałaśliwy artysta gra jakąś nową rolę.

— Po prostu rozjedziemy się w różne strony świata — tak samo cicho ciągnął dalej Igor — i zniknie ten las, ta lipa, pierwiosnki...

Zacząłem rozumieć jego nastrój. Nieoczekiwanie zawładnął on także mną; obawiałem się, że ktoś zauważy moje wzruszenie, i dlatego, maskując przed kolegami swoje uczucie, zaśmiałem się głośno:

— Jesteś, Igorze, subiektywnym idealistą.

— A cóż to takiego? — zapytał ze smutkiem.

— To znaczy, że twoje „ja” znajduje się w centrum wszystkiego, co cię otacza, tak jakby bez tego „ja” nic nie istniało.

— E! — machnął ręką Woroniuk. — A ty, Walerij, jesteś obiektywnym baranem.

— Tylko nie kłóćcie się, błagam — poprosiła Tala.

Dziwaczka, czy nie zauważyła, z jaką czułością przykleił mi Igor tego „barana”?

Zaiste, porozrzuca nas los w różne strony i pozbawieni będziemy wszystkiego, do czego przywykliśmy od dzieciństwa, czego niekiedy dziś nawet nie dostrzegamy...

— Mam myśl! — zawołał Igor.

Zawsze ma w zanadrzu jakąś myśl. Obrzucił nas wszystkich baczny spojrzeniem.

— Czy mam do czynienia z ludźmi poważnymi?

— Tylko nie zaczynaj prelekcji — rzekła Tala.

— Dzisiaj wystąpi z odczytem Walerek. Z dziedziny pedagogiki, filozofii i innych mądrych, równie nudnych nauk. A ja... mam propozycję. Zaraz usłyszymy cztery monologi. Każdy z nas będzie mówił o sobie tak, jakby upłynęło już kolejnych dziesięć lat. Dziesięć lat po szkole. Jasne?

— Jasne — Szkiper poprawił swój niezgrabnie zawiązany krawat i wydał policzki.

— O, spójrzcie. Szkiper od razu postarzał się o dziesięć lat — powiedział Igor. — No, kim jesteś, Szkiper? Proszę mi wybaczyć, towarzyszu Łymar.

— N-no... Uczniem dziesiątej klasy...

— E, okazuje się, że chyba przeceniłem twoje możliwości. No więc, kim będziesz?

Szkiper zawzięcie myślał. Ten zapalony elegant mógł rozmyślać nad dniem jutrzejszym tylko wtedy, gdy miał odbyć się jakiś wieczorek. Jak Boga kocham, niekiedy nawet zazdrościł mu jego spokojowi. Przeżywasz każdą klasówkę, każdy egzamin, usychasz nad podręcznikami, a Szkiper przyjdzie, posiedzi w milczeniu, posłucha, jak gorączkowo powtarzasz wzory, i westchnie: „Taki zespół przyjechał — bomba. A tu... Aż głowa puchnie”. Odnośnie głowy — to oczywista przesada. Szkiper nigdy nie przeciążał swego mózgu. Najważniejsze, co usiłował zapamiętać, to dyslokacja ściągawek: kieszenie, mankiety u spodni, buty...

— Opowiadaj! — nie dawał mu spokoju Woroniuk.

— A-a, nie wiem — szczerze wyznał Szkiper. — Jeszcze zdążę...

— Jest pan idealnym optymistą — uroczyście stwierdził Igor. Szkiper uśmiechnął się dobrodusznie.

— Jedyne, o czym was mogę zapewnić: nie będę członkiem akademii nauk.

— Cóż za skromność! — zawołała Tala.

— Kolej na pana — zwrócił się do mnie Igor. — Po poprzednim treściwym monologu...

— Czas już kończyć — przerwałem mu.

— To nieuczciwe — odezwał się Szkiper. — Jestem gorszy czy jak?

— No, będę nauczycielem.

— Nie będziesz nauczycielem — z rezygnacją machnął ręką Igor.

— Będę!

— Nie.

— Znalazł miejsce na dyskusję — rozłożyłem się.

— Proszę wybaczyć, że nie ma trybuny, towarzyszu Tkaczuk.

— Idź do wszystkich diabłów!

— Nie chcę. Pójdę do szkoły teatralnej — Igor uklonił się ceremonialnie. — Przed dziesięcioma laty ukończyłem szkołę średnią i oto stoi przed wami zasłużony artysta, laureat wszystkich możliwych nagród — Igor Woroniuk. Zresztą poznaliście mnie sami — widzieliście przecież tyle spektakli i filmów z moim udziałem. — Zrobił pauzę, położył rękę na czole i podniósł wyrecytował:

— Być albo nie być? — Po czym dumnie niosąc głowę zawołał: — Być! Tak sobie powiedziałem.

Byłem nim zachwycony. Niewysoki, wysmukły, sprawiał wrażenie, jakby naprawdę stał na scenie. Jego zawsze blada twarz teraz, zdawało się, jeszcze bardziej pobladła ze wzruszenia i twórczego podniecenia. Wielkie piwne oczy płonęły natchnieniem.

— Ach, nie podoba się wam mój nos? — Igor schwycił witekę wierzbową i, dziarsko machnąwszy nią, smagnął po krzaku. — Cóż, Cyrano de Bergerac gotów jest bronić swego honoru z bronią w ręku.

I już witeką zmieniła się w szpadę.

Artysta, co tu dużo mówić. Wiemy o tym od dawna. Igor już ponad dwa lata występuje na scenie teatru ludowego, był nawet na festiwalu republikańskim, pisano o nim w gazetach. Cieszył się nieprzeciętną popularnością, głównie wśród uczennic.

— Czekam — wbił swoją witekę w ziemię Woroniuk.

— Chwileczkę — wysunęła się do przodu Tala.

Patrzyłem na nią ze zdziwieniem. Coś nieuchwytnie zmieniło się na jej twarzy, w jej całej postawie. Nie przypuszczałem nawet, że ona też może być artystką. Ale nie, to nie gra. W jej słowach pobrzmiwała lekka ironia, lecz odczuwało się za tym coś poważnego. Pewność siebie? Chyba tak.

— Szanowny artysto, zapraszam pana do nowego teatru. Jest

on zbudowany według mojego projektu. Niektórzy — Tala zerknęła w moją stronę — uważają, że z Natałki Zараjskiej nie będzie architekta. Popatrzcie na ten teatr, wejdźcie do niego. Nie, tu nie ma banalnej kurtyny. Znika ściana — i już przed wami jest scena. Cisza, rozpoczyna się spektakl. I akustyka jest tu niezwykła. Jak w starych soborach. Dotychczas nie znano tego sekretu, a ja go rozszyfrowałam. Dźwięki otaczają was ze wszystkich stron, rozlegają się w oddali i całkiem blisko. Słyszycie?...

Zaczęliśmy się wsłuchiwać w dźwięki dochodzące z otoczenia.

Krótko zaśpiewała pokrzewka i jej gwizd podchwycił kowalik. Tuk-tuk — odstukał takt leśnej melodii dzięcioł, jego czerwona czapeczka rozbłysła na pniu garbatej lipy. I dokładnie nad moją głową zachłysnął się dźwięcznym gwizdem szpak, który huśtał się na giętkiej gałązce i kołysał swoją wiosenną pieśń.

W marcowym lesie niewiele jeszcze rozbrzmiewa głosów i dzięki temu nie przeszkadzają one sobie nawzajem. Później, kiedy przylecą drozdy, kukułki, gajówki, wilgi, wątpliwe, czy ktoś zwróci uwagę na skromny świst kowalika. Ale ja zawsze odnajduję malutkiego, popielatego ptaszka, który sprawnie pomyka po drzewie, i wspominam srebrny strumień jego marcowej piosenki.

Zwyczajny szkolny dzień

Już rozwiązałem zagadkę mojego snu. Nie, nie uśmiechu Tali, o tym później, ale pojawienia się we śnie babci Marii. Był to rezultat silnego wrażenia.

Babcia Maria siedzi przy wejściu do szatni. Przyjdiesz do szkoły choćby o świcie — już siedzi. I późno wieczorem jest także na swoim miejscu. Wydaje mi się niekiedy, że ona tutaj nawet śpi. Choć nie czuje chyba takiej potrzeby, bo przecież drzemie całutki dzień. Uczniowie sami rozbierają się, sami też odbierają okrycia. Ale wystarczy tylko, by ktokolwiek wziął, powiedzmy, dwie czapki, a już babcia Maria, prawie nie otwierając oczu, huknie gromko: „A ty gdzie? Wracaj nazad!” Podobnie wołano zawracając niesforne stado cieląt. I żadne zalewanie — niby że to dla kolegi — do babci Marii nie dociera. „A cóż to, on jest panem?” — pyta zapadając w drzemkę. I cudzego pałta

nie założysz, sprawdziliśmy to już niejednokrotnie. Babcia Maria: Bóg wie jakim sposobem pamięta nasze ciuchy.

Ale nikt nie nazywa jej szatniarką. Dla wszystkich jest „dzwonniczką”. To przezwanie pozostało chyba jeszcze z czasów, kiedy biegała po szkole z miedzianym dzwonkiem. Wyobrażam sobie, ile pokoleń uczniów zapędzała na lekcje. Portrety wielu z nich można dziś obejrzeć w muzeum szkolnym: bohaterowie Wojny Ojczyźnianej, przodownicy pracy, trzej profesorowie, kapitan żeglugi wielkiej, solistka operowa... Wszyscy oni, kiedy zbierają się na naszym tradycyjnym spotkaniu absolwentów, znajdują jakieś ciepłe słowo dla babci Marii. A po spotkaniu ktoś naumyślnie weźmie dwa pałta i nasza „dzwonniczka” natychmiast podrywa się do poważnego pana ze swoim: „A ty gdzie? Wracaj nazad!”

A więc teraz o owym silnym wrażeniu.

Zepsuł się zegar elektryczny z automatycznym dzwonkiem, prawdziwa duma fizyka Josypa Owsijowycza, i babcia Maria wydobyła skądś dzwonek swojej młodości. Ale teraz brzmi on starczym, naderwanym głosem. I babcia Maria, którą przywykliśmy widzieć ciągle w jednym miejscu, biega z piętra na piętro. Biega — to wyraźna przesada. Ale wrażenie jest silne, na tyle silne, że babcia Maria odwiedziła mnie we śnie...

— Babciu Mario — podszedłem do staruszki przed rozpoczęciem lekcji — czy mógłbym dzwonić?

— Coś ty?! — zaczęła gwałtownie machać rękoma.

Zrozumiałem, że uczynię zamach na jej monopol.

— Ależ nie, proszę dzwonić sobie na zdrowie — uspokoiłem ją. — Chciałem tylko pomóc. Ma babcia jakiś sznurek?

Objasniłem jej swój pomysł i wtedy dała mi kłębek szpagatu. Kiedy po pierwszej lekcji z holu dało się słyszeć wątle dzwonienie, wyskoczyłem z klasy i spuściłem z czwartego piętra koniec sznura. Babcia Maria umocowała dzwonek, a ja szybko podciągnąłem go w górę — i za chwilę dzwonił już pełną parą.

Tak było przez dwa dni, dopóki nie naprawiono elektrycznej dumy naszego fizyka. Mógłbym uważać swoją misję za całkowicie udaną, gdyby nie Josyp Owsijowycz. Oczywiście, poruszony tym faktem, że bez jego dzwonka elektrycznego życie w szko-

le nie zamarło, czujnie wypatrywał konkurenta. No i złowił mnie.

Fizyk nieufnie oglądał moje urządzenie: zdaje się, że był zazdrosny o ten sznur, który zastąpił jego cud automatyki.

Odkołatawszy, opuściłem dzwonek do babci Marii, która odwiązała go, a ja zwinąłem szpagat w kłębek.

Josyp Owsijowycz uśmiechnął się z lekka:

— Masz tęgą głowę, Tkaczuk. Szkoda tylko, że nie sięga ona dalej niż sznur.

— Co zrobić — odezwałem się.

— Jak mówisz? — przyłożył rękę do ucha Josyp Owsijowycz, który niedosłyszy.

— W tej sprawie nic nie mogę zdziałać.

— Działa, działa — patrząc na kłębek pokiwał głową nauczyciel. — Ale urządzenie przedpotopowe.

Od naszego pierwszego spaceru do lasu upłynęło kilka dni, a ja nie wiem czemu nie mogłem zapomnieć tego poranku. Dlaczego? Przypominałem sobie, jak po mistrzowsku operował prętem łoży niby szpadą Igor. Nie, to nie to. Jak komicznie wydał policzki Szkiper. Także nie to. Tala... I dlaczego mam ukrywać przed samym sobą, że myślę tylko o niej? I o pierwszym pierwiosnku jej podarowanym.

A ona? Czy ona też pamięta?

Na chemii wyjąłem z teczki bukietik pierwiosnków i położyłem go na podręczniku. Niech przypomni Tali...

Ona jednak uważnie słuchała Nadii Charytoniwny i niczego nie zauważyła. A ja w żaden sposób nie mogłem się skupić. Patrzyłem w okno. Tam na gzymsie wróbel nastroszył piórka i poddawał się procedurze wodnych zabiegów. Siedział pod topniejącym sopel i wyczekiwał, kiedy spadnie na niego kropla. Wtedy rozpościerał skrzydła i, ćwierkając radośnie, otrząsał się energicznie. Trwało tak dosyć długo, dopóki kropla nie spadła mu na głowę. Jakież gniew go ogarnął! Uniósł głowę do góry i zaczął strofować sopel: „Ćwir! Ćwir! — Ćwierk! Ćwierk!” Według mnie, mówił on: „Nie wystarczy ci, że plecy podstawiam, to ty mi jeszcze głowę zmywasz?”

Kiedy tak sobie przetłumaczyłem to ptasie wymyślanie, nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

— Co ci jest? — zapytała Tala.

— Wróbla podsłuchiwałem.

Fuknęła na to:

— A „łabędzia” złowisz.

Wielkie rzeczy — chemia. Jeśli marzę o zakończeniu szkoły, to ta nauka o mocy cudotwórczej w moich marzeniach zajmuje niepoślednie miejsce: byle szybciej z nią skończyć.

Westchnąłem i podsunąłem Tali książkę. Pierwiosnki leżały na schemacie pieca martenowskiego.

— Twoje? — pogłaskała kwiaty.

— Już twoje...

Czułem, jak płonęły moje policzki, jakby piec jakiś buchnął mi w twarz żarem.

— Dziękuję... O, a cóż to za kwiat, Walerku?

Wśród pierwiosnków złościł się zawilec, a znalazłem go koło garbatej lipy.

— Zawilec. To już prawdziwa wiosna, Talu.

— Oj, niebawem egzaminy!

Ona odmierza czas klasówkami, pracami laboratoryjnymi, egzaminami i tak dalej, i nawet nie zauważy, jak zazielenią się drzewa, przylecą szpaki, ożyje strumień Horłycia. A może jestem wobec niej niesprawiedliwy? Dostrzegła przecież pierwiosnki w lesie, pierwsza dostrzegła...

— Nie tak znowu niebawem, jeszcze prawie trzy miesiące.

— Dwa miesiące i pięć dni.

— Tkaczuk! — zagrzmiał bas Nadii Charytoniwny. Wzdrygnąłem się. W żaden sposób nie mogę przywyknąć do potężnego głosu naszej chemiczki.

— Wydaje mi się — łagodnie uśmiechała się do mnie nauczycielka — że jesteś zbyt daleko od chemii. Pozwól mi przybliżyć cię do twojego ulubionego przedmiotu. Proszę! — Wymownym gestem wskazała na tablice.

Czy można nienawidzić jakiegoś przedmiotu i lubić nauczyciela, który go wykłada?

Do czasu poznania chemii i Nadii Charytoniwny uważałbym takie pytanie za niedorzeczne. Ale odkąd chemiczką została u nas ta małego wzrostu, ruchliwa i władająca dźwięcznym głosem kobieta, na jej lekcjach wstępują we mnie dwa uczucia: miłości i nienawiści.

Czyż jestem temu winien, że mózg mój nie przyjmuje wzorów chemicznych? Niewinne słowo „wartościowość” wywołuje u mnie paniczny strach.

A Nadiję Charytoniwnę lubię. Podoba mi się, jak energicznie prowadzi lekcje, jak zręcznie manipuluje probówkami, kolbami. Szczerze zachwycam się, kiedy w jej rękach zapalają się jakieś substancje, zmieniają swój kolor proszki, powstają błyszczące kryształki.

Teraz, kiedy już postanowiłem, że będę zdawał na pedagogikę, rozumiem ten swój stosunek do chemiczki. Do innych nauczycieli także. Przypatruję się. Nikt z moich klasowych kolegów nie wie o tym, niektórzy sądzą, że boję się chemii i dlatego nienawidzę Nadii Charytoniwny. A ona, jak przypuszczam, dostrzega toczący się we mnie pojedynek uczuć i jeszcze zacieklej maltretuje mnie chemią.

— Szybciej, Tkaczuk — huknęła Nadija Charytoniwna.

Wydobyszy się z ławki, powoli szedłem na egzekucję. Miałem ochotę ukłonić się całej klasie i rzec: „Żegnajcie, koledzy, nie wspominajcie złym słowem”.

— Technologia otrzymywania... — usłyszałem za swoimi plecami. To Tala.

— miedzi... — szepnął z prawej strony Bałabucha.

Obejrzałem się i z miną erudyty spytałem:

— Cuprum?

Nadija Charytoniwna wręczyła mi „weksel”. Jest to karteczka z pytaniami i zadankami. „Taki weksel można wykupić płacąc tylko wiedzą” — oświadczył kiedyś nasz nie splamiony grzechem prymus Pipin-jeszcze-krótszy. Stąd też powstała nazwa owych kartek.

Przejrzałem pytania i zrozumiałem, że mógłby na nie odpowiedzieć tylko Mendelejew. Może również Pipin-jeszcze-krótszy. Siedział on w pierwszej ławce, taki malutki, chudziutki, że byłoby go żal, gdyby nie głowa. Wszystko poszło mu w głowę. Największa w klasie, wchłonęła niezliczoną ilość informacji i stała się dumą całej szkoły. Teraz zazdrościłem temu kącikowi owej wzorowo-pokazowej głowy, w którym znajdowały się wiadomości z chemii.

— Czekam — niecierpliwie odezwała się Nadija Charytoniwna.

„Ja także” — powiedziałem w myśli, ukradkiem zerknąwszy na zegarek. Do przerwy pozostało całkiem niewiele.

— Czy mogę zacząć od zadania? — zapytałem.

— Bardzo proszę.

Los ulitował się nade mną. Póki zetrę tablicę, póki przeczytam treść i warunek zadania, upłynie kilka minut. Można liczyć na ratunek.

I dzwonek jednak mnie uratował. Do poniedziałku. Bo na następnej lekcji chemii muszę znowu spotkać się z nauczycielką przy tablicy — tak jakby wcale nie było przerwy. Taki zwyczaj wprowadziła chemiczka, nie ma na to rady. Trzeba będzie się w niedzielę podkuć.

— Szczęściarz! — podbiegł do mnie Szkiper i troskliwie otrzepał moją kurtkę. — Kreda...

Podlizuje się, bo zaraz mam przyjść mu z pomocą: iść do nauczyciela gimnastyki.

Mamy nowego nauczyciela wychowania fizycznego, jeszcze słabo zna uczniów, Szkiper więc to wykorzystał — przez dwa tygodnie nie chodził na jego lekcje. Tymko Bałabucha odzywał się za niego przy sprawdzaniu obecności, za siebie — basem, za niego — tenorem. A potem na odwrót, przez pomyłkę. Nauczyciel, jak się okazało, miał jednak słuch nielichy — przyłapał, Tymce obniżono ocenę ze sprawowania, a Szkiperowi grozi dwójka z wychowania fizycznego. Na okres. Nie byłoby to zbyt groźne, gdyby nie klasa maturalna. Przy tym nasza dziesiąta A podjęła zobowiązanie zakończyć okres bez żadnej dwójki.

Obaj z Igozem obiecaliśmy porozmawiać z nauczycielem. Bądź co bądź mamy mistrzostwo miasta w lekkiej atletyce, nauczyciel nas ceni.

— Wykażcie maksimum roztropności — pouczał nas Wasia Chriaś, nasz odwieczny starosta klasowy. — Róbcie, co chcecie, ale z dwójką nie wracajcie.

Zeszliśmy na parter.

Szkiper włókł się za nami i biadolił:

— Ale postarajcie się, chłopcy.

— Zamknij się! — rzuciłem mu przez ramię. — Gdybym nie głosował za tym, że cała klasa ma zakończyć okres bez złych ocen, splunąłbym teraz na twoje łyzy.

Szkiper, ma się rozumieć, nie płakał, tylko łzawił głosem:

— Nie porzucajcie na pastwę losu...

Zatrzymaliśmy się koło sali gimnastycznej i przeprowadziliśmy krótką naradę taktyczną.

— Czuję coś, że to nie przelewki — wyznałem. — Ty, Igorze, nie byłeś na tej lekcji. Semen Panasowycz uprzedził: jeżeli klasa mogła w ciągu dwóch tygodni osłaniać dezterera, to teraz musi za to ponieść konsekwencje.

— Chłopaki, jesteście przecież mistrzami — żałośnie skrzywił się Szkiper. — Powiedzcie, że ustanowicie nowy rekord...

— Ja ci zaraz guza ustanowię! — wybuchnąłem gniewem.

— Ale nie mamy już odwrotu — rzekł Igor i zamyślił się.

— Ani kroku do tyłu! — dodawał zapału Szkiper.

— Wymyśliłem — rozjaśnił się Woroniuk. — No, Szkiper, idź stąd precz. Żeby noga twoja nie stała koło sali gimnastycznej. A my, Walerij...

— Co wymyśliłeś? — spojrzałem podejrzliwie.

— Zobaczysz — potrząsnął czupryną Woroniuk. — No, jedziemy.

Popchnął drzwi i weszliśmy do sali.

Gimnastyk krzątał się koło kul. Otaczała go gromada uczniów z młodszych klas. Oczywiście, przygotowywali się do zajęć.

— Co się stało? — ujrawszy nas, zaniepokoił się nauczyciel.

Spojrzałem na Igora i zrozumiałem, że Semen Panasowycz miał wszelkie podstawy do niepokoju: taka boleść wypełniała oczy Igora, takie żałosne zmarszczki zaległy w kącikach jego ust.

— Może być nieszczęście... — wyznał cichym, wątłym głosem.

— Proszę wyjaśnić, o co chodzi? — jeszcze bardziej zaniepokoił się Semen Panasowycz.

A ja zmieszany spoglądałem na naszego artystę i niczego nie mogłem pojąć.

— Postawił pan Łymarowi dwóję — westchnął Igor. — A czy wiadomo panu, że on jest chory? Bywa, że pokręci go tak, że biedaczysko na rękach ze szkoły niesiemy. I teraz jest przykuty do łózka.

— Ale co ja mam z tym wspólnego? — zarumienił się Semen Panasowycz.

— Powiedziałem przecież: postawił mu pan dwóję — z lekkim wyrzutem rzekł na to Igor.

Wuefiak zarumienił się jeszcze bardziej. Jest jeszcze całkiem młody, w ubiegłym roku dopiero skończył studia. Cały potężny, a twarz ma delikatną i różową jak dziewczyna. Na lekcjach w starszych klasach często się rumieni, bo nasze dziewczęta bezlitośnie torturują go swoimi zalotnymi spojrzeniami.

— Przez dwa tygodnie nie uczęszczał na lekcje — już niemal usprawiedliwiał się nauczyciel.

— Przecież chorował! — ciągnął swoją melodię Woroniuk.

— Dlaczego więc nie ma zaświadczenia od lekarza?

Teraz zląkłem się nie na żarty. Co odpowie Igor na to logiczne pytanie?

— Łymar ukrywa swoją chorobę przed rodzicami — cicho, niemal szeptem odezwał się Igor. — Jego ojciec miał zawał...

Woroniuk łąał z pasją i zapamiętałe. Ja mu tylko skromnie przytakiwałem i zadreczęiałem się obawą, że Semen Panasowycz domyśli się wszystkiego. W głębi duszy czułem się paskudnie, ale zahamować biegu wydarzeń nie było już żadnej szansy.

— Łymar ma już to od jesieni — paplał dalej nasz artysta. — Jak tylko zamarzyła Horłyćia, jacyś chłopcy wybiegli na lód, i pod jednym z nich lód się zarwał. Dzieci — Igor bezczelnie zwrócił się do maluchów — czy nikt z was nie był tam przypadkiem? Nie był. No więc Szkiper, to jest Łymar, uratował dziecko. A sam przemoczył się do suchej nitki. Lodowata woda... No i teraz — ataki.

Nauczyciel, poruszony, spojrzał na mnie.

— Pewnie korzonki... — dorzuciłem, unikając jego spojrzenia.

— Dobrze, że mi to powiedzieliście — powiedział Semen Panasowycz. — Nie wystawiłem jeszcze ocen w dzienniku. Tak że... Kiedy Łymar wyzdrowieje, niech do mnie zajrzy.

Nauczyciel odprowadził nas do drzwi wejściowych. Otworzył je — i obaj zamarliłmy z wrażenia. Przed nami stał Szkiper. Jednak został tu i podsłuchiwał, jak obaj się ponizamy.

Jakąś chwilę patrzył na nauczyciela, potem na nas, a następnie rzucił się do ucieczki.

— Więc to korzonki, mówicie? — zwrócił się do mnie Semen Panasowycz.

Byłem gotów zapaść się pod ziemię. Nie myślałem o tym, że ten figiel mógł się skończyć bardzo dla nas nieprzyjemnie — niech będzie co chce. Ale teraz... Było mi okropnie wstyd.

— Rozumiem, jestem dla was... — ledwie wydobył z siebie wu-
fiak. — Idźcie.

Rzuciłem wściekle spojrzenie na Woroniuka.

Dlaczego wcześniej nie przemyśleliśmy rozmowy z nauczycielem? Nie tego kłamstwa, lecz prośby. Ale nie, Igor przejął inicjatywę w swoje ręce, a ja, niby głupie cielę, wtórowałem mu jedynie. Tak to ze mną bywa. Bo nie mam zasad.

— Idźcie — powtórzył Semen Panasowycz. — Postawię trójkę, fetujcie zwycięstwo.

I wyszliśmy. Nawet Igorowi zabrakło słów, żeby choć jakoś się wytłumaczyć.

Koło klasy spotkał nas Wasia Chriaś. Z z troskaniem przekazując stosik papierów, zainteresował się:

— W porządku?

— Ale najedliśmy się wstydu — burknąłem.

— Byle w porządku — nie odrywał się od swoich papierów starosta. — Zostawimy w tyle dziesiątą B. Tylko jeszcze przy-
ciśniemy z makulaturą — i będzie stuprocentowe...

Co właśnie będzie stuprocentowe, nie zdołałem w końcu usłyszeć, bo Wasia przypomniał sobie o czymś i pognął gdzieś korytarzem.

Zauważyłem, że w czasie przerw ganiają głównie maluchy i aktywiści. Maluchów łapią dyżurni, a aktywistów — inni aktywiści, którzy zgarniają na różne zebrania. Wasia więc oddalił się, prawdopodobnie kogoś łowić albo by jego złowiono.

— Walerku — wyjrzała z klasy Tala — gdzie się podziewa-
łeś?

— A bo co?

— Klasówka!

— Nie uprzedzano nas przecież.

— Komisja z wydziału oświaty. Na dwóch lekcjach piszemy wypracowanie.

Odetchnąłem z ulgą. Gdyby to klasówka z matematyki — zniknąłbym. Niechby potem psioczyli... Ale literatura — cóż, będę miał jeszcze jedną piątkę. I spokojnie usiadłem przy stoliku.

Zimna Lilia

Sobota, ten najprzyjemniejszy z powszednich dni tygodnia, rozpoczyna się najbardziej nieprzyjemną dla mnie lekcją.

I tu znowu paradoks. Podobnie jak miłość i nienawiść do chemii, tylko tym razem na odwrót: przedmiot ulubiony, a nauczycielka — nie.

Tak urodziwej nauczycielki nie ma chyba w żadnej ze szkół naszego miasta. A może nawet i poza jego obrębem. Nasi chłopcy już ponad dwa lata siedzą na jej lekcjach jak po komendzie baczność. Komendy tej nikt, oczywiście, nie wydał; bezgłośnie, ale nieodparcie narzuciła ją uroda Lidii Ołeksijiwny. Lili. Tak nazwali nauczycielkę literatury dziesięcioklasiści przed dwoma laty, kiedy my kończyliśmy dopiero ósmą. Właśnie wtedy, pogodnego wiosennego poranka, w naszej szkole cudownie objawiła się Lidia Ołeksijiwna.

Od samego początku podbiło nas jej zrównoważenie i spokój. Nigdy nie podnosiła swojego zadzwiająco melodyjnego głosu, mówiła miarowo, nadzwyczaj gramatycznie.

Mnie, podobnie jak wszystkich innych, zachwycały jej lekcje. Lecz niedługo. Gdzieś po miesiącu w dziewiątej klasie coś zaczęło mnie irytować w jej wypowiedziach. Myślę, że miarowy ton i melodyjność głosu, które zlewały się w zwykłą monotonię jakiegoś jednostrunowego instrumentu...

Teraz już dobrze wiem, w czym rzecz. Monotonny był nie tylko jej głos, ale wszystko, o czymkolwiek by nie mówiła.

Dotarło to do mnie, kiedy przerobiliśmy z nią kilku pisarzy. Jeden, drugi, trzeci... Ale cóż to? Lilia opowiadała — i przede mną przesuwali się bliźniacy, pisali oni jakieś jednakowe utwory, w których wszystko było starannie porozkładane na półkach: obrazy, pejzaże, środki artystyczne... Wirowały jeszcze we mnie namiętności bohaterów poematów i powieści, poruszały mnie jeszcze ich przeżycia i dlatego przestraszyłem się, że nagle wszystko to utracę. Zabrałem się do ponownego czytania tych utworów i one same, wolne od jednostronnych komentarzy nauczycielki, przywracały swoim autorom niepowtarzalne oblicza...

Myślę o tym wszystkim i kącikiem ucha słucham Lidii Ołeksiji-

wny. A ona przecież mówi coś o wypracowaniach, które pisa-
liśmy na tematy podane przez komisję z wydziału oświaty.

— Sprawdziłam jeszcze nie wszystkie. Nie zdążyłam. Ale te,
które przeczytałam, sprawiają niezłe wrażenie. Tak więc nie
macie powodów do niepokoju.

Ja nie mam obaw. Chociaż od tego wypracowania zależy moja
ocena na okres. Poprzednią pracę napisałem na piątkę, mam
nadzieję, że i ta nie jest gorsza.

Ocen z odpowiedzi ustnych prawie zupełnie nie mam: Lidia
Ołeksijiwna stara się mnie nie wywoływać do odpowiedzi. Od
tego czasu, kiedy wreszcie pojąłem, dlaczego przestały mi po-
dobać się jej lekcje, a ona w jakiś sposób dowiedziała się o tym.
Chyba wyczuła. Rzeczywiście, jako jedyny spośród wszystkich
chłopców zapomniałem o lądowaniu na komendę baczność. Za-
cząłem opuszczać jej lekcje, słuchać objaśnień nowego materiału
nieuważnie, a nawet całkowicie się wyłączać. Jak mogła tego
nie zauważyć?

A prawdziwy przełom dokonał się we mnie dzięki Sosiurze*.
Kiedy przerabialiśmy jego twórczość, nagle wszystko pojąłem.

„O, nie kochał tak nikt, bo na tysiąc lat raz — taka miłość
nam może być dana — w takim dniu wiosna zmienia nasz świat —
w kwiaty stroi się ziemia od rana”.

Znałem już tajemnicę wierszy — ważny jest nie rym, ale to,
o czym mówią. W domu, kiedy byłem sam, czytałem na głos
Sosiurę. I czułem, że żadne słowa o poecie, które słyszałem kie-
dykolwiek dotychczas, nie są w stanie wyjaśnić tych wersów.
Czułem to i szukałem tych słów, które wyrażą moje doznania.
Tak czekałem wtedy na spotkanie z Lidią Ołeksijiwną... Ona zaś
spokojnie, jak zawsze miarowo, przeczytała ten wiersz. Nie, nie
przeczytała — zacytowała. I zaczęła opowiadać o poezji Sosiury.
Ale ja już przecież słyszałem te słowa — przed rokiem, przed
dwoma laty. Tak samo opowiadała o Szewczenko**, o Łesiu Ukrain-
ce***. Otóż to, miała pewien schemat, do którego wkładała różne

* Wołodymir Sosiura (1898—1965) — poeta ukraiński, autor wierszy
lirycznych i poematów (przypisy tłumacza)

** Taras Szewczenko (1814—1861) — ukraiński wieszcz narodowy, ma-
larz, poeta, prozaik i dramaturg

*** Łesia Ukrainka (1871—1913) — wybitna poetka ukraińska

nazwiska, cytaty. Nie, nie zobojętniałem na literaturę, zobojętniałem jedynie na lekcje Lidii Ołeksijiwny. Ale nie oddałem jej mojego Sosiury, mojego Tyczyny*.

Po raz ostatni wyjaśniliśmy wzajemne stosunki właśnie przy Tyczynie.

Popeliłem nieostrożność mówiąc, że nie wszystkie jego wiersze przerabiane przez nas są tak ciekawe, jak niektóre, nie objęte programem. I zacząłem recytować poemat „Srebrną nocą”.

Lidia Ołeksijiwna spokojnie, nie podnosząc głosu, przerwała mi i poprosiła, bym nie odbiegał od tematu. Dokładnie tak powiedziała: „Nie odbiegaj od tematu”. Jak gdyby ten poemat był już dla nas czymś odległym i niedostępnym. No więc nie zgodziłem się z nią. „Ty, Tkaczuk, pozwalasz sobie na zbyt wiele »odsiebieizmu«”. Po raz pierwszy użyła niepoprawnego słowa.

— „Odsiebieizmu” — burknąłem, nie tyle już dotknięty samym błędem, ile obrażony za swój ulubiony wiersz.

Lidia Ołeksijiwna usłyszała to. I, dziwna rzecz, jej twarz pozostała spokojna i uśmiechnięta.

— A najważniejsze, czy zrozumiałeś, czego od ciebie żądam? — zapytała pobłażliwie.

I wtedy poderwałem się z miejsca.

— Najważniejsze, to wiedzieć, czego żąda ode mnie literatura — odrzekłem.

— Czegoż ona od ciebie żąda? — ze zdziwieniem, ale ciągle jeszcze z uśmiechem patrzyła na mnie nauczycielka.

— Ode mnie i od wszystkich. Myślenia.

— Najpierw trzeba poznać materiał — uśmiech znikł z jej twarzy. — Myśli powinny bazować na wiedzy.

Ja także wiedziałem, że Wołga wpada do Morza Kaspijskiego, ale mimo wszystko nie odważyłem się wygłaszać tej oklepanej prawdy. Przemilczałem. „Siadaj, dostateczny” — zwycięskim tonem oświadczyła Lidia Ołeksijiwna.

Więcej już Lilia nie wywoływała mnie do odpowiedzi. Oceniała moje wiadomości tylko na podstawie prac pisemnych. Stawiała mi tróje, czasem czwórki. A ponieważ piszę bez błędów,

* Pawło Tyczyna (1891—1967) — czołowy poeta ukraiński okresu radzieckiego

więc moje prace oczekiwał zawsze ten sam kategoryczny wyrok: temat nie wyczerpany.

I tak było, dopóki nie wtrącił się Pawło Andrijowycz, nasz wychowawca klasowy. Uratował mnie od trójek. Nie mam pojęcia, co on tam mówił do Lidii Ołeksijiwny, ale dwukrotnie był na jej lekcjach, na których wywoływała mnie do odpowiedzi. Potem dowiedziałem się, że byłem odpytywany na jego prośbę.

Za odpowiedzi uzyskałem wtedy czwórki. A za prace pisemne Lidia Ołeksijiwna zaczęła systematycznie stawiać mi piątki.

Tak oto koegzystowaliśmy.

Wydawało mi się już nawet, że Lidia Ołeksijiwna po prostu nie zauważa mnie. Gdybyż tak było. Tej soboty jeszcze nie wiedziałem, jaka niespodzianka oczekuje mnie na następnej lekcji literatury...

A póki co wszystko klarownie i precyzyjnie toczyło się ku dzwonkowi. Prawda, nieoczekiwanie wynikła mała dyskusja. Do wielkiej Lidia nie mogłaby dopuścić.

Mieliśmy zadane powtórzyć Kotlarewskiego*.

Nauczycielka wywołała Hromową. Ta, jak przystoi prymusce, odpowiedziała bezbłędnie, prawie dosłownie za podręcznikiem.

— Siadaj — pochyliła się nad dziennikiem Lidia Ołeksijiwna.

— Czy mogę o coś zapytać? — nie odchodziła od tablicy Hromowa.

— Bardzo proszę — kiwnęła przyzwalająco Lidia Ołeksijiwna.

— W filharmonii właśnie wystawiają „Eneidę”, więc chciałam...

— To kiepski spektakl — przerwała jej nauczycielka i powtórzyła — siadaj, pięć.

Piątka oczywiście miała zrekompensować zbędną ciekawość uczennicy.

Alé ja nie miałem nic do stracenia. Również oglądałem ten spektakl. Zespół dramatyczny — o charakterze nieco estradowym — ostatnio wystąpił z premierą widowiska według „Eneidy” Kotlarewskiego. Przedstawienie oglądane było chętnie, głównie przez uczniów klas starszych.

* Iwan Kotlarewski (1769—1838) — pisarz ukraiński, autor żartobliwej trawestacji „Eneidy” Wergiliusza

— A dlaczego jest to kiepski spektakl? — odezwałem się.

— Czy chcesz coś powiedzieć, Tkaczuk?

— Nie, ja chciałbym zapytać. Dlaczego spektakl jest kiepski?

— Nie będę mówiła o jego wartościach artystycznych — zwróciła się już do klasy Lidia Ołeksijwna — ale treść mnie oburza. Artyści pozwalają sobie na odbieganie od oryginału, od klasyki. Kto im dał prawo dokonywania przeróbek Kotlarewskiego?

— Kotlarewski — odrzekłem na to.

— Co Kotlarewski? — spojrzała na mnie Lidia Ołeksijwna.

— Kotlarewski dał prawo — podniosłem się. — W końcu nie tak wiele tam przerobiono. Pokazano tylko piekło ze współczesnymi grzesznikami. A czyż nie ma u nas pijaków i oszustów? No, takich typów, których wysławiał Kotlarewski. Są wśród nas. Jak relikwiny przeszłości.

— Przypuśćmy, że masz rację — uśmiechnęła się Lidia. — Ale dla mnie pozostaje niepojętym, w jaki sposób Kotlarewski dał prawo przerabiania swego poematu?

— A w taki, że on sam przerobił Wergiliusza. Nawet nie przerobił, ale jedynie wykorzystał jako punkt wyjścia, by stworzyć całkiem samodzielne dzieło. Czemu więc potomni Kotlarewskiego nie mogą posłużyć się jego metodą? Przecież on dał przykład, jak należy na nowo odczytywać...

Na tym też zakończyła się nasza mała dyskusja — przerwała ją dzwonek.

Lidia Ołeksijwna nigdy nie pozwalała sobie na pozostanie w klasie podczas przerwy, nawet na chwilę.

— Koniec lekcji — natychmiast zapomniała o mnie, pozostawiając mnie z moją nie dokończoną myślą. — Do widzenia.

I niewiarygodnie pięknym krokiem wypłynęła z klasy.

Załoga

Po szóstej lekcji wpadliśmy z Talą do bufetu, kupiliśmy pączki. Pospiesznie przeżuając i co chwila zerkając na zegarek, opowiadała mi o filmie, który mieliśmy obejrzeć. Sama go jeszcze nie widziała, ale już o nim wiedziała wszystko. Nic w tym dziwnego. — o „Słonecznikach” prawie od tygodnia toczyły się

w klasie polemiki, o niczym innym nie mówiono, jak tylko o Sofii Loren i Marcello Mastroiannim. Film był już stary, wszedł na ekrany, kiedy daleko nam było jeszcze do szesnastu lat. Teraz więc nadrabialiśmy zaległości. Nasza znana w klasie kinomanka Kuczyńska już trzykrotnie obejrzała „Słoneczniki” i wszyscy mieli dosyć jej pełnej zachwyków paplaniny.

Co prawda, erudycja jej ograniczała się do „ach” i „och”, ale mimo to niektórzy chłopcy chętnie słuchali kędzierzawej piękności.

Przypomniałem sobie, jak Tymko Bałabucha wlepił wzrok w jej usta, i uśmiechnąłem się.

— Co z tobą? — zapytała Tala.

— Cytujesz Kuczyńską.

— Nie zmyślaj.

— To prawda. Trzy razy już powiedziałaś „och” i dwa — „ach”.

Tala zaśmiała się.

— Lerku, tylko posłuchaj, co ta Kuczyńska plecie. Mówi, że to niemożliwe, aby ten... no, ten, którego gra Mastroianni, pokochał inną kobietę i zupełnie zapomniał o swojej pierwszej miłości.

— A ty myślisz, że można?

— No... weźmy choćby Kareninę.

— Ale ona przecież nie kochała swojego męża.

— Powiedzmy, ale posłuchaj tej Kuczyńskiej. Potrząsa swoimi owczymi kędziorkami i udowadnia jakiś nonsens.

— A ja myślę, Talu, że denerwują cię nie jej słowa, lecz kędziorki.

— Kędziorki także. Owca. — Jeszcze raz spojrzała na zegarek. — Zdażymy, zostało około dwudziestu minut. Chodźmy już.

Przy szatni spotkaliśmy Kostyka Botawskiego. Obiema rękami trzymał ogromny album i cały aż promieniał z radości.

— Z twojego przedszkola — uszczypliwie rzuciła Tala. — Pamiętaj, tylko nie zatrzymuj się długo.

— Widzisz, zdobyliśmy! — już z daleka uśmiechnął się do mnie Kostyk i poklepał dłońią po płóciennej oprawie.

Od dawna już szukaliśmy albumu na almanach, obeszlśmy wszystkie sklepy, ale prócz zeszytów do malowania, niczego

dotychczas nie było. A w tym albumie można umieścić wszystko, co napisali moi podopieczni.

— Gdzie jesteście? — zapytałem chłopca.

— W pierwszej A, na pierwszym piętrze.

Kostyk zawsze na mnie czeka, bo nasz klub nie ma stałego miejsca, za każdym razem musimy korzystać z wolnej klasy.

— Walerij, spóźnimy się — ubierając się w pośpiechu, zatrzymała się przed lustrem Tala.

— Talu... — zacząłem niepewnie i przerwałem, nadziawszy się na jej spojrzenie.

— Oczywiście, przedszkole. Ty wciąż jeszcze nie możesz wyrosnąć z krótkich spodenek — pogardliwie przymrużyła oczy Tala.

— Zapomniałem, że umówiłem się...

Chciałem powiedzieć, że zatrzymam się jeszcze tylko na chwilę — przeniosę zajęcia na poniedziałek, ale przerwała mi w pół słowa:

— Umówiłeś się? I ze mną także! Wiesz, mogłam pójść do kina również bez ciebie...

— Ależ ja...

— Do widzenia — niezwykle spokojnie, zabójczo spokojnie, odrzekła Tala. — Wpadnij jutro, podciągnę cię z chemii. Bywaj zdrów, wąsaty niuniu!

Nie obraził mnie „wąsaty niuniu”, Tala nie po raz pierwszy tak mnie nazywała. Niech dziękuje Majakowskiemu, że uzbroił ją w przezwisko. Gdyby sama je wymyśliła, wtedy to co innego... Ale cóż mnie tak ubodło? Nie słowa, lecz ton. Lepiej już niechby pogardliwie przymrużyła oczy, a ona od razu uspokoiła się i — bywaj...

Hałaśliwie zgrzytnęły drzwi wejściowe, za ażurowym parkanem przemknął biały beret.

— Pokłóciliście się? — współczująco zapytała babcia Maria, która dotychczas, zdawało się, pogrążona była w głębokim śnie.

— A niech ją! — machnąłem ręką.

Ale nie było to do babci, to ja sam siebie próbowałem uspokoić. Niech sobie idzie, niech ogląda swojego Mastroianniego! — wciąż jeszcze opędałem się od natrętnego poczucia doznanej obrazy.

— A cóż to się tak rozmachałeś? — wyprostowała się na krześle nasza „dzwonniczka”. — Dogoniłbyś, doszłoby do zgody.

Będę jeszcze biegał za nią... Nawet wyobraziłem sobie, jak zbliżam się do Tali, a ona ślizga się po mnie spojrzeniem. A co, może tak już nie było? I to nie tylko teraz. Czasem wydaje mi się, że Tala mnie po prostu nie dostrzega — patrzy na mnie, a ja czuję się jak przezroczyste szkło...

Dopiero w klasie, kiedy trubłainowcy przywitali mnie radosnymi okrzykami, uspokoiłem się trochę.

Gdybym komuś wyznał, że mogę przy nich zapomnieć o całym świecie, na pewno nikt by mi nie uwierzył. Kiedy Pipin-jeszcze-krótszy czy Bzyński całymi godzinami przesiadują w gabinecie fizycznym i nie istnieje dla nich nic, oprócz amperomierzy, koni mechanicznych i różnych tam półprzewodników, wszyscy to rozumieją. I Woroniuk na scenie przekonuje wszystkich, że jest stworzony dla teatru. A mnie nie wierzą. Chociaż, w istocie, tylko nieliczni poznali mój klub i nikt nie widział moich trubłainowców, jak mnie witają... Tylko jeden człowiek wie wszystko, jeden człowiek mi ufa. Pawło Andrijowycz. Choć sam zatroskany swoimi sprawami — lekcje, wychowawstwo, towarzystwo geograficzne, kółko astronomiczne — zawsze, kiedy tylko zwrócę się do niego, uważnie mnie wysłucha, coś podpowie, doradzi.

Jego pomoc jest znacznie większa, niż sam się tego domyśla. Wszystkie lekcje, które przeprowadził w naszej klasie, wszystkie pozaszkolne godziny — rozmowy, wycieczki, wędrowki — to moje pierwsze pedagogiczne uniwersytety.

Nie tak od razu wziąłem na siebie tę pedagogikę.

Na początku tego roku szkolnego wezwano mnie do komitetu komsomołu i powiedziano, że wszyscy dziesięcioklasiści zwolnieni zostają od stałych zadań zleconych. Doraźne — proszę bardzo, a stałe będą przeszkadzać w nauce: bądź co bądź — maturzyści. No i zabrano mi piątą klasę, w której przez dwa lata byłem drużynowym. Zabrano niemal przemocą. Nawet przypominano mi, że kiedyś, gdy zlecano mi to zadanie, przyjmowałem je z wyraźną niechęcią. To prawda, tak było. Ale przecież wtedy nie wiedziałem, że je polubię. Czyż człowiek może wiedzieć wcześniej, do czego wewnątrz najbardziej jest powołany? Dopiero później, po roku, częściowo to pojąłem. Ileż zdążyliśmy zrobić

z pionierami! Rozpocząłem od tego, że urządziłem im pieszy rajd nad Rosiankę, malutką rzeczulkę za miastem. Naśladowałem Pawła Andrijowycza: on też chodził tam z nami, kiedy jeszcze byliśmy w piątej klasie. I w ogóle wszystko pragnąłem robić tak, jak Pawło Andrijowycz. Nawet rozmawiałem półgłosem, jak on. Ale początkowo nie wychodziło mi: dzieciśka zagłuszały mnie swoim wrzaskiem. Nie szkodzi, przekrzyczałem je. Stopniowo jednak stosunki między nami ułożyły się cudownie. Często wędrowaliśmy razem, urządzaliśmy zawody sportowe, olimpiady sportów obronnych, razem czytaliśmy książki.

Tego roku moi chłopcy i dziewczęta bardzo urosli, wyciągnęli się mocno przez lato. To już nie maluchy. Ale dziwna rzecz: było mi coraz trudniej wynajdywać coś takiego, co fascynowałoby od razu całą klasę. Pojawiły się w niej jakieś grupki. Początkowo nie mogłem niczego pojąć. Przyjrzałem się bliżej. Naturalnie — dorosleją. Jedni już poważnie zajmują się sportem — uczęszczają na zajęcia w sekcjach; innym cały wolny czas pochłania czytelnia, nie zatrzymasz ich już w ławkach czytaniem zbiorowym, mają własne gusty; kogoś przyciąga radiotechnika, kogoś innego — taniec. Jednym słowem, upodobania. Zbyt różnorodne i poważne. Wtedy właśnie postanowiłem zorganizować w klasie kluby zainteresowań. Żadnej Ameryki nie odkryłem, ale wyszło świetnie. Jednak czasu brakowało mi teraz, jak nigdy. Prawie codziennie zbierał się któryś z klubów. Początkowo tak właśnie się nazywały — kluby, a potem już różnie: młodzi technicy — PBK, pionierskie biuro konstrukcyjne; sportowcy — DS, drużyna sportowa; muzycy — SG, silna grupa. Tak, tak, inaczej siebie nie nazywała nasza piątka pianistów, skrzypek, bandurzysty i bajanista. Drobiazg, wybaczam im manię wielkości.

Mój ulubiony klub — to literacki. Nawiasem mówiąc, właśnie poczynając od niego upowszechniły się nowe nazwy. Gdzieś na drugim czy trzecim spotkaniu rozmowa zesłała na temat książek Trubłainiego *. Okazało się, że czytali je wszyscy. I dobrze znali biografię pisarza, zachwycali się nią nie mniej niż jego twórczością. Najwięcej mówili o szkunerze „Kolumb” i jakoś w sposób

* Mykoła Trubłaini (1907—1944) — pisarz ukraiński, autor licznych szkiców i opowiadań na temat podboju Arktyki

naturalny zrodziła się nazwa naszego klubu literackiego: „Załoga szkunera »Trubłaini«”.

A kiedy komitet komsomolski zaczął nalegać, bym złożył swoje obowiązki zastępowego, wywalczyłem, by mimo wszystko trubłainowcy pozostali przy mnie.

W drugim okresie dołączyli do nas jeszcze uczniowie z innych klas, ci, którzy próbują coś pisać. Oczywiście, nic genialnego jeszcze nie stworzyliśmy. No to co? Za to jak wiele książek przeczytała załoga! A ile zebraliśmy ciekawych danych o życiu i twórczości Mykoły Petrowycza Trubłainiego! Korespondujemy z pisarzami, którzy go znali, z muzeum we wsi Wilszanky, w której się urodził. Postanowiliśmy napisać zbiorową powieść „Nasz Trubłaini”!...

Wszedłszy do klasy, usłyszałem donośny szept:

— Admirale!

To ja jestem „admiralem”. Tak trubłainowcy ochrzcili mnie — zaocznie. Bo był to jedyny tytuł, który pozostał wolny po tym, jak podzielili między sobą marynarskie stopnie. Mamy siedmiu marynarzy, jednego junga, kapitanem jest Kostyk Botawski, bosmanem — Katia Sapiha, ona przechowuje całe nasze literackie „gospodarstwo”: almanachy, listy, zeszyty z utworami literackimi.

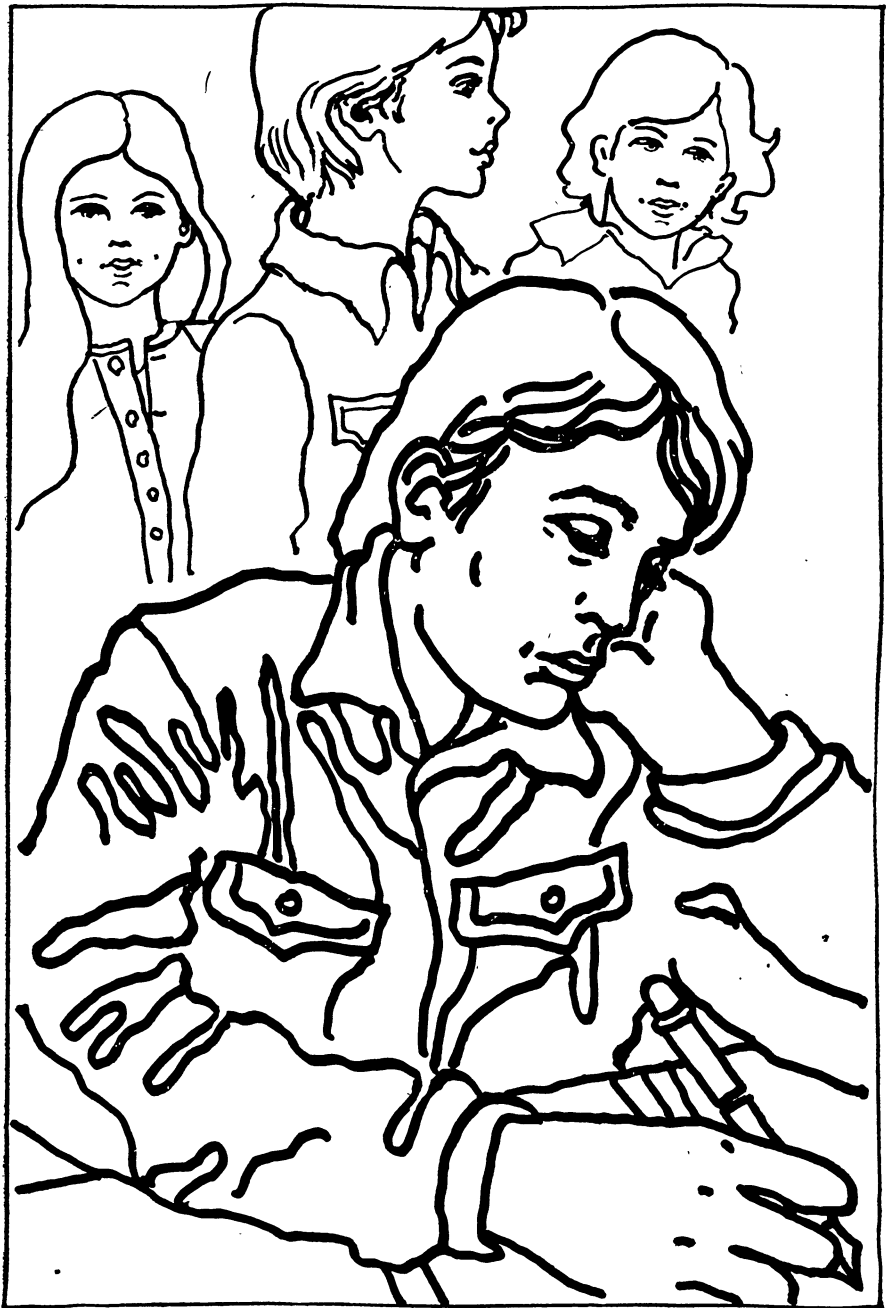
Nie powiem, by tytuł admirała nie schlebiał mojej miłości własnej. Choć stanowisko nawigatora wystarczyłoby mi w zupełności. Załoga wie jednak najlepiej..

Patrzę na moich trubłainowców, myślę o tym, że niedługo rozstanę się z nimi, i, dając słowo, w gardle odczuwam jakiś ucisk. A oni jakby wyczuli mój nastrój, ucichli, czekają. Zawsze narzucają się ze swoimi pytaniami, wrażeniami, a teraz — dyskretnie milczą.

— Koledzy — rozpocząłem, usiłując ukryć wzruszenie — wydajemy ostatni numer almanachu „Szkuner »Trubłaini«”.

Umilkłem. Po prostu nie wiedziałem, co mam mówić dalej. Prawdę mówiąc, wszystko jest zrozumiałe: należy wybrać najlepsze utwory, zrobić ładne ilustracje. Dlaczego się więc zaciąłem? Otóż, to słowo: ostatni. Wypowiedziane głośno, uderzyło mnie.

I trubłainowców także.



Po chwili milczenia poderwał się Stasyk Domyński:

— Dlaczego ostatni, dlaczego ostatni?

A w ślad za nim chórem włączyli się inni.

— Będziemy wydawali także w następnym roku — zdecydowanie oświadczył Hlib Parfeniuk, nasz fantasta, autor opowieści kosmicznej, na którą zużył już trzy grube zeszyty.

— Walerku, ja założę jeszcze jedną teczkę — uśmiechnęła się Katia. — Wiesz jaką?

— Jaką?

— Na twoje listy. Przecież będziesz do nas pisał, prawda?

— Będziemy do ciebie pisali na każdej zbiórce załogi — podchwycił jung Lesyk Smahlij. Wśród trublainowców jest on najstarszy, ale w naszej załodze pracuje od niedawna, dlatego też należy do jungów. A kiedy napisze coś sensownego, będzie awansowany na marynarza. Taki mamy ustalony porządek rzeczy.

— Ale ty przecież wrócisz do nas po ukończeniu instytutu? — zapytał Kostek.

— Dosyć! — uniosłem rękę. — Jeszcze nie nastał czas pożegnania, a wy mnie już odprowadzacie.

Nawiąsem mówiąc, wcale im nie zdradziłem, że wybieram się na pedagogikę. To chytrusy, widzą wszystko na wylot. I nawet to, że w naszym mieście nie ma instytutu pedagogicznego i będę musiał wyjechać.

— A będziesz przyjeżdżał na wakacje? — pytająco spoglądał Kostyk.

— No, już — dajcie spokój! — odwróciłem wzrok od jego zasnuconej twarzy.

I wtedy ujrzałem „nowego”.

Z tyłu, usiłując ukryć się za plecami Stasyka, siedział chłopak o okrągłej twarzy z obfitym rumieńcem rozlanym na obu policzkach. Pomyślałem w pierwszej chwili, że znalazł się wśród nas przypadkowo, na kogoś widocznie czeka.

— Mamy gościa? — zbliżyłem się do niego.

Chłopiec wstał. Był prawie mojego wzrostu, mocnej budowy — zdawało się, że guziki za chwilę poodpadają od kołnierzyka koszuli — tak szczelnie opinał jego tęgą szyję.

— To jest Syropczyk — wyjaśniła Katia. — Z szóstej C. On chce być z nami.

- Syropczyk? — zdziwiło mnie jego nazwisko.
- Nie — speszył się chłopiec. — Nazywam się Mykoła Kucenko. Ale można mówić Syropczyk — uśmiechnął się dobroduszenie.
- Jesteś przerośnięty? — zmierzyłem go wzrokiem.
- Aha, wszystkich przerosłem — rozpląnął się w uśmiechu. — I mamę, i tatę, i dziadka.
- Nie to miałem na myśli. Czy w jednej klasie nie siedzisz po dwa lata?
- Nie, nawet bym nie mógł, i tak już ławki nie starcza.
- On siedzi osobno, na krześle — powiedziała Katia.
- Aha — rozkwitł uśmiechem Syropczyk.
- Ale zapomnieliśmy o najważniejszym — użyłem ulubionej frazy Pawła Andrijowycza. Dopiero wypowiedziawszy ją, zorientowałem się w tym. — Co cię sprowadza do nas? Piszesz?
- Nie, ja zbieram znaczki.
- To poszedłbyś lepiej do filatelistów.
- Ale ja zbieram znaczki poświęcone pisarzom — pospiesznie wyjaśnił Syropczyk: pewnie obawiał się, że nie zostanie przyjęty. — W towarzystwie filatelistycznym już byłem, ale tam tylko wymieniają się znaczkami, a ja chciałem o znaczkach wszystko wiedzieć. O pisarzach, którzy są na znaczkach, w encyklopedii czytam. I w różnych książkach. O, spójrzcie.
- Wydobył spod ławki klaser i błagalnie zaglądając mi w oczy, zaczął wertować jego stronicę.
- O wszystkich wiem, o wszystkich, możecie sprawdzić. Uczniowie obstąpili go dookoła oglądając znaczki.
- To Mark Twain, ten, który napisał „Przygody Tomka Sawyera”. To Puszkina, mam czterech Puszkiniów i każdy z nich inny. Widzicie? A Byrona znacie? Tak wyglądał. Był bardzo przystojny. I odważny. Był angielskim poetą i w dodatku lordem, to znaczy szlachcicem, mówiąc po naszemu. A pojechał do Grecji walczyć w powstaniu przeciwko Turkom. Tam zachorował i zmarł, i serce jego pochowano w Grecji, w mieście, które nazywa się Missolungi.
- Syropczyk, okazało się, był bystrym chłopcem. Opowiadał, naturalnie, trochę naiwnie, ale do rzeczy. I z pasją. A jak uważnie wszyscy go słuchali.
- O’Henry, Lesia Ukrainka, Szota Rustaweli — pokazywał

swoją kolekcję Mykoła. — Kociubyński *. A tu obok Kociubyńskiego malwa, namalowałem ją sam.

— Po co? — zapytała Tania Hurkało, nadzwyczaj kochliwy marynarz z naszej załogi. Po kolei zakochiwała się we wszystkich trubłainowcach. Teraz, zdaje się, przyszła kolej na tego filatelistę-siłacza.

— Po co? — powtórzył za Tanią Mykoła, nie zwracając uwagi na czułe spojrzenie doświadczonego marynarza. — Kiedy Kociubyński przybył na wyspę Capri, która leży na Morzu Śródziemnym, w pobliżu Włoch, bardzo tęsknił za Ukrainą. Wędrował po wyspie i ciągle myślał o kraju ojczystym. Pewnego razu ujrzał malwy, takie, jak na Ukrainie. Kociubyński zdjął kapelusz i ukłonił się kwiatom. I powiedział do nich: „Dzień dobry, moje kochane”.

— Skąd wiesz to wszystko? — zazdrośnie zasepił się Stasyk.

Jest on wspaniałym chłopcem, ale niekiedy sukces kolegi nie daje mu spokoju. Usłyszy udany wiersz i już jest naburmuszony. Wobec prozaików jest bardziej lojalny, bo sam pisze wiersze. Ale cóż ma przeciwko Syropczykowi? Aha, już rozumiem! Przechwyciłem spojrzenie Stasyka, który spode łba zerkał na Tanię...

— Wiem od dziadka — życzliwie uśmiechnął się Syropczyk. — Jakiego ja mam dziadka!

Aż dziwnie było usłyszeć w jego głosie nuty chępliwości, tak bardzo nie pasowały mi one do tego dobrodusznego i prostego chłopca. Ale to, co usłyszeliśmy dalej, sprawiło, że zrozumiałem jego dumę.

— Mój dziadek już w pierwszych latach władzy radzieckiej był redaktorem gazety, spotykał się z wieloma pisarzami. Kiedy opowiedziałem mu, że w naszej szkole jest kółko imienia Trubłainiego...

— Załoga szkunera „Trubłaini” — poprawił go Kostyk.

— Aha, załoga. Dziadek powiedział: idź do nich. On przecież o Trubłainim wszyściutko wie, znał go osobiście.

— Znał Trubłainiego?! — nie dowierzałem.

— Znał osobiście?! — wszystkim aż dech zaparło.

* Mychajło Kociubyński (1864—1913) — czołowy przedstawiciel impresjonizmu w prozie ukraińskiej

— Aha. Trubłaini był korespondentem wiejskim w ich gazecie.

— Nie bujasz przypadkiem? — zapytał Hlib.

— Dlaczego miałby kłamać? — oburzyła się Tania.

— Nie, nie kłamię, mogę przyprowadzić dziadka, sam o tym opowie.

— Posłuchaj, Syropczyk — uchwyciłem się tej idei — przyprowadź go następnym razem. I zapytaj, może napisałby wspomnienia o Trubłainim? Dla naszego almanachu.

— Napisze — kiwnął głową Mykoła. — Ma już zapisany cały zeszyt.

— Ale Syropczyk niech mimo wszystko przygotowuje się do egzaminu — nieubłaganie oznajmił Stasyk.

— Co to za egzamin? — zaniepokoił się Mykoła.

Wyjaśniłem mu, że do naszej załogi przyjmowani są tylko ci, którzy przeczytali wszystkie książki Trubłainiego i znają jego biografię. Sprawdzają to sami trubłainowcy.

— A może bez egzaminu? — zaproponowała Tania — On ma przecież takiego dziadka...

— Co tu ma do rzeczy dziadek? — zaprotestował Stasyk. — Przecież nie dziadka przyjmujemy.

— Słusznie — zgodził się Kostyk. A słowo kapitana decyduje.

— Ponadto Syropczyk nie pisze — ciągnął dalej zazdrośnie Stasyk. — A u nas wszyscy piszą.

Nasz „nowy” rozglądał się zmieszany.

— Niech napisze o znaczkach — po chwili namysłu rzekł Kostyk. — Tak, jak nam opowiadał.

— To mogę! — ucieszył się chłopiec. — Napiszę i przyniosę znaczki, nakleimy je w almanachu. Dobrze?

— Dobrze, Mykoła — odezwałem się. — Jeżeli zdasz egzamin, będziesz naszym literaturoznawcą.

— A co to takiego? — zapytał.

— Czy mogłabym mu wyjaśnić? — usiadła obok Mykoły Tania. — I czy mogę przygotować go do egzaminu?

— Mnie nikt nie przygotowywał... — burknął Stasyk.

Ale ja wiedziałem, jak można rozchmurzyć zazdrośnika.

— Stasyku, nowe wiersze są?

— Są! — ucieszył się ten.

— Wybierajmy, koledzy, utwory do almanachu. Zaczniemy od wierszy Stasyka Domyńskiego, on jest naszym doświadczonym lirykiem.

— Napisałem o Rosiance — Stasyk wydobyl z kieszeni notatnik. — O Rosiance i o gwiazdach. Pamiętajcie, jak kołysały się na wodzie? Rosianka i gwiazdy...

Dziękuję ci, chłopcze, za to wspomnienie. Jest to nasze wspólne wspomnienie i bardzo drogie. Tylko moje zaczyna się znacznie wcześniej.

Rosianka i gwiazdy...

Jak dwie lekcje, których nigdy nie zapomnę.

Rosianka i gwiazdy

Kiedy Pawło Andrijowycz po raz pierwszy przyszedł do nas — było to w piątej klasie — na ławce u każdego ucznia stał globus. Od uczniów starszych klas — i to przechodziło z pokolenia na pokolenie — wiedzieliśmy, że Pawło Andrijowycz jest zakochany w globusach, zbiera je od lat studenckich. A my już zaocznie lubiliśmy tego nauczyciela, często przez uchylone drzwi zaglądaliśmy do gabinetu geograficznego — niby do baśniowego świata. Różnokolorowe mapy, minerały, dziwaczne muszle, korale — wszystko to rozpałało naszą fantazję. Od tych samych starszych kolegów słyszeliśmy, że Pawło Andrijowycz przewędrował niemal cały kraj. Nie znając jeszcze geografii, jak zauroczeni powtarzaliśmy cudowne słowa — nazwy krain, do których zawędrował nasz geograf: Tiberda, Karpaty, Kolchida, Fergana, Sajany...

Pamiętam ten dzień, kiedy Pawło Andrijowycz wszedł do naszej piątej A. Uśmiechnął się, ujrawszy globusy. Przeszedł między ławkami i zatrzymał się koło mnie.

— A co pan już umie na nim pokazać? — zapytał.

On zawsze zwraca się do nas per „pan”, był pierwszym nauczycielem, który nawet w zwyczajnej rozmowie traktował nas jak dorosłych.

— Co? — cały szczęśliwy, poderwałem się w ławce i zacząłem pospiesznie wymieniać: — To Pamir, tu Londyn — stolica Anglii. to Amazonka, to półwysep Krym, a tu Huanghe...

Pawło Andrijowycz położył mi rękę na ramieniu.

— Zuch. A Rosiankę pan zna?

Zacząłem wodzić wzrokiem po globusie, czując, że bliski już jestem płaczu.

— Proszę już nie szukać — delikatnym naciskiem ręki posadził mnie nauczyciel i zwrócił się do klasy: — Jest to malutka rzeczulka, prawie strumień, przepływa ona na południe od naszego miasta.

Klasa wybuchnęła śmiechem, adresując ten śmiech do mnie: że niby takiej okruszynki szukałem na globusie.

Ale Pawło Andrijowycz uniósł rękę, prosząc o ciszę.

— Nie należy się śmiać, kolega co nieco już wie. Mam nadzieję, że nie jest on wyjątkiem w waszej klasie. A Rosianka... Pamiętajcie, wielkie rzeki biorą początek z niepokaźnych strumyczków. Podobnie jak ludzie...

A potem była wyprawa nad Rosiankę.

Nasza grupa młodych geografów podąży brzegiem rzeczulki.

Początkowo gdzieś w głębi zielonej gęstwiny gaworzy cieniutki i nieśmiały strumyk. Spojrzysz nań i pomyślisz: jak niepostrzeżenie wynurzył się, tak samo i zniknie, zgubi się bez śladu. A on ma swoje kłopoty — rozchyła trawy, omija głazy; i od tej niełatwej pracy nabiera mocy i odwagi. Idziemy z prądem — i oto już szersza staje się Rosianka, już dodają jej sił inne ruczaje. Wciąż dalej i dalej wiedzie nas Rosianka — aż do otwartego stepu. Jeszcze z rana można było ją przeskoczyć, a teraz cała nasza grupa rozciągnęła się od brzegu do brzegu — brodem przepławiamy się do gaju. Gdzie jest ta granica, za którą Rosianka traci swe dziecinne imię „strumyk” i zaczyna nazywać się dorośle — rzeką?

— Pawle Andrijowyczu, na pierwszej lekcji mówił nam pan, że rzeki bywają wielkie i małe, jak ludzie.

— Nie, Waleriju, nie tak. Mówiłem, że nawet wielkie rzeki biorą początek z maleńkich strumyczków. Jak ludzie. A ludzi małych nie ma.

— Jak to nie ma?

— Chyba, że człowiek sam o sobie myśli, że jest mały...

I wtedy, i później nie zawsze rozumiałem Pawła Andrijowycza. Ale nie tylko ja, my wszyscy, jego uczniowie. Wolelibyśmy

prościej, bardziej przystępnie... Ale nie, on nigdy nie bał się i nie boi rozmawiać z nami tak, jakby wypowiadał własne myśli. Pozostawia nam te myśli na przyszłość, nie wbija nam ich do głowy, lecz wierzy, że sami je z czasem zrozumiemy. Myśli na wyrost.

Rosianka i gwiazdy...

Późnym wieczorem zebraliśmy się na szkolnym podwórku. Pawło Andrijowycz puścił nas w dzień do domu, przenosząc lekcję astronomii na wieczór.

I oto świeżo upieczeni dziesięcioklasiści skupiliśmy się na asfaltowym placyku wokół nauczyciela. On stoi koło trójnogu, na którym pobłyskuje podobny do zabytkowej armaty teleskop.

Pawło Andrijowycz z zadowoleniem ogląda niebo.

— Cudownie, żadnej chmurki.

Niebo jest kruczoczarne, jak nowiutka tablica szkolna, tylko wziąć kredę i pisać, a gwiazdy przyprószą białe litery.

Ja napisałbym największymi literami, od horyzontu po horyzont, twoje imię, Talu...

— Zanim opowiem wam o astronomii — mówi Pawło Andrijowycz — popatrzcie, bardzo proszę, przez teleskop.

Po kolei przywieramy do okularu.

— Jak pięknie! — wzdycha któraś z dziewcząt.

— Puść teraz mnie.

— Napatrzyłeś się, pozwól i mnie.

— Chciałoby się sięgnąć ręką do gwiazdy.

— Nic trudnego...

— Ale ich dużo!

Przychodzi kolej i na mnie. Powoli obracam teleskop. Oto błysnęła i znikła Gwiazda Polarna. Oto srebrny pył — Droga Mleczna. A oto Wielka Niedźwiedzica prowadzi do nas na lekcję swoje niedźwiadki. Och, nie — to jakieś odległe miasto: płoną okna, latarnie uliczne, przeleciała iskra — samochód przemknął.

— Jak ogniki stacji przeznaczenia.

Pawło Andrijowycz zapytał:

— Kto coś takiego wymyślił?

— Walerek — zachichotał Szkiper. — Hi, hi, stacji.

— Nic w tym śmiesznego — przerwał mu nauczyciel. Spojrzał

na niebo. — Ogniki stacji przeznaczenia... Dosyć trafnie określił pan sedno astronomii, która zawarła w sobie nieubłaganą surowość matematyki i poetyckie piękno ludzkiego marzenia.

Od tego wrześniowego wieczoru upłynęło siedem miesięcy, a ja pamiętam go do najmniejszych szczegółów. Przecież właśnie wtedy ostatecznie zdecydowałem: będę nauczycielem. To, co tylko niewyraźnie szemrało we mnie, nabrało wyrazistych konturów, stało się czymś realnym. Postacią Pawła Andrijowycza, jego ścisłym głosem, w którym daje się słyszeć powściągane wzruszenie.

Rosianka i gwiazdy...

Wybór

— No, ta-ak... Chemik z ciebie nie będzie.

Tala współczująco pokiwała głową i poszukała dla mnie łatwiejszego zadania. To jej tak się zdaje, że łatwiejszego. A dla mnie i pierwsze, i drugie — jednakowa zhora. Zaraz Tala wyjaśni je, więc może wzory przestaną skakać mi przed oczyma. Bo tańczą jak szalone.

Byle przeżyć jutrzejszy dzień — i do ferii wiosennych już tylko ręką sięgnąć. Można będzie przychodzić do Tali po prostu tak, nie w sprawie lekcji. Ale ja nie przychodziłem do niej nigdy bez jakiegoś wymyślonego powodu. Czy to po podręcznik — łąłem, że mi zginął, czy z prośbą o wyjaśnienie niezrozumiałego materiału — udawałem ciężko myślącego. Co prawda, jeśli idzie o chemię, nie musiałem wcale udawać... No bo jak można wpaść tak sobie i powiedzieć: „Przyszedłem do ciebie w gości...” A cóż w tym niezwykłego? Należy się tylko odważyć. I ona niech domyśli się, w czym rzecz. Zresztą, nie zamierzam ukrywać przed nią...

Tala czyta. Jakiś kryminał. Ukradkiem zerkam na nią.

Siedzi na kanapie podkuliwszy nogi, otulona kraciastym szalem. Na czoło jej spada wijący się kosmyczek włosów. Tala wysuwa dolną wargę, dmucha w górę, ale słomkowożółta sprężynka łaskocze ją jeszcze bardziej, więc ze złością opęda się od niej ręką, jak od natrętnej muchy.

Tala siedzi zwrócona profilem do okna i połowa jej twarzy zanurzona jest w cieniu; ten cień jest jakiś smutny, wzruszający, bardzo chciałbym zetrzeć go ruchem dłoni albo ująć Talę za ramiona i odwrócić do okna. Wiem, jak niebiesko spojrzą jej oczy, jak ostrożnie, lecz zdecydowanie uwolni się ona z moich rąk. Było już tak. Kiedyś oboje z nią zostaliśmy sami w klasie. Zakończyła się konsultacja i wszyscy od razu wybiegli. Tala zbierała zeszyty, a ja czekałem. Zapadał zmrok i w klasie było już prawie ciemno.

„Walerku, nie widziałeś mojej obsadki?”

Pochyliłem się. Jej włosy były tuż obok. Oto są już przy moim policzku, poczułem, jak złoty kosmyczek oparzył mnie dotykiem i ogień w jednej chwili objął całą twarz.

— Talu...

Jej oczy są bardzo blisko, dokoła ciemność, a w nich niebieski dzień.

— Co tobie, Walerku?

Ramiona jej drgnęły. A przecież ledwie ich dotknąłem.

— Natalu...

Oddaliła moje ręce.

— Po co ty?...

Odwróciła się. Może obawiała się, że ktoś nas zobaczy? Pocięszam się tą myślą, ale mam w pamięci ów chłodek obcości, którym powiało na mnie z jej słów: „Po co ty?...”

A teraz Tala jest taka, jak zawsze. Wydaje mi się, że także trzy lata temu, kiedy zacząłem do niej przychodzić, właśnie tak siedziała na kanapie, w takiej samej pozycji, z książką w rękach. Pokaże mi, co mam robić, a sama usadowi się wygodniej i już jakbym dla niej nie istniał. Zero uwagi, a funt zniewagi, jak mawia Szkiper. I nie zdarzyło się jeszcze, żeby sobie o mnie przypomniała, dopóki sam nie dam o sobie znać.

Ciekawe, czy domyśla się, że od dawna już nie potrzebuję jej pomocy? Chyba że z chemii. Chroniczne tróje. I to przy całym moim szacunku do Nadii Charytoniwny. Prawda, że na początku okresu była możliwość zarobienia wyższej oceny — z przyrzędu. Nawet najgorsi uczniowie zdołali podskoczyć o stopień. A ja swoim aparatem zaapelowałem do poczucia humoru naszej chemiczki.

Aparat był rzeczywiście dowcipny.

Na początku okresu Nadija Charytoniwna zaczęła wymieniać wyposażenie gabinetu chemicznego i każdy uczeń musiał skonstruować jakiś przyrząd, według własnego pomysłu.

Swoje dzieło nazwałem tak: „Techniczna interpretacja mądrości zawartej w folklorze”. Nad nazwą zastanawiałem się długo, bo nie powinna ona być od razu ujawniać istoty mojego przyrządu.

I oto nadszedł dzień, w którym Nadija Charytoniwna przyjmowała nasze prace. Wywoływała uczniów według listy i każdy demonstrował swoje mistrzostwo i miłość do chemii. Były tam takie piękne sztuczki! Pipin-jeszcze-krótszy, na przykład, zmontował na desce miniaturową wytwórnę amoniaku. Oczy Nadii Charytoniwny promieniały zachwytem. Po każdym kolejnym przyrządzie ten blask rozpalał się coraz jaśniej i jaśniej i zaczynałem mieć obawy, że dla mojej maszynierii chemicznej nie wystarczy już wewnętrznego światła.

Ale kiedy ujrzała mój okazały agregat, łatwo było stwierdzić, że posiada ona jeszcze nie wyczerpane rezerwy. Z oczu nauczycielki trysnęło na mnie tyle ognia, że zrobiło mi się aż gorąco.

„O, jaka machina!” — z zadowoleniem zatarła ręce.

Ma się rozumieć! Nie pożałowałem na ten cel „pomnika maminych iluzji”. Tak nazywał tato okazałych rozmiarów skrzynkę, która stała u nas na szafie: „Konstruktor nr 3”. Kiedy byłem w szóstej klasie, mama dostrzegła we mnie przyszłego inżyniera — nieoczekiwanie dla naszej humanistycznej rodziny zreperowałem wtedy kran w kuchni. Po tej eksplozji wyobraźni technicznej dalej niestety już nie poszedłem i efektowny prezent mamy prawie przez pięć lat pokrywał się pyłem, aż teraz doczekał swego czasu.

Zmontowałem agregat z najbardziej błyszczących kółeczek i innych metalowych części. Dziwaczne nagromadzenie detali nie miało żadnego znaczenia, cały sens zawierał się w dwóch otworach.

— Aparat, który za pomocą środków technicznych ilustruje mądrość folkloru — oświadczyłem uroczyście i wydobyłem z kieszeni pudełko od zapalek.

Cała klasa z zachwytem śledziła moje manipulacje.

Wyjąłem z pudełka martwą muchę, wrzuciłem ją do małego otworka.

— Kręcimy korbą — rzekłem. — Proszę bardzo.

Przez drugi, większy otworek, wyskoczył plastikowy słonik.

Szybko wrzuciłem jeszcze jedną muchę — jeszcze jeden słonik pojawił się na bożym świecie.

I tak siedem razy, dopóki nie wykluło się całe stado z toaletowego stolika mamy.

Zwycięsko spoglądając na klasę, zebrałem wnioski:

— Aparat zademonstrował przysłowie: „Z muchy robić słonia”.

Klasa wybuchnęła śmiechem: było to ulubione powiedzenie Nadii Charytoniwny. Ona często powtarza nam, że chemia — to nauka, która może dokonywać niewiarygodnych cudów, można by rzec, pozwala uzyskać z muchy słonia...

Trzeba oddać należne poczuciu humoru naszej chemiczki: śmiała się razem ze wszystkimi. Ale oceny mi nie postawiła. I to dobrze, ktoś inny wlepiłby dwóję — i tocz się, bracie, na swoich słonikach w stronę wielbłądów, jak, nie wiedzieć czemu, w naszej klasie nazywają opóźnionych w nauce.

Mimo wszystko miałem jednak nieprzyjemności.

Ocena z chemii, która mogła wzrosnąć do czwórki, pozostała na tradycyjnym dla mnie trójkowym poziomie: starosta Wasia Chriaś smagnął mnie satyryczną „błyskawicą”; w czasie pierwszego wieczoru artystycznego szkolny zespół gitarzystów śpiewał o mnie czastuszkę; na zebraniu rodzicielskim mówiono o mojej lekkomyślności; mama opłakiwała „pomnik iluzji”; tato przez trzy dni nie rozmawiał ze mną; babcia Maria, przy ogólnym śmiechu wszystkich, którzy ją słyszeli, zapytała mnie, czy nie potrzebuję jeszcze much...

Podliczyłem: za te słoniki miałem siedem nieprzyjemności — po jednej za każde zwierzę.

Patrzę ciągle na Talę. Zdaje mi się, że ona to odczuła, a ja, rzecz dziwna, chcę i w żaden sposób nie mogę oderwać od niej wzroku.

— Czemu tak patrzysz? — oczywiście dłużej nie wytrzymała.

— Tak sobie...

— No to jak, rozwiązałeś zadanie? — z ożywieniem, zbyt raźnie zapytała i spuściła nogi na podłogę.

— Talu, niech za zadanie wpadnie mi dwójka, ustnie odpowiem na pięć albo cztery, średnia wyjdzie trzy.

— I to ci wystarcza?

— A co zrobić, kiedy dla mnie chemia to dżungla? Chodźmy lepiej do kina.

— Już chodziliśmy — uśmiechnęła się Tala.

— No, tak wyszło... przypadkowo... Chodźmy.

— Nie pójdę — spochmurniała Tala. — Przecież ty, Walerku, będziesz musiał zdawać wstępny z chemii.

— Nie.

— Jak to — nie? Chcesz powiedzieć, że nie pójdziesz na medycynę?

Tala zaczyna swoją starą piosenkę, wie, że mój tato nawet nie wyobraża sobie innej uczelni dla mnie. Przy tym ona sama też uważa, że zawód nauczycielski nie jest dla chłopca.

— Tato pokaże ci pedagogikę...

Tala udowadnia — po raz już któryś — że zasłużony lekarz Tkaczuk nie dopuści do tego, by jego jedyny synek, to znaczy ja, opuścił ciepłe rodzicielskie gniazdko i wyjechał do obcego miasta.

Milczę, już przywykłem.

A Tala śpiewa swoje. Według mnie, korci ją po prostu, aby mi dokuczyć. Ona nie wierzy w moje zdecydowanie, a przy tym nie przypadł jej do gustu mój wybór — wydział filologiczny.

— Masz wszystkie dane, aby zajmować się poważnymi dyscyplinami. Uczciwie mi powiedz, zwróciłeś się ku literaturze, bo lenistwo odpycha cię od nauk ścisłych?

W ustach mi zaschło ze złości. Gdyby to nie Tala...

— Jeśli już o tym mowa, to z matematyki mam czwórki — odezwałem się powoli, żeby nie wybuchnąć. — I z fizyki także. I przyjmij do wiadomości, że Josyp Owsijowycz ostatnio pochwalił moją głowę...

O sznurku nie wspomniałem.

— Jakoś nie słyszałem, żeby zaliczał cię do swoich Einsteimów.

— Mówisz o literaturze — nie zwróciłem uwagi na jej słowa. — A sama, prawdopodobnie, dotąd nie pojęłaś, czym jest literatura.

Oświadczyłem tak nie po to, by jej dokuczyć, takie jest moje przekonanie. Dotyczyło to zresztą nie tylko Tali.

— Ja? — była szczerze zdziwiona. — A-a, robisz aluzję do tego? — wskazała na kryminał.

— Nie. Ja także czytuję Simenona. Mówię o literaturze w ogóle. I o tej szkolnej również.

— Przecież mam piątkę — lekceważąco rzuciła Tala.

— A czy wszystko daje się zmierzyć oceną?

— Piątka jest piątką.

→ Ona też może być niezadowolona.

— U mnie?!

Aż jej dech zaparło.

Szkoda mi teraz, że mimo woli ją obraziłem. Ale dlaczego mam przesadzać z delikatnością? Czy ona oszczędza moją miłość własną, czy szanuje moje zainteresowania? Zresztą, dosyć już odchodzenia od przyjętych zasad. Czyż nie sprowadzamy często poważnych rozmów do dziecinnych pogawędek? O czym my mówimy w klasie? O tańcach, o modzie. W tym jesteśmy encyklopedystami! Możemy również w czasie wszystkich przerw spierać się, którą nogą Błochin strzelił gola. Nie, nie mam nic przeciwko temu. Tylko mnie aż skręca, kiedy terminologię sportową przenosi się na sztukę. Jakąś nędzną piosenkę odbieramy jak prawdziwe artystyczne objawienie, a książki, które stają się wydarzeniem dla każdego inteligentnego człowieka, nas nie dotyczą. Tego przecież nie przerabiamy! Jak wiele „nie przerabiamy”...

— Niezadowolona piątka? — cicho powtórzyła za nią Tala. — To znaczy, że Lidia Oleksijowna zawyżyła mi ocenę?

— Nie, nie zawyżyła. Wychodziła z własnego rozumienia literatury.

— No, tego już za wiele! — oburzyła się Tala. — Możesz nie zgadzać się z Lilią, ale w ten sposób mówić nie masz prawa.

— Za wiele? Za wiele, że krytykuję nauczycielkę? Czy za wiele, że mam własne wyobrażenie o literaturze? Nie, nie przerywaj mi, posłuchaj. Nie tylko ty jedna uważasz mój wybór za błąd, bo literatura, jak mawiają, jest tylko paplaniną. Był język sprawnie pracował. Nie to, co matematyka czy na przykład — chemia. A co wy umiecie? „Szewczenko w wyrazistych obrazach ukazuje”, „Tyczyna w wyrazistych obrazach ukazuje”, „Kornij-

czuk w wyrazistych obrazach ukazuje”... A czym oni się różnią, ci pisarze? Powiedz, czy wiesz, dlaczego Łesia Ukrainka wrzusza cię do łez? Ale jeżeli nigdy nic takiego nie przeżyłaś, czytając ją... Mnie, jak największy z cudów świata, porusza ten wers, łańcuszek liter, od których serce zamiera. „A gdyby myśli tajemne — stały się pieśnią bez słowa — więcej by mogły powiedzieć — niż cała ma długa rozmowa”.

Specjalnie przypomniałem te wersy. Myślałem o Tali...

— Rozumienie literatury, jeżeli w ogóle mogę o nim mówić, przyszło do mnie wtedy, kiedy pojąłem, że jest ona nie czymś obcym, dalekim ode mnie, lecz dotyczy mnie, moich przyjaciół, nawet jeśli dzieło jest sprzed stu lat. Trzeba tylko, aby twoja wrażliwość była otwarta na myśli i uczucia wyrażone przez pisarza.

Tala patrzyła na mnie i ledwie dostrzegalny uśmiech błędził w kącikach jej ust.

— A ty: „Łesia Ukrainka w wyrazistych obrazach” — nabrałem powietrza. — Spróbowałabyś tak monotonicznie, jednakowo podchodzić do swoich zadań matematycznych. Dlaczego więc tu, do skomplikowanych zadań estetycznych przykładasz jedną miarękę? Szarą, banalną...

— Przypuśćmy, że masz rację — z zadumą w głosie rzekła Tala. — Ale ja nie widzę w tym nic strasznego. Powiedzmy, w procesie produkcyjnym z powodu błędu w mojej matematyce zdarzyła się awaria — to nieszczęście. A w literaturze... Co zmieni się z tego powodu? Co się stanie?

— Katastrofa!

I mnie poniosło. W przypiływie zapału zawsze trochę wyolbrzymiam. Ale tym razem nie był to tylko zapał, lecz moje głębokie przekonanie. O tym ostatnio myślałem, czytałem, szukałem odpowiedzi w książkach. I teraz, przy Tali, rozważałem głośno, zwracałem się jej ze swoich myśli.

Czyż nie widzi, jak burzliwy rozwój techniki coraz bardziej pożera zainteresowania młodzieży? I cóż za mizerny bagaż estetyczny daje nam na samodzielną drogę życia szkoła... Może ona uzna to za przesadę, ale ja uważam, że pustego duchowo człowieka wiek techniki po prostu rozpląszczy. Moralnie zmiażdży. Człowiek taki stanie się płaski jak flądra. I jego spojrzenie na otaczający świat będzie jednostronne, jak u tej nieszczęsnej ryby.

— Dlaczego to niektórzy uważają, że flądra jest jednooka? — zaśmiała się Tala.

Na chwilę umilkłem. Może flądra nie ma tu nic do rzeczy i Talą przerwała mi, abym nareszcie zakończył swoją przemowę?

— Tę rybkę proszę mi wybaczyć.

— Mówisz dosyć przekonująco, Walerku. Tylko można przecież wybrać dowolny zawód i dobrze znać literaturę.

— Słusznie! Tak też powinno być. Dlatego właśnie chcę uczyć literatury.

— Mimo wszystko jednak będziesz zdawał na medycynę. W obcym mieście nawet przy twojej błyskotliwej znajomości literatury mogą ci wlepić tróję, a tu, gdzie nazwisko twojego taty robi odpowiednie wrażenie, nawet z chemii masz pewną piątkę.

Nie było w jej słowach żadnej ironii, Tala otwarcie mówiła to, co myślała. I właśnie to — pewność tonu, jakaś obojętność wobec mojego życzenia, o którym dopiero co tak płomiennie mówiłem — uderzyło mnie najbardziej.

— Dlaczego milczysz? — dość zdawkowo, jak mi się wydało, zapytała Tala.

— Nic takiego — ostatecznie przygasłem, jakbym w biegu natrafił na mur. — Możesz mnie obrażać, ile tylko chcesz, ale co tu ma do rzeczy mój ojciec?

— Walerku, obraziłeś się? Przestań!

Wystarczyło, aby łagodnie spojrzała na mnie, a już byłem nieprzytomny z radości. Zdawało mi się wtedy, że Tala przez cały czas, zawsze patrzyła na mnie takimi oczyma. I nigdy, nigdy nie była obojętna.

Bez oceny.

Lidia Ołeksijiwna dobrze wiedziała, że nudzę się na jej lekcjach.

Ale dzisiaj słuchałem Lidii Ołeksijiwny z uwagą: przyniosła nasze prace, te, które pisaliśmy, kiedy była u nas komisja z wydziału oświaty.

Lidia Ołeksijiwna położyła zeszyty na stole. Podzieliła je na

cztery stopy: dwa mniejsze, większy i całkiem cieniutki. Piątki, czwórki, trójki, dwójki.

Uczniowie wyciągali szyje, usiłując podejrzeć, do którego stosu trafiły ich prace. Niektórzy oddychali z ulgą, innych ogarniał smutek.

— Jeszcze-krótszy! Bzyński! — szeptano ze wszystkich stron. — Gdzie jestem ja?

Nasi niezawodni prymusi, nie odwracając się, pokazywali za plecami na palcach: trzy, pięć, cztery.

Najbardziej zakonspirowane były dwójce. Co prawda, wcześniej już znaleźliśmy tych „wielbłądów”, którzy mogli je złapać. Wiadomo, Ruszkewycz i Łański. Oni sami także nie pocieszali siebie daremnymi nadziejami, byli spokojni, podobnie jak prymusi.

— Komisja z wydziału oświaty obejrzała wasze prace — Lidia Ołeksijwna pogłaskała cieniutki stos, gdzie miały być chyba piątki. — Ogólnie biorąc wykazaliście głęboką wiedzę. — Tu dotknęła również zeszytów z czwórkami. — Komisja podkreśliła, że umiejętnie wykorzystany został materiał programowy. Znacie na pamięć polecane fragmenty, o czym świadczą cytaty. Na przykład, nawet średni uczniowie, Łymar i Kuczyńska...

Nie mogłem pohamować śmiechu. Przypomniałem sobie, jak gorączkowo przygotowywał się do klasówki Szkiper: jego lewa ręka aż do łokcia cała była w cytatach.

— Nadaremnie uśmiechasz się, Tkaczuk — z wyrzutem pokiwała głową Lidia Ołeksijwna. Nadaremnie, nadaremnie...

W jej słowach, w intonacji wyczułem jakąś nieprzyjemną aluzję.

— Najpełniej — ciągnęła dalej równym głosem nauczycielka — przedstawiony został temat: „Dawyd Motuzka — organizator i aktywny uczestnik rewolucyjnych przekształceń na wsi”. Nieco słabiej wyszedł wam temat: „Motywy obywatelskie w poezji Iwana Franki”. Temat wolny przyciągnął jakoś niewielu, a niektórzy...

Lilia znowu pokiwała głową i wymownie spojrzała w moją stronę. Ci „niektórzy” to pewnie ja. Było mi nie do śmiechu. Ogarnęła mnie jakaś niezrozumiała trwoga. Próbowałem siebie uspokoić. Co, właściwie, mogło się stać? Ostatnią trójkę z wypracowania otrzymałem pod koniec pierwszego okresu. Choć Lidia

Ołeksijiwna, analizując prace pisemne, nie zatrzymuje się przy moich wypracowaniach — demonstruje literacką błyskotliwość Pipina-jeszcze-krótszego, Bzyńskiego, Hromowej, czyta nam ich wypracowania w całości i we fragmentach — ale piątki mi stawia. Niech tam moje prace nie wywołują jej zachwyty, wcale o to nie zabiegam.

Lidia Ołeksijiwna, nie zmieniając tonu, wymieniła oceny o różnej wartości. Piątki i trójki. Tylko trójkowiczom robiła uwagi, wyjaśniała błędy.

— Zarajska, cztery.

Tala parsknęła z niezadowolenia.

— Przykro mi — podała jej zeszyt nauczycielka. — Pod względem treści wszystko w porządku, ale zwróć uwagę na składnię, szczególnie na zdania współrzędnie złożone. Gubisz przecinki.

Znikły już stosiki z piątkami i czwórkami. Czyżbym miał trójkę? Siedziałem, wlepiając wzrok w ławkę, i usiłowałem nie pokazać po sobie zdenerwowania.

Oto i ostatni trójkowicze zabierali swoje zeszyty. Serhij Ruszkewycz zawołał mnie po cichu i mrugnął porozumiewawczo: tośmy teraz para.

Bałabucha pokazał mi swoją trójkę i rzekł pocieszająco:

— Nie przeżywaj, to też ocena państwowa.

Spojrząwszy na stół, zachnąłem się na myśl, że nawet na trójczynę nie mogę mieć żadnej nadziei. Lidia Ołeksijiwna poklepywała dłońią po ostatnich zeszytach.

Nie, to niemożliwe. Ale w końcu... Pisałem pracę pośpiesznie — naprawdę mnie zafascynowała, więc poopuszczałem pewnie przecinki, litery, zdarza mi się coś takiego.

— W waszej klasie są tylko dwie dwójki — usłyszałem głos nauczycielki.

Tylko... Oczywiście, mało. Ale kiedy jedna z nich należy do ciebie, to jest to dużo!

— Ruszkewycz, Łański. Porozmawiamy po lekcjach, czeka nas długa rozmowa.

— A ja? — nie wytrzymałem.

Nie zwracając na mnie uwagi, Lilia ciągnęła dalej:

— Wszystkich proszę o przeczytanie wypracowań w domu, przemyślenie ich. Na następnej lekcji omówimy je szczegółowo.

— Lidio Ołeksijiwna — wstała Tala — a co z Tkaczukiem? Szarpnąłem ją za rękę.

— Siadaj, Zараjska — bezbarwnym głosem rzekła Lilia. — Zatrósz się lepiej o siebie, mogłaś otrzymać piątkę. A Tkaczuk... Bodajbyś, Tkaczuk, nie brał się za temat wolny.

Po raz pierwszy od początku lekcji coś w jej głosie uległo zmianie.

— Postawiłeś naszą szkołę w niezręcznej sytuacji wobec wydziału oświaty — mówiła z goryczą. — Powypisywałeś takie rzeczy... Skąd wzięłeś takie myśli? Czy ode mnie je słyszałeś?

Nie wiedziałem, o jakich myślach mówi, ale czy to od pełnego napięcia oczekiwania, czy ze wstydu przed Talą, nie wytrzymałem i wyzywająco zapytałem:

— A czyż ja nie mogę mieć własnych myśli?

Nauczycielka uśmiechnęła się z lekka, samymi kącikami ust.

— Orygina-a-alne myśli. Komisja wydziału oświaty przekazała twoją pracę dyrektorowi. U niego ją otrzymasz.

Ostatnie słowo także podkreśliła, jakbym miał otrzymać Bóg wie co.

— Głupstwa — cicho wyrwało się Tali.

— Nie, to nie głupstwa! — usłyszała ją Lidia Ołeksijiwna. Nigdy jeszcze nie podwyższała głosu. — To nie są głupstwa, kiedy uczeń przeciwstawia siebie szkole, wysiłkom całego kolektywu pedagogicznego.

O czym ona mówi? Czyżby mówiła to wszystko poważnie?

— Proszę mi pozwolić wyjść — odezwałem się, czując, jak drży mi głos.

Nie czekając na pozwolenie, wyszedłem z klasy.

Nie lękało mnie, że moja praca u kogoś tam zrodziła wątpliwości, że mogą mi postawić złą ocenę — było bardzo przykre, ale co tam przykre — bolesne, że mnie nie rozumiano. Czy naprawdę jestem taki nieudolny, czy naprawdę nie jestem w stanie wyrazić słowami tego, co myślę?

Babcia Maria ze zdziwieniem spojrzała na mnie, a następnie przeniosła wzrok na zegar szkolny.

— A ty dokąd? Do przerwy jeszcze dwadzieścia minut.

Nic na to nie odpowiedziałem.

— Wypędzili?

— Ależ nie.

— No, no — przymknęła oczy. — Znaczy, że zwiąłeś. Tylko zachowuj się cicho.

Miałem już rękę na klamce, kiedy na schody wpadł zdyszany Szkiper.

— Walerku! — dogonił mnie. — Lilia mówi, żebyś wrócił.

— Nie mogę...

— Po co ci ta draka? Będą nieprzyjemności. Zobaczyłybys tylko, jaka jest rozgniewana, nigdy jeszcze nie widziałem jej w takim stanie.

— Powiedz, że mnie nie znalazłeś. I w ogóle...

Nagle ogarnęła mnie obojętność. Mógłbym nawet zawrócić. Tylko Tala... Jedyne, czego teraz obawiałem się, to spotkania z jej wzrokiem.

Obok cudownych dzieci

Chociaż Josyp Owsijowycz jest nieco przygłuchy, ale z aparatu słuchowego nie korzysta. Dla zasady. Twierdzi, że jego kolega z Kaługi — Ciołkowski, także obywał się bez aparatu. Przy czym oświadcza to w taki sposób, jakby osobiście znał Ciołkowskiego.

Tak czy inaczej, ta pryncypialność daje nam wielkie możliwości: swobodnie rozmawiamy na lekcjach fizyki. Josypa Owsijowycza wcale to nie peszy, on i tak wie, kto jest czego wart. I, objaśniając nowy materiał, zwraca się głównie do swoich wybrańców — prawdziwych znawców fizyki. Z nimi rozwiązuje chytrze skonstruowane zadanka, rozważa jakieś problemy, o których my, zwykli śmiertelnicy, nie mamy żadnego pojęcia.

Pewnego razu spotkałem Josypa Owsijowycza w kinie, miał tam aparat słuchowy. Od tego czasu podejrzewam, że na lekcjach nie korzysta z niego, abyśmy nie irytowali go skąpymi wiadomościami z fizyki i nie przeszkadzali mu cieszyć się młodymi geniuszami. Tych rozumie on w pół słowa.

Toteż my nie przeszkadzamy. Tylko niekiedy zapominamy się — podnosimy hałas, wtedy fizyk z wyrzutem kiwa głową i, wywołując po imieniu swoich ulubieńców, prosi ich, by wstali.

— Spójrzcie na nich — zwraca się do nas. — Upłynie kilka lat, i będzie was dręczył wstyd, że im przeszkadzaliście. Tak, jak było wstyd klasowym kolegom Alberta Einsteina.

Mówi, jakby rówieśnicy Einsteina spowiadali się przed nim.

— Tkaczuk! — podrywa mnie fizyk. — Czy widziałeś kiedykolwiek Faradaya?

— Nie! — odpowiadam uroczyście.

— A Kurczatowa?

— Skądże...

— Więc patrz, oto oni stoją przed tobą.

Z nabożnym wzruszeniem wpatruję się w Ohudka, przenoszę zachwycony wzrok na Pipina-jeszcze-krótszego, Bzyńskiego, Hromową.

— Siadaj — rozgrzeszająco wdycha Josyp Owsijowycz — wiem, że śmiejesz się w duchu. Cóż, tak śmiali się klasowi rówieśnicy Joffe...

Nie, słowo honoru, że się nie śmieję. A teraz poważnie. Podobają mi się nasz dziwak Josyp Owsijowycz, podobają mi się, kiedy pieszczotliwymi ruchami, jakby trzymał coś żywego, dotyka przyrządów, kiedy z zachwytem poklepuje po ramieniu szczęśliwe cudowne dzieci. Podobają mi się, że może z nimi sprzeczać się jak chłopiec.

Zakochany w tych swoich młodych geniuszach, Josyp Owsijowycz, objaśniając jakiś szczególnie złożony materiał, mimo wszystko zwraca się do całej klasy, a nie tylko do swoich wybrańców. Oczywiście, nigdy nie traci nadziei na uzupełnienie kohorty oddanych wyznawców fizyki spośród szerokiego ogółu, gdzie, według jego mniemania, powinny stale buchać parą kotły nie odkrytych jeszcze przez niego współczesnych Czerepanowów, muszą dojrzewać jabłka na głowy nowych Newtonów...

Nie znam nikogo w naszej klasie, kto ośmieliłby się obrazić Josypa Owsijowycza, zrobić mu jakąś przykrość.

Siedzimy sobie, cichutko rozmawiamy. Ktoś czyta, a ktoś inny odrabia zadania na następną lekcję.

W klasie panuje lekki gwar. Lubię go słuchać.

— Przyniosłam ci cukierek. Weź.

— A jeśli będę wywołany do tablicy?

- To wyplujesz.
- Szkoda, dobry.

— Co ty mi ciągle — Dostojewski, Dostojewski. Ja go nie rozumiem.

- Kto jest temu winien?
- Niechby pisał prościej.
- A może ty byś myślał w sposób bardziej złożony?

— Schowaj zeszyt, Josyp Owsijowycz zobaczy.

- Nie szkodzi.
- Nie wypada mimo wszystko.
- Ja swoją trójkę już mam.

— Piotr pisze wiersze.

— Choroba wieku dziecięcego.

— Nie, on to traktuje poważnie.

— Posłuchaj. Oksana pokazała mi ten, który jej poświęcił. „Gdy dotknę twojej ciepłej dłoni — to jakbym słońca blask odsłonił”.

— Przepisał skądś.

— Mówisz tak, bo sam nie potrafisz.

— A po co mi to? Ja mogę powiedzieć wprost, o co mi chodzi. Słońca blask... Bałwan!

— Nino, pójdziemy do kina?

— Z tobą nie pójdę.

— Dlaczego?

— Bo to film o miłości.

— No to co?

— A ty, kiedy całują się na ekranie, rzysz ze śmiechu na całe kino.

— Ojej, co za grzech!

— Grzech! Jesteś przecież starszy od Romea.

— Jakiego Romea?

— Monteki.

— Talu... — tym razem to już ja.

— Co?

— Na dużą przerwę wyjdziemy razem?

— Aha.

To już my — o spotkaniu. Po to jest właśnie dana nam, starszoklasistom, duża przerwa. Dwadzieścia minut wielkich nadziei i rozczarowań.

Czas wielkich nadziei i rozczarowań

Najsurowszym i najbardziej wymagającym wykładowcą jest u nas historyk — Iwan Iwanowycz. Jeśli do tego dodać, że jest on także dyrektorem szkoły, którego boimy się trochę już od pierwszej klasy, to można sobie wyobrazić jego lekcje. A tymczasem wszyscy uczniowie idą na nie z zainteresowaniem i z zadowoleniem.

Możliwe, że gdybym nie postanowił zostać nauczycielem, to byłoby mi obojętne, dlaczego tak się dzieje. Długo usiłowałem to sobie wyjaśnić, ale bez rezultatów. I oto dzisiaj, wydaje mi się, pojąłem, w czym rzecz.

— Spróbujmy pomówić o następującej sprawie — Iwan Iwanowycz przymierza się wzrokiem. — Opowiedzcie o najbliższym otoczeniu ostatniego z rosyjskich imperatorów, pokażcie na tym przykładzie proces rozkładu samowładztwa. — Celuje wzrokiem jeszcze przez jakąś chwilę i „strzela” we mnie. — Tkaczuk!

Pytanie nie było skomplikowane, więc odpowiedziałem szybko.

— Powiedziałeś wszystko — ledwie dostrzegalnie zmarszczył się dyrektor — ale sucho. Widzę podręcznik, a Tkaczuka nie widzę.

Wzruszyłem ramionami.

— Na temat tego okresu jest wiele utworów literackich. Pomyśl, Tkaczuk.

I tu mnie olśniło.

— Właśnie niedawno — zacząłem pospieszenie — przeczytałem o protopopie Awwakumie...

— Jaki to ma związek z naszym dzisiejszym tematem? — Iwan Iwanowycz badawczo popatrzył na mnie. — Protopop Awwakum żył wtedy, gdy dopiero zaczynała się dynastia Romanowów. My

zaś rozmawiamy tu o ostatnim imperatorze z tej dynastii. Wybacz, Tkaczuk, że ci przerwałem. Słucham.

Oczywiście, zauważył, że niecierpliwie czekam, kiedy umilknie.

— Zaraz to wyjaśnię — usiłowałem nie zgubić wątku. — Na początku tej dynastii wokół cara widzimy jeszcze ludzi silnych, rzeczowych, energicznych. Takich, którzy posiadają własne zdanie, własne przekonania. Protopop Awwakum był właśnie taki. Nie ukorzył się przed carem, choć ten kazał katować Awwakuma, aby nawrócić odszczepieńca na właściwą drogę. Widzimy więc nie jakiegoś tam protopopa, ale silną osobowość, potęgę ducha.

— Tak, tak — kiwał Iwan Iwanowycz. — Ciekawe, do czego zmierzasz?

— I oto otoczenie ostatniego samowładcy: Rasputin, sprzedajni ministrowie, generałowie-pochlebcy. I jest wśród nich minister Protopopow. Właśnie dlatego wymieniłem Awwakuma, którego tytuł cerkiewny przypomni mi tego ministra, sprzedajnego, podobnie, jak jego koledzy. Jak stopniowo degenerowała się dynastia carów, tak też karłowaciało ich otoczenie. Wydaje mi się, że uwiad władzy można wyrazić taką formułą: od protopopa Awwakuma do vacuum Protopopowa.

— Jak, jak? — zawołał Iwan Iwanowycz.

— Od protopopa Awwakuma do vacuum, to znaczy próżni, Protopopowa.

— Pięć! Siadaj!

Dyrektor po chwili milczenia zwrócił się do klasy:

— Oczywiście to, co powiedział Tkaczuk, jest obrazową grą słów. Obrazową. Zafascynowanie literaturą piękną pomogło uczniowi lepiej zrozumieć zjawisko historyczne, pomogło samodzielnie wypowiedzieć się na ten temat.

Iwan Iwanowycz mówił jeszcze coś, a ja myślałem o tym, dlaczego jego lekcje są dla nas interesujące.

Naszemu dyrektorowi można odpowiadać, nawet nie bardzo szczegółowo znając zadany materiał. On „wyciągnie” z ciebie takie wiadomości, jakich nawet sam u siebie nie podejrzewałeś.

Na jego lekcjach uczniowie opowiadają o fizyce, o teatrze, o malarstwie, o muzyce. I, oczywiście, o literaturze. Podręcznik

historii należy rzecz jasna koniecznie czytać. Ale Iwan Iwanowycz wymaga nie bezmyślnego wkuwania faktów i dat, on uczy myślenia.

Wystarczyło mi o tym pomyśleć, jak przypomniałem sobie Lidię Ołeksijwnę, jej mgliste aluzje na temat mojej pracy pisemnej.

Pracy nie oddano mi dotychczas. Lidia zaś oświadczyła, że zrobi to sam dyrektor. Może po dzwonku podejść do Iwana Iwanowicza? Ale teraz jakoś nie wypada.

Duża przerwa. W jednej chwili klasa podrywa się z ławek. Nawet pod najgrzeczniejszymi uczniami prostuje się niewidoczna sprężyna.

Duża przerwa!

Przeминаją lata i coraz mniej szczegółów z lat szkolnych będziemy pamiętać. Coś przygaśnie w naszych wspomnieniach, coś zatrze się całkowicie. Ale duże przerwy... Co jak co, ale one nie pójną w zapomnienie. Chaotyczna mieszanina piosenek i śniadań, bieganiny i śmiechu, pospiesznego przepisywania nie odrobionych zadań domowych i spotkań przed wejściem do auli... Do dziś pamiętam duże przerwy, kiedy byłem jeszcze pierwszoklasistą. Z jakim zachwytem plątałem się pod nogami starszych kolegów, zaglądałem do wszystkich pracowni, a przede wszystkim, naturalnie, do geograficznej — baśniowego królestwa Pawła Andrijowicza; kupowałem w bufecie pączek z powidłami — najsmaczniejsze na świecie jedzenie — i wypadałem na dwór zrobić kilka okrążeń dookoła szkoły i wrócić do klasy przed nosem nauczycielki. Kiedy dorośli pytali, czy podoba mi się w szkole, odpowiadałem: „Oczywiście! Są tam przecież duże przerwy!”

I oto upłynęło już dziesięć lat. Zaszło wiele zmian. Ale duże przerwy pozostały niezienne. Ciągłe ten sam pączek z powidłami, ciągle ta sama krzątanina. Tylko teraz nie jest już dla mnie atrakcją wpadać na czwarte piętro, pokonując za jednym skokiem po trzy stopnie... I coraz częściej biegnie się do auli. Tu korytarz jest najdłuższy, i starszoklasiści, wyznaczając spotkania, poważnie spacerują parami. Wrzaski maluchów nie przeszkadzają, przeciwnie — osłaniają intymne rozmowy.

Jest to miejsce, gdzie można bezbłędnie ustalić, kto z kim się przyjaźni. Pewnie tak też myślą o mnie i o Tali, przecież widują

nas tu od ósmej klasy. Tak, oczywiście, przyjaźnimy się. Teraz też, prawie dotykając się rękami, powoli kroczy my korytarzem. I nikt z chłopców nie ośmieliłby się zaprosić Tali do kina, na prywatkę albo tu, na korytarz, na dużą przerwę. Takie już jest niepisane prawo. Jeśli widziano mnie z nią tutaj, ona jest moją dziewczyną, a ja — jej chłopcem.

Tala wie o tym nie gorzej ode mnie. I spotyka się ze mną. Wszystko jest niby w porządku. Ale coś nieuchwytnego w naszych stosunkach niepokoi mnie. Poprzednio o tym nie myślałem. Razem chodzimy do szkoły i do domu, do kina, do parku. Ale teraz już to nie wystarcza, mnie nie wystarcza. Jakby powstało między nami coś takiego, co przeszkadza nam patrzeć sobie nawzajem w oczy. Wydaje mi się niekiedy, że ona czegoś oczekuje ode mnie, i ja chyba wiem czego, ale niezrozumiałe nerwowe podniecenie przeszkadza mi w mówieniu jej nawet zwykłych słów. A może ona wcale na nic nie oczekuje? Może tylko ja pragnę, aby czekała? Dlatego też w jej spojrzeniu szukam odpowiedzi na moje nieme pytanie. Ja sam oczekuję. Czeka, kiedy w jej oczach pojawi się choć na chwilę to, czego ja już nie mogę przed nią zataić.

Z nie ukrywaną zazdrością patrzę, jak zastygli w bezruchu przy oknie Zuzia i Mazuzia, nasi Romeo i Julia. Zawsze sterczą przy tym oknie, już od czasu gdy nie sięgali nawet głowami do parapetu.

— Gołąb i gołąbeczka — kiwnąłem w ich stronę.

— No to co? — wzruszyła ramionami Tala.

I w takiej chwili najpiękniejsze, najdelikatniejsze słowa — nawet ich nie szukam — same układają się w cudowne frazy.

— Gruchają, po to są przecież gołębia. Gul-gul-gul...

Tylko na tyle się zdobyłem. A moja nieszczęsna głowa pozostała kryjówką takich pereł, że wystarczyłoby ich dla wszystkich dziewcząt świata...

— Ze wszystkiego lubisz się śmiać — spojrzała na mnie z wyrzutem Tala.

Skądże znowu śmiać się! Przecież zwróciłem jej uwagę na nich tylko dlatego, że... dlatego... No, może, teraz łatwiej będzie powiedzieć również o sobie? Że, powiedzmy, zazdroścę im. Po-

wiedzieć tak — abstrakcyjnie, że niby w ogóle, a dalej — zobaczymy. Tala powinna zrozumieć. I kiedy zobaczę, że zrozumiała, wtedy... Nie, nic mi z tego nie wyjdzie. Język dosłownie drętwieje i nie pozostaje mi nic innego, jak, uśmiechnąwszy się kwaśno, palnąć jakieś głupstwo. Ale pohamowuję się i w myśli wygłaszam... O, cóż ja wygłaszam! Te słowa płaczą mi krok, wypiekami parzą policzki.

— Co ci jest, Walerij? To się śmiejesz, to znowu...

— Wcale się nie śmieję — mówię nieoczekiwanie dla samego siebie cicho, prawie szeptem. — Czy naprawdę nie rozumiesz, Talu?...

Wziąłem ją za rękę, przystanęliśmy. Na środku korytarza. Wo-koło śmigaly maluchy, hałasowały, piszczały, a moje uszy zatkała cisza. Niepokojąca cisza, którą mógł przerwać jedynie głos Tali.

— Czy naprawdę nie rozumiesz?...

Nie wiem już, czy powiedziałem to pytanie, czy patrzyłem na nią tylko, pytając o to wzrokiem.

— Walerku, ja wszystko rozumiem — podniosła oczy Tala.

— I nic mi nie powiesz?

— Ja nic nie wiem, nic, nic...

Dostrzegłem w jej oczach bezradność. Czyżby to przeze mnie tak bezsilnie poruszyły się jej ramiona, zadrżały usta?

— To nie szkodzi — uśmiechnąłem się wymuszenie. — Ale co tam... Ja tylko tak sobie...

Cóż może być głupszego od tego bełkotu?

Ale Tala zerknęła na mnie z wdzięcznością.

— Nie obrażaj się, Walerku.

— No co ty! — zapanowałem już nad sobą. — Wyglądam tak, bo jestem głodny, dzisiaj przecież nie jadłem śniadania. Muszę zatkać usta pączkiem.

Tali nie podobał się nigdy taki ton, ale teraz chętnie śmiała się z mojego niezgrabnego dowcipu.

— Oj, a ja przecież nie zrobiłam zadania z fizyki — opamiętała się nagle.

— I ja także — skłamałem. — Jeszcze zdążymy.

Oboje pragnęliśmy jak najprędzej zakończyć ten spacer, nie wiedząc, o czym i jak mamy rozmawiać dalej.

W klasie czekała już na mnie przyjemna wiadomość: po lekcjach wzywa mnie dyrektor.

Ucieszyłem się nawet — nareszcie skończy się niepewność. I nie będę musiał wracać do domu z Tala...

Rozmowa z dyrektorem

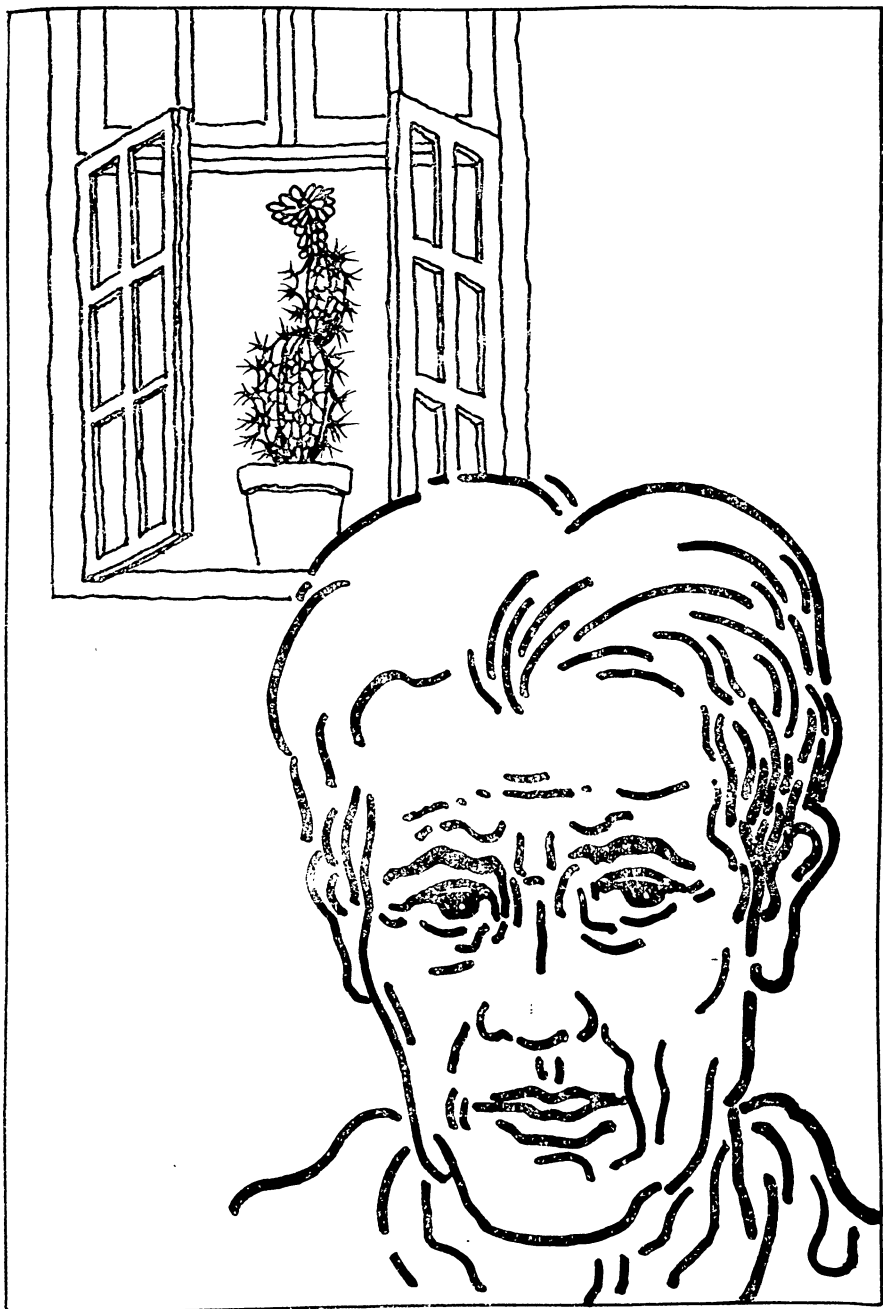
Iwan Iwanowycz z ciekawością, jakbyśmy dzisiaj widzieli się po raz pierwszy, obejrzał mnie i zmarszczył się z niezadowoleniem. Nisko pochylił się nad stołem, przeglądając papiery, i niby zapomniał o mojej obecności.

A ja stałem cicho, usiłując niczym nie przypominać o sobie. A po co przypominać? Wezwał mnie przecież nie po to, abym był świadkiem jego grzebania się w papierach.

W ciasnym gabinecie dyrektora czuć już powiew wiosny. Nawet uchylone okno popiskuje ptaszęcym głosem, a na futrynę pada odbity od szyby wąski promyk słońca. Obserwuję jego krótką drogę i następnie wlepiam wzrok w kaktus. Stoi on na brzegu parapetu, na jego kolcach pobłyskują krople wody. Jedna z kropel tak umiejętnie stanęła na drodze promienia, że w niej — małej drobiny — rozpadł się on na wszystkie kolory tęczy.

Jest to legendarny kaktus.

W szkole wymieniane są ławki, stoły, tablice klasowe i szereg innych rzeczy, a on, w swojej niepokażnej doniczce, stoi w gabinecie od lat. Opowiadają niektórzy, że kiedyś, jeszcze przed wojną, kaktus ten zakwitł. Na kolczastym liściu rozchylił się czerwony kwiat. Było to za czasów dawnego dyrektora, którego portret wisi w szkolnym muzeum: Witalij Wasylowycz Tkaczenko zginął na froncie pod Leningradem. A Iwan Iwanowycz jest jego uczniem, też uczestnikiem wojny. Powrócił z wojny — szkoła stała w ruinach. Sam ją remontował, dopóki nie przysłano robotników, ale i z nimi razem dalej pracował — jako murarz, cieśla. A pierwsze, co zrobił — to odszukał ten kaktus. Nie wiadomo gdzie go odnalazł — czy u byłego dozorczy, czy u sprzętaczki. Kaktus prawie usechł, tylko jeden liść był jeszcze na wpół zielony. Iwan Iwanowycz wydreptał jego ocalenie, wypie-



ścił roślinkę. Właściwie jest to już całkiem inny kaktus. Praprawnuk tamtego, który kwitł przed wojną. Ale nazywają go „tkaczenkowym”. Ten jeszcze ani razu nie kwitł i dzisiaj w szkole tylko Iwan Iwanowycz i babcia Maria pamiętają czerwony kwiat...

Nasz dyrektor w ogóle kocha kwiaty. Wokół szkoły są liczne klomby: okrągłe, kwadratowe, w kształcie rombu czy gwiazdy. I do każdego dobierał kwiaty sam Iwan Iwanowycz. Od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni można go zobaczyć z młodymi przyrodnikami koło kwietników. Sprowadza nasiona z różnych stron — rosną u nas dziwaczne rośliny, takich w całym mieście nie ma. I nikt nie odważy się ich wyrwać, nawet największe rozrabiaki. Jeszcze w pierwszej klasie ja także z głupoty zląkomiłem się na aster. I tu natknąłem się na Iwana Iwanowycza. Wszyscy mówią: wystarczy tylko popatrzeć chciwym okiem na kwiat — Iwan Iwanowycz zaraz znajdzie się obok. Wiem po sobie, że to prawda. No więc stoi koło mnie i patrzy na ten aster, a on drży w mojej ręce. Czuję teraz: aster drży, a od niego już i moja ręka, i ja cały także. „Potrzebny ci jest?” — pyta Iwan Iwanowycz. Kiwam twierdząco głową, bo nie mogę wydobyć ani jednego słowa. „Po co?” — nie gniewa się dyrektor. „Dla mamy” — z trudem wykrztuszam z siebie kłamstwo. „To jeden chyba za mało?” — Iwan Iwanowycz pochyla się nad klombem i zrywa jeszcze dwa kwiaty. „Bukiet nigdy nie powinien być zbyt duży — mówi pouczająco — gubi się kolor. A kiedy jest tylko kilka kwiatów, to bardzo pięknie uzupełniają się nawzajem”. Wkrótce dowiedziałem się, że nie było jeszcze takiego przypadku, aby dyrektor ukarał kogoś za zerwany kwiat. Ale nie ma też ucznia, który nie zasadziłby bodaj kilku roślin. Przyrodnicy przyrodnikami, a pierwsze wiosenne prace społeczne — na kwietnikach.

Ale najbardziej — teraz już wiem to na pewno — Iwan Iwanowycz lubi kaktus swojego nauczyciela...

— W tym roku chyba zakwitnie — przechwycił moje spojrzenie dyrektor. — Ten żółty pęcherzyk widzisz? Może to pączek? Jak myślisz?

— Może...

— No, siadaj. Nastależ się.

Usiadłem na brzegu krzesła koło drzwi.

— Wyszdziesz? — zdjął z nosa niewidoczną pajęczynkę dyrektor. Ma taki zwyczaj — lekkim ruchem palca wskazującego strąca coś z koniuszka nosa; po tym, jak to robi, można zgadnąć, czy jest w dobrym humorze. Nie daj Bóg, jeśli nie daje spokoju swojemu długiemu nosowi.

Milczę. Usiłuję odgadnąć jego nastrój.

— No więc, wyszdziesz?

— Słucham? — nie pojmowałem dalej.

— Wyszdziesz, pytam, na krawędzi? Przecież ja ci zaraz takie cięgi sprawię, że nawet w fotelu z poręczami nie uszdziesz. Trzymaj się więc... bratku.

Żartobliwy ton dyrektora o niczym jeszcze nie świadczy. Niedawno tak samo żartował z Igorem Woroniukiem, kiedy ten swoimi wybrykami artystycznymi zerwał lekcję algebry, żartował, żartował, a potem polecił przyjść następnego dnia do szkoły z ojcem lub z matką.

— Trzymam się — odważyłem się na uśmiech.

Iwan Iwanowycz badawczo spojrzał na mnie i nacisnął na guzik dzwonka na stole. Uchyliły się drzwi, wsunęła głowę sekretarka.

— Proszę zawołać Lidię Ołeksijwnę.

— Więc to z powodu wypracowania? — zdobyłem się na odwagę.

— A ty przygotowałaś się do rozmowy ze mną na temat sytuacji międzynarodowej? — poważnie zapytał dyrektor.

— Ależ nie...

— Posłuchaj, Tkaczuk, czy ty naprawdę nie pozowałeś na oryginalność, lecz pisałeś to, co myślisz?

— Tak — odrzekłem twardo.

— Przeciąg, przeciąg — dotknął swojego nosa Iwan Iwanowycz.

— Jaki przeciąg?

— Przeciągnąłeś strunę, bo w głowie masz przeciąg.

Z pliku papierów wydobył mój zeszyt — zaraz go rozpoznałem: na okładce widniała pokaźna plama z atramentu (zepsuło mi się pióro i stąd ten kleks).

— „Życiowe drogi wybieramy w szkole” — powoli przeczytał

Iwan Iwanowycz. — Ciekawy temat dla wolnych artystów. Maluj, co przyjdzie na myśl. Prawda?

Przemilczałem pytanie.

On zaś przekartkował zeszyt, wrócił do pierwszej strony, powtórzył:

— Wybieramy w szkole. — Nerwowo poszarpał z lekka swój nos. — Postawiłeś mnie w ładnej sytuacji! Czy wiadomo ci o tym, szanowny myślicielu, że nasza szkoła zaliczana jest do grona przodujących pod względem preorientacji zawodowej uczniów? Przychodzi komisja z wydziału oświaty, zadaje pracę na taki temat i sporządzamy dla nich elaborat... A ty wypisujesz, że to wszystko pokazówka. Milcz! Ty już swoje powiedziałeś. Proszę — z patosem odczytał: — „Szkoła daje nam wiedzę, ale nie zapoznaje nas z ogromną liczbą zawodów, z którymi spotkamy się za jej przodem”.

W drzwiach znowu pojawiła się sekretarka:

— Lidia Ołeksijiwna przyjdzie za kilka minut, ma dzisiaj dyżur.

Jeśli idzie o mnie, to lepiej by w ogóle nie przychodziła, mnie i bez niej będzie wesoło: Iwan Iwanowycz zamierza chyba ukreślić swój nos...

— Czy ty nie pracowałeś w pracowni preorientacji zawodowej? Cała szkoła brała udział w urządzeniu jej i wyposażeniu. Tam możesz dowiedzieć się o każdym z głównych zawodów. Ale o czym ja ciebie przekonuję! Sam przecież chodziłeś tam na pogadanki... Myślisz, że tak lekko było je organizować? Spróbuj zaprosić w godzinach pracy przodownika pracy. A myśmy zapraszali i przychodzili: frezer z narzędziowni i kierowca, i ekspedientka...

— I mechanik filmowy — dorzuciłem.

— No widzisz. A ty piszesz: szkoła nie zapoznaje nas z zawodami. Z wieloma — wątpliwe, czy mogłaby się uporać, ale z najpowszechniej występującymi — bardzo proszę.

— Iwanie Iwanowyczu, może, ja nie tak napisałem...

— Oczywiście.

— Miałem na myśli poznanie zawodu nie w ten sposób — w postaci pogadanki czy informacji w naszej pracowni. Lecz tak, żeby siebie samego wypróbować, sprawdzić.

— No wiesz — rozłożył ręce Iwan Iwanowycz. — Istnieją, bratku, surowe realia. Możemy tylko to, co możemy. Każdego nie postawimy przy obrabiarce, każdego nie posadzimy za kierownicą. Milczysz?

Często myślę nad tym, dlaczego absolwenci nierzadko idą tam, dokąd pchają ich rodzice? Rzecz polega nie tylko na tym, że tato czy mama gdzieś w instytucie mają znajomych, przyjaciół. Absolwent drepce za rodzicami na sznureczku, bo jest mu to obojętne. On po prostu nie wie, dokąd ma się udać. Weźmy moich rówieśników z klasy. Dlaczego niektórzy dotąd jeszcze nie znają swojego powołania? Ja miałem szczęście, bo praca z dziećmi pomogła mi dokonać wyboru. A jaki zawód, oprócz nauczycielskiego, rzeczywiście odśłania szkoła przed swoimi wychowanekami? Patrzymy na fachowców z boku: jako wycieczkowicze, kiedy nas prowadzą do fabryki, jako pacjenci — w szpitalu. Na razie preorientacja zawodowa — to tylko propaganda zawodów. A jak „wejść” w te zawody? Mnie się wydaje, że najważniejszy jest problem szkoły. Jeszcze, oczywiście, nic konkretnego zaproponować nie mogę, ale wiem, że będę nad tym łamał sobie głowę, kiedy zostanę nauczycielem, nawet studentem.

Taką mowę wygłosiłem przed dyrektorem. Otwarcie, z pasją, ale... w myśli. Jak zawsze, w myśli.

— Milczysz? — Iwan Iwanowycz z takim oburzeniem szarpnął za nos, jakby to był nie jego własny, ale mój. — Oczywiście, co możesz powiedzieć, ty swoje napisałeś...

Nagle zacząłem mówić. Ku własnemu i dyrektora zdziwieniu. I o tym sznureczku, i o wycieczkowym podejściu do zawodów, i o jakiejś niezrozumiałej dla mnie obojętności niektórych uczniów do sprawy własnej przyszłości. Ścisłej mówiąc, było to niemal to samo, o czym pisałem w wypracowaniu, tylko mówiłem teraz z większą pasją. Przy tym opowiedziałem również i o eksperymencie profesora Łałajana, przeczytałem o nim w czasopiśmie.

— Tak, tak — przekartkował mój zeszyt Iwan Iwanowycz, kiedy nareszcie wyrzuciłem z siebie wszystko.

— Gdyby tylko na papierze, mielibyśmy ze sobą inną rozmowę. Twardą. Ale ty, jak widzę, zamierzasz poważnie zająć się tym problemem... Rodzice popierają twój wybór?

— Nie — powiedziałem otwarcie.
— Co wobec tego?
— Nie ustąpię!
— Proszę cię, bez wziosłych słów.
— A cóż to za słowa?... No, pójdę na pedagogikę, tylko na pedagogikę.

Iwan Iwanowycz podniósł się od stołu, przeszedł po pokoju.

— Zachwyciłeś się eksperymentem profesora Łałajana. Czy sądzisz, że to jedyna droga?

— Możliwe. Profesor Łałajan — on pracuje w Erewaniu — uważa, że za mało jest tylko pragnąć, aby bezbłędnie wybrać zawód. Należy pomóc absolwentowi zorientować się w swoich zdolnościach i skłonnościach. Nawet temperament i stan zdrowia mają znaczenie. No, i do tego celu służą różne przyrządy. Reakjomierz — do sprawdzania szybkości reakcji. Powiedzmy, jeżeli chcesz zostać kierowcą lub maszynistą. Sprawdza się jeszcze uwagę, zapomniałem, jak nazywa się ten przyrząd.

— Taksistaskop.

— Pan też czytał o tym eksperymencie?

— Czytałem — uśmiechnął się Iwan Iwanowycz. — Ciekawe. Naturalnie, przyrządy pomagają. Określenie typów psychiki ludzkiej, rodzajów temperamentu nie jest pozbawione sensu. Nie miałbym nic przeciwko zakupieniu dla naszej pracowni preorientacji zawodowej pletizmografu... Ano powiedz, co to takiego?

— Sprawdza... coś o ruchliwości...

— Przyrząd, który bada ruchliwość emocjonalną. T-tak. I elektrostymulator przydałby się, sprawdzalibyśmy aktywność wszystkich mięśni. — Iwan Iwanowycz zaśmiał się. — Bieganina w czasie przerw do tego nie wystarczy. — Przystanął koło mnie. — To dobrze, że czytujesz taką literaturę. T-tak... Ale mnie bardziej interesuje, jak Łałajan prowadzi zajęcia seminaryjne ze starszoklasistami — pamiętasz, o nich jest mowa w artykule? Jak ten profesor uczy absolwentów naukowego określania swoich uzdolnień, przydatności do określonego zawodu? I jakie miejsce w tym eksperymencie zajmuje nauczyciel, nauczyciel-wychowawca?

Iwan Iwanowycz jakby robił mi wykład — sam się zapalając.

Jak na swoich lekcjach historii, kiedy ten zapal udziela się całej klasie.

— Oczywiście, rzecz nie polega na aparaturze, wszystkiego nie można do tego sprowadzać. — Dyrektor zrobił pauzę. Podszedł do okna... Dotknął kaktusa. Obrócił się do mnie. — Preorientacja zawodowa — to, bratku, ogromny kompleks prac. I zaczyna się wszystko, muszę ci powiedzieć, od propagowania zawodów. Od tego, od czego my zaczynamy. A ty...

Machnął ręką i usiadł przy stole.

— Obawiam się, aby nie przełożono wszystkiego na barki przyrządów. Obiektywizm techniczny wcale nie jest lepszy od subiektywizmu nauczyciela, bezsilnego, kiedy nie dysponuje żadną techniką. Nauczyciele są potrzebni, nauczyciele, którzy potrafiliby uczyć nie tylko algebry, historii, chemii. W wersji idealnej wyobrażam sobie nauczyciela posiadającego wszystkie cechy pletizmografu, elektrostymulatora, taksistaskopu. Co zaś się tyczy aparatury... Ta pozostaje już tylko dla kontroli. T-tak... Nigdy nie zapomnę, jak mnie poruszyło pytanie jednego z nauczycieli, z którym zwrócił się do uczniów na balu maturalnym. Przysiadł się do nich i tak po ojcowsku, troskliwie pyta: „No, więc dokąd teraz wasze drogi prowadzą?” Wspaniały nauczyciel, nieprawdaż, Tkaczuk? Troskliwy...

Kiwnąłem głową, nie dostrzegłszy w pytaniu żadnego podstępu.

— Dwa! — uderzył dłonią o stół Iwan Iwanowycz. — Pierwsza ocena z pedagogiki — dwa. Komu potrzebna jest taka troskliwość nauczyciela? Jego, widzisz, interesuje na wieczorze absolwentów, dokąd pójda jego uczniowie. Ale o tym on powinien wiedzieć już na długo przed maturą! Co więcej — wcześniej niż sami uczniowie.

Zapukano do drzwi.

Weszła Lidia Ołeksijiwna.

— My już tu pokopaliśmy w jego pracy — zwrócił się do niej Iwan Iwanowycz. — T-tak... Gdyby tylko nie komisja...

— Ja uważam — chłodno odezwała się nauczycielka — że i bez komisji nie przeszlibyśmy obok takiego oszczerstwa rzuconego na naszą szkołę.

— To nie oszczerstwo! — oburzyłem się.

— Oto jest cały on — zwróciła się do dyrektora Lidia Ołeksijwna. — Może krzyczeć na nauczyciela, może wyjść sobie z klasy, kiedy mu się spodoba. Taka jest jego pre-o-rien-ta-cja.

— Co do preorientacji zawodowej — to już o niej porozmawialiśmy. Chciałbym, Lidio Ołeksijwna, usłyszeć pani zdanie na temat literackiej strony pracy.

— Poniżej wszelkiej krytyki. Niech pan to rozważy: niemal wszyscy uczniowie wykazali gruntowną znajomość literackich pierwoźródeł. Ile wspaniałych wierszy zacytowali! A tu... Żadnego powoływania się na solidnego autora. Ja, proszę was, sam jestem najmądrzejszy. Erudycja, Tkaczuk, jeszcze nikomu nie przeszkadzała.

— Cytaty to jeszcze nie erudycja — z trudem pohamowując gniew, zaprzeczyłem.

— A mimo wszystko — wtrącił się dyrektor — komisja sprawdziła waszą wiedzę, tę samą wiedzę, o której piszesz w swojej pracy: szkoła nam ją daje...

— Dzięki i za to — dorzuciła Lidia Ołeksijwna. — Bo przecież mógł również napisać, że nawet tego nie ma w szkole. Myślisz, Tkaczuk, że było nam przyjemnie, kiedy członkowie komisji, po przeczytaniu twojej pracy, powiedzieli najpierw mnie, a potem Iwanowi Iwanowyczowi: „Gdzież jest ta wasza wychwalana preorientacja zawodowa, skoro sam absolwent was krytykuje?”

— T-tak, nieprzyjemnie — kiwnął głową dyrektor. — Ale my z Tkaczukiem wrócimy jeszcze do tego problemu. Za jakieś pięć lat. Zgoda, Tkaczuk?

Lidia Ołeksijwna ze zdziwieniem uniosła brwi.

— Zamierza zostać nauczycielem — wyjaśnił Iwan Iwanowycz. Lidia Ołeksijwna uśmiechnęła się ironicznie.

— Czytałam w jego wypracowaniu... A propos jego wysiłków pedagogicznych. Uważam, że kółko, które mu powierzono, należy przekazać...

— Niczego nikt mi nie powierzał! — już dłużej nie mogłem się pohamować. — I nikomu go nie przekazę. Oni sami nie pójdą, rozbiegną się.

— Widzi pan, jakie on ma wysokie mniemanie o sobie. A może zamierzasz namówić dzieci? Iwanie Iwanowycz, z taką dy-

scypliną... Wyobrażam sobie, jak on wpływa na dzieci. Okropność!

— Proszę się nie spieszyć, Lidio Ołeksijwna — miękko odezwał się Iwan Iwanowycz. — O tym jeszcze pomyślimy. Tkaczuk, możesz już odejść.

Ostatnie, co usłyszałem, wychodząc z gabinetu, to zdecydowany głos nauczycielki:

— Ja mimo wszystko będę nalegała!

Bywa tak: wszystko ci idzie spokojnie, gładko i nagle jak zaczniesz zbierać guzy — nic tylko głowę osłaniaj.

Wydawało się, że nie ma już czego obawiać się z powodu dość dawnej rozmowy z nauczycielem wychowania fizycznego, ale było mi dotąd wstyd i to zuchwałe kłamstwo wielkim ciężarem leżało mi na sercu.

Z lękiem myślałem też o czym innym. Jak zakończy się mój niezbyt burzliwy na razie spór z rodzicami na temat wyboru kierunku studiów?

A tu jeszcze ta praca. Niechby już obniżono ocenę — ale nie, chcą mi zabrać trublainowców...

Przygnębiony szedłem korytarzem i usiłowałem stłumić wewnętrzny niepokój. Najbardziej dręczyły mnie teraz obawy, czy pozostawią mi moje kółko literackie. Rozumiałem, że dyrektor może przychylić się do propozycji Lidii Ołeksijwny. Mimo że odnosi się do mnie z sympatią — odczuwam to, szczególnie teraz, kiedy wyznałem mu, że pragnę zdawać na pedagogikę. Ale nauczycielka jest nauczycielką.

U kogo zasięgnąć rady? U kogo szukać poparcia?

Znałem tylko jedną drogę. Już od dawna, odkąd nauczycielem moim został Pawło Andrijowycz, wiedziałem: ze wszystkim, co mnie dręczy, co nie daje mi spokoju, mogę iść do niego.

Pawło Andrijowycz był jeszcze u siebie, w pracowni geograficznej. Starannie ustawiał na półkach pomoce naukowe, rozwieszał mapy, plansze.

Nie widzieliśmy się dzisiaj, więc przywitałem się, stanąwszy w progu.

— Stało się coś — rzuciwszy okiem na mnie, rzekł nauczyciel i ruchem ręki wskazał mi krzesło. — Proszę poczekać, Wale-riju, zaraz będę wolny.

— Widzę, że coś się stało — powtórzył Pawło Andrijowycz po chwili, usiadłszy koło mnie. — Słucham pana, Waleriju.

Zbacząc, płacząc słowa, opowiedziałem mu o rozmowie z dyrektorem, o propozycji Lidii Ołeksijiwny, by zabrać mi trubłainowców.

— Przecież to niesprawiedliwe, Pawle Andrijowyczu, czy tak można?

— Można — spokojnie popatrzył na mnie.

— I pan także?...

— Można, jeśli przemawia przez pana obrażona duma. A nic innego nie słyszę.

— Nie idzie o dumę, ale ja bez nich nie mogę...

— Tego właśnie nie odczułem. Od dawna już obserwuję pańską pracę z młodszoklasistami. Dotychczas sądziłem, że jest panu niezbędna. A teraz tylko obrazę na Lidię Ołeksijiwnę słyszę, nic więcej.

— Obrażony jestem, to prawda. Ale najważniejsze, że... Może to mój decydujący punkt?

— Jak pan powiedział? — twarz Pawła Andrijowycza rozjaśnił ledwie widoczny uśmiech.

— No, szansa dostania się na wyższą uczelnię...

— Ech, Tkaczuk, i czemuż to sprowadza pan wszystko do jakiegoś handlarskiego słówka? Tak pięknie pan powiedział — decydujący punkt. I nagle — szansa.

Speszony, próbowałem wyjaśnić.

— Ale przecież, aby wstąpić na wyższą uczelnię każdy powinien mieć jakiś atut...

— Nie atut — ostro przerwał mi Pawło Andrijowycz — lecz właśnie decydujący punkt. Ten punkt, który zdobywa się jeszcze w szkole. Podpowiedział mi pan ciekawą myśl.

Nic z tego nie rozumiałem i wyczekująco patrzyłem na nauczyciela.

— Myślę, że o tym jeszcze pomówimy — rzekł w zamyśleniu. — Decydujący punkt...

— A co z trubłainowcami?

— Spróbuję przyjrzeć się tej sprawie. Porozmawiam z Iwanem Iwanowyczem, z Lidią Ołeksijiwną.

- Tylko nie z nią! — wyrwało mi się natychmiast.
— I z nią także. Koniecznie z nią.

Zebranie rodzicielskie

Śmieszny to widok oglądać naszych rodziców w ławkach. Nie, nie to, że jest im za ciasno — my, nie chwając się, nie jesteśmy mniejsi od naszych ojców i mam, a jednak jakoś się mieścimy. I oni także poupychali się dosyć sprawnie, choć niektórzy zmuszeni byli wciągać brzuchy. Ale nie to jest śmieszne. Lecz to, jacy oni są zdyscyplinowani, z jaką niekłamano uwagą patrzą na nauczycieli. Dla nas jest to już przebyty etap, a rodzice zapomnieli swoje szkolne lata i, oczywiście, znowu czują się jak pierwszoklasiści. Nawet tato Szkipera, pułkownik milicji, szepnąwszy coś synowi do ucha, zaciął się nagle. A w ogóle to cudowna para — Łymar-starszy i Łymar-młodszy. Dwóch Guliwerów, ławka pod nimi, zdaje się, za chwilę runie.

Rumieni się, słuchając o wybrykach syna, księgowy Woroniuk. Z wyrzutem spogląda na córkę mamunia Kuczyńska, jej laleczka, jak okazuje się, bez przerwy gada w czasie lekcji. Zapomniawszy o nauczycielach, mama Bałabucha gniewnie strofuje syna Bałabuchę. Znieruchomiał jak głaz, dumny z sukcesów córki, kierowca Hromow. Nie może ukryć uśmiechu Pipiński, tato Pipina-jeszcze-krótszego.

Słowem, trwa zebranie rodzicielskie. Nie takie jak zwykle. Bo pozwolono, by przyszli na nie również uczniowie, ci, którzy zechcą. Ja nie tak już bardzo chciałem, ale mama się uparła. I oto siedzimy razem w mojej ławce. Czuję się trochę nieswojo: dyrektor często spogląda na nas. Ścisłej mówiąc, na mamę. Nic w tym dziwnego, wszyscy na nią zwracają uwagę, nawet kobiety. Kiedy przyszedliśmy na zebranie, przed wejściem do klasy stał nasz matematyk Łuka Wasylowycz i prowadził żywą rozmowę z kimś spośród rodziców; ujrawszy moją mamę, nagle jakby połknął język. Naprawdę, połknął: zauważyłem, jak się zakrztusił. Ciekawe, jak teraz wystąpi na zebraniu?

A występy nauczycieli są w pełnym toku. Kolejno każdy z nich zwraca się do nas z surową mową.

Iwan Iwanowycz ostatecznie zastraszył i bez tego zmieszanych rodziców.

— Proszę nie sądzić, że ferie wiosenne są po to, aby dzieci wysypiały się i zbijały baki — powiedział. — Niech likwidują swoje zaległości. T-tak. Zaraz rozdamy świadectwa. Proszę spojrzeć, gdzie tam kto ma dziury, i — trzeba łątać. T-tak.

Potem dyrektor długo mówił o tym, że krótki czwarty okres nie pozwoli nawet się obejrzeć — i szkoła już będzie za nami, więc należy poważnie zastanowić się nad wyborem zawodu.

— Jeżeli nie zastanawialiście się nad tym kilka lat temu — obrzucił wszystkich surowym spojrzeniem. — Ale jeszcze i teraz rodzice mogą pomóc dzieciom. Oczywiście, proszę, by państwo nie naciskali na nich zbyt, ale spojrzeli na rzeczy realnie, żeby nie popełnić błędu odnośnie zdolności syna czy córki. Będzie mniej rozczarowań w przyszłości.

— A ty na mnie naciskasz bez przerwy — szepnąłem do mamy.

— E, na razie to żaden nacisk, wszystko jeszcze przed nami — uspokoiła mnie.

Po Iwanie Iwanowycz zabrała głos Nadija Charytoniwna. Ona, jak zawsze, śpiewała hymny na cześć swojej chemii. Śpiewała, oczywiście, basem. Dziwię się zawsze: skąd w takiej drobnej, kruchej kobiecie może być głos wojowniczego Warega? A ponieważ była akurat „w natarciu”, opiewając swoją kochaną chemię, to mógłby jej pozazdrościć sam Szalapin.

Powiedziałem o tym mamie. Uśmiechnęła się, ale zaraz potem gniewnie zerknęła na mnie.

— Czy naprawdę nie możesz wytrzymać bez swoich żarcików?

— Nie mogę — wyznałem szczerze. — Za chwilę usłyszysz, jak będzie gwizdał nasz matematyk...

— Jak to — gwizdał?

— No, będzie zabierał głos.

— Ach, w znaczeniu przenośnym? Posługujesz się pięknym językiem.

— Ale ja nie mówiłem w znaczeniu przenośnym, Łuka Wasylowycz będzie gwizdał w dosłownym znaczeniu tego słowa. Jeżeli oczywiście, nie połknął swojego języka...

— Daj spokój tym bezsensownym żartom! — zasępiła się mama.

Ale kiedy zaczął mówić Łuka Wasylowicz, uśmiechnęła się i, przygryzając wargę, spojrzała na mnie z wyrzutem. Możliwe, że gdybym jej nie przestrzegł odnośnie tego gwizdu, nie zwróciłaby uwagi na jego mowę. Ale ja ją przygotowałem.

Nasz matematyk wymienia sobie zęby. Własne, niezbyt już mocne w jego wieku, na złote. Naturalnie, kiedyś jego usta będą stanowiły wspaniały widok, ale teraz... Oczywiście, nauczyciel zamierzał zakończyć montaż szczęki w ciągu wakacji, ale oto już przez trzy okresy regularnie przychodzi na lekcje raz z nowym złotym zębem, a raz z nową łuką w uzębieniu. Tej zmianie zębów u naszego matematyka towarzyszy gwizd. Do tego trzeba przywyknąć.

Nie wiem, co odczuwała mama, ale ja ze zgrozą myślałem o tym, że za chwilę rozrechoczę się na całą klasę. Jeszcze chwila...

Uf, nareszcie Łuka Wasylowicz odgwizdał swoją mowę i zamilkł.

Potem rozmawiał z nami Pawło Andrijowycz, I skąd nasz wychowawca ma taki dar panowania nad audytorium? Mówi cicho, tak cicho, że niekiedy czegoś nawet się nie dosłyszysz. I słów używa prostych, zwyczajnych.

Pawło Andrijowycz niespiesznie chodził między ławkami i rozważał. Na lekcjach także niby głośno rozmyśla. Nie wbija nam oklepanych prawd, ale dzieli się z nami czymś bardzo ważnym, również dla niego.

— Iwanie Iwanowyczu, dlaczego pan tak przestraszył moich uczniów? — uśmiechnął się Pawło Andrijowycz. Uśmiech jego jest również jakiś cichy, podobnie jak głos. — Niech trochę odpoczną. Zmęczyliście się. Prawda?

To pytanie kierował do nas.

— Oczywiście! — odezwali się duetem Łymar-starszy i Łymar-młodszy. Inni rodzice i dzieci także zgodnie to potwierdzili.

— A co się tyczy wyboru zawodu... Och, zdrowo trzeba pomyśleć. Przypatruję się wam już nie pierwszy rok, a kim zostaniecie, nie zawsze mogę odgadnąć. Niektórych, wydaje mi się, widzę w ich czasie przyszłym. Cieszy mnie od dawna Natałka Zarajska.

— Ja?! — pisnęła Tala.

— Dziwi to panią, Natałko? — zapytał nauczyciel. — Zamilkł na chwilę i ciągnął dalej. — Chcę tu powiedzieć, że Zarajska nieprzypadkowo wybiera się na architekturę. Roman Romanowycz opowiadał mi...

Ze zdumienia aż otworzyłem usta. Patrzcie, patrzcie! Myślałem, że to taki sobie kaprys. Biega do studia Romana Romanowycza, więc wymyśliła, że będzie architektem. Roman Romanowycz to nasz były nauczyciel plastyki, uczył w młodszych klasach. Zapomnieliśmy już nawet myśleć o nim, a Tala chodzi do niego na zajęcia. A w ogóle Roman Romanowycz jest architektem i dawno już nie pracuje w szkole, prowadzi jedynie studio artystyczne w Pałacu Pionierów.

— No więc Zarajska wpadła na pewien pomysł...

— Pawle Andrijowyczu, nie trzeba... — poprosiła Tala. Uważnie spojrział na nią i znowu się uśmiechnął.

— Nie trzeba — to nie trzeba, i tak niedługo wszyscy będą wiedzieli, całe miasto.

Całe miasto?! No, proszę! Cóż ona takiego wymyśliła? Odwróciłem się do niej. Tala, speszona, chowała się za plecami skamieniałego Hromowa.

— No, a o naszych fizykach nie ma potrzeby nawet mówić. Josyp Owsijowycz jest przekonany, że tego roku wypuści w świat przynajmniej pięciu Einsteinów.

Pawło Andrijowycz wymienił nasze cudowne dzieci.

Mama szturchnęła mnie łokciem.

— Wszyscy rodzice mają dzieci jak trzeba, a ja?

Chciałem coś odpowiedzieć — że nie wszystkim dane jest być geniuszami, i to jeszcze w takiej nielicznej klasie jak nasza, ale zaciąłem się: Pawło Andrijowycz patrzył na mnie.

— Cieszę się bardzo, że niektórzy z uczniów obrali nasz, nie taki przecież efektowny zawód. Większego podziękowania dla nas, nauczycieli, być chyba nie może. Słusznie mówię, Iwanie Iwanowyczu?

Dyrektor pokiwał głową.

— Jeszcze zobaczymy, czy nie zmienią swojej decyzji, a przy tym kto wie, co z tego wyjdzie...

— Tkaczukowi wyjdzie! — twardo powiedział Pawło Andrijowycz.

Spocilem się aż ze wzruszenia. Było mi strasznie przyjemnie i równocześnie jakoś nieswojo. Przecież dla mamy jest to dosyć wątpliwa pochwała. Ona mnie widzi tylko w białym kitlu lekarskim. Odkąd nie spełniłem jej inżynierskich iluzji, profesja taty stała się moją przyszłością. Tak uważa mama i ja też inaczej myśleć nie mam prawa!

Nawet teraz mama szepnęła do mnie:

— Nie łudź się nadzieją.

— Mógłbym wymienić także innych uczniów — kontynuował Pawło Andrijowycz. — Ale nie o to idzie. Niedługo wszyscy — wy, absolwenci, i wasi rodzice — zaczniecie żyć decydującym punktem. I w tym będzie mieściło się dla was wszystko. A więc oto, co wam chcę powiedzieć. Decydujący punkt... Niedawno jeden z moich uczniów powiedział, że sprawa, którą on się zajmuje, to jego decydujący punkt. Może wyraził się tak przypadkowo. Ale jego sprawa nie jest dla niego przypadkowym zajęciem. Decydujący punkt... Czy zwróciliście uwagę na to, że jest to dość nieprecyzyjny termin? Prawidłowo powinno być — decydujące punkty, to znaczy suma ocen z przedmiotów, które zdają abiturienti. A dlaczego przyjęło się mówić — decydujący punkt? Oczywiście, idzie o ten jeden punkt, bez którego suma nie ma żadnego znaczenia, jakby była zerem. Zabrakło jedynki — i nie dostałeś się na studia. Dlatego ta jedyneczka jest właśnie decydującym punktem. Jestem głęboko przekonany, że z tym decydującym punktem należy wychodzić ze szkoły. Nie uzupełniać na egzaminach, wstępnych, lecz zdobywać go tutaj. Powołanie, pewność, że jesteś na właściwej drodze, siła woli w obronie własnego stanowiska, nawiasem mówiąc, także przed rodzicami — proszę państwa, szanowni ojcowie i mamy, o wybaczenie — wszystko to stanowi wasz decydujący punkt.

Pawło Andrijowycz mówił tak, jakby rozumiał moje myśli, odpowiadał na nie. Właściwie, powiedział on wyraźnie i przekonująco to, co we mnie tylko się żarzyło.

Zakończyło się zebranie i nasi rodzice podnieśli hałas. Nie gorzej niż ich dziatki na przerwach.

Wyjątkowo starał się Pipiński-ojciec, rad, że może pochwalić się swoim wzorowo-pokazowym synkiem. Trzymał go za rękę i zaczępiał prawie każdego tatę, każdą mamę...

Naturalnie, mojej mamy także nie mógł ominąć.

— Pani — zwrócił się do niej w staromodnym stylu — sprzeczymy się tu właśnie: co jest lepsze — politechnika czy uniwersytet? Jak pani sądzi?

— Nam nie grozi żadna z tych uczelni — odpowiedziała mama.

— Ale mimo wszystko?

— Medycyna.

Tu, oczywiście, miała na myśli nie Pipina-jeszcze-krótszego, lecz mnie. Zrozumiałem ją.

— O tym jakoś nie myśleliśmy — zmieszał się Pipiński-senior.

Rodzice szturmowali nauczycieli, zasypywali ich najbardziej nawet niespodziewanymi pytaniami. Z nadzieją na odkrycie pedagogiczne zaglądali im w oczy — tak, jak patrzy chory na lekarza, oczekując diagnozy.

Stałem z boku i obserwowałem to zbiegowisko.

Ciekawi ludzie ci rodzice. I zewnątrznie są tacy różni. Wszyscy w klasie jesteśmy rówieśnikami, tylko Bałabucha jest o rok starszy — w ósmej chorował i został. Mamy siedemnaście, niektórzy szesnaście z hakiem. I rodzice także wydają mi się równo-latkami. Kiedy byłem jeszcze zupełnie mały, to wszyscy dorośli mieli dla mnie jednakowe twarze. A teraz widzę, jacy są różni. Pipiński mógłby być nawet dziadkiem mojego dziadka — taki już z niego staruszek. A przy tym prosty i suchy jak tyka; trzyma się, widać, ze względu na swego młodego i utalentowanego syneczka. Czytałem gdzieś, że późne dzieci zawsze są uzdolnione. Aha, u Aleksina, opowiadanie nosi nawet taki tytuł — „Późne dziecko”.* Szkoda, że moi rodzice pospieszyli się ze mną... A Kuczyńska jest pewnie zbyt wczesnym dzieckiem: jej mamę spokojnie można by uznać za przerośniętą uczennicę dziesiątej klasy. Ale moja mama jest młodsza. I piękniejsza. Sprawia mi to nie wiem czemu dużą przyjemność, jakby w tym była moja osobista zasługa.

* Opowiadanie to pod tytułem „Beniaminek” wydała „Nasza Księgar-nia” w 1982 r. w wyborze opowiadań A. Aleksina pod tym samym tytułem

Tato i mama

W pobliżu domu spotkał nas tato. Był już trochę zaniepokojony — zrobiło się późno, a ponadto dzisiaj na dworze gołolędź.

Opowiedzieliśmy mu o zebraniu i mama, oczywiście, od razu poruszyła sprawę moich planów życiowych. Nawet nie wspomniała, co o mnie powiedział Pawło Andrijowycz. Ale dlaczego ja miałbym milczeć? Przypomniałem.

— Ja wiem lepiej, na co powinieneś zdawać! — kategorycznie oświadczyła mama.

— A właśnie, że nie, to Pawło Andrijowycz wie lepiej! — zaprzeczyłem nieustępliwie.

Słowo do słowa — i rozgorzała nasza dawna dyskusja.

Zuch tato: przerwał ją. Co prawda, wieloznacznie przyobiegał:

— Sprawy nie zamykamy jeszcze ostatecznie, mnie także nie podoba się twój wybór, Waleriju.

Czyż to dla mnie nowina? Ale nie ustąpię, za nic nie ustąpię. I nie jest to wcale wzniosła fraza, po prostu nie wiem, jak to inaczej powiedzieć.

— Wybierzmy się na spacer — zaproponowałem, aby rozładować atmosferę.

— No cóż, na godzinę jestem do waszej dyspozycji — zgodził się tato. — Dyżur.

— Przecież w tym miesiącu już miałeś dyżur — oburzyła się mama. — Znowu kogoś zastępujesz?

— Ależ kochanie... — próbował wyjaśnić tato, ale mama nie pozwoliła mu dokończyć.

— Dobroczynca. Może przeniósłbyś się w ogóle do szpitala?

Tato wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Wieczór był więc zepsuty. A ja tak bardzo chciałem, żebyśmy pospacerowali wszyscy razem, żeby tato żartował, jak zawsze, kiedy jest w dobrym humorze.

— Nie przenoś się do szpitala, bo w naszej mamie zakochał się matematyk — próbowałem jeszcze wszystko sprowadzić do żartu. — Posłuchałbyś, jak on pięknie mówi, no po prostu śpiewa...

— Człowiekowi wstawiają zęby, cóż w tym śmiesznego? — chłodno odezwała się mama i znacząco spojrzała na tatę.

— No tak, moment wychowawczy, jestem przecież jeszcze uczniakiem.

— Tak, i to twój nauczyciel — przerzucił się tato do obozu pedagogicznego mamy. — Waleriju, muszę ci powiedzieć, że mnie również nie podoba się twój ton, kiedy rozmawiasz z dorosłymi. A jak ty się wyrażasz o nauczycielach! Z uśmieszkiem, ze szpileczkami.

— Taki jest ich styl — podtrzymała tatę mama. — Ironicznie nastawione pokolenie.

— A to źle? — zapytałem.

— Jeśli ironia jest bezsensowna, źle — kiwnął głową tato.

— A jak ustalić, kiedy jest sensowna, a kiedy — nie?

— Nie jesteś już dzieckiem, możesz zorientować się sam.

— Spróbuję — obiecałem.

— Tylko wcześniej pomyśl, a nie post factum.

— Przecież to graniczy z cynizmem! — zawołała mama.

Ona, oczywiście, postanowiła przekształcić moment pedagogiczny w pedagogiczną godzinę.

— Do tego chyba jeszcze nie doszło — uspokoił ją tato. — Walerek i wszyscy ci chłopcy nie są cynikami. Kpiarzami — tak. Zdaje się, że oni boją się czułości, więc ukrywają swoje uczucia pod osłoną żartów. Zresztą — wziął mamę pod rękę tato — nie idzie o słowa.

— Jak to — nie o słowa? To znaczy, że jeśli on do słuchawki powie komuś „głupia” — będzie to czułość, wyznanie miłości? Nie przypominam sobie jakoś, żebyś ty się tak oświadczał.

— To dlatego, że mieliśmy już wtedy więcej niż siedemnaście lat. I czasy były inne.

Widziałem, że oni mnie drażnią, „nakręcają” — to ich taktyka. Zaraz zaśpiewają o Tali, o Julce. Julka — to już dla mamy pretekst do przekształcenia momentu wychowawczego w cały wieczór pedagogiczny.

Ale tato i mama milczeli, myśleli o czymś własnym.

A ja z czułością — tak, tak, z czułością — myślałem o nich. I na co by im się zdały jakieś słowa? Tatunio, mamunia — nie, tak nigdy się do nich nie zwracałem, ale czy to ma znaczenie?

Przechwytnę spojrzenie taty — patrzy na mamę. To spojrzenie znam od dzieciństwa...

Wiem, jak oni się pokochali. Mama była jeszcze wtedy tancerką. Ścisłej mówiąc — już nie była. Z podwójnym złamaniem nogi przywieziono ją do szpitala, w którym pracował tato. On ją zoperował.

A ze szpitala odwiózł do siebie do domu. Miała wtedy dwadzieścia lat, a tata był o pięć lat starszy.

Mama bardzo przeżywała, że już nie będzie mogła tańczyć. Ona była najlepszą Giselle, w teatrze do dziś wisi fotografia przedstawiająca ją w tej roli. I partię Mawki * miała już prawie przygotowaną... Czasem przychodzą do mamy jej dawne koleżanki, także tancerki, i wspominają tamte czasy. Są to bardzo smutne wspomnienia. Bo przecież koleżanki jej także już nie tańczą — od lat. Tylko jedna jeszcze, jak mówią, utrzymała się na scenie. Ale one mają tytuły zasłużonych artystek, a ta, która pozostała na scenie — nawet najwyższy tytuł artystki ludowej.

A mama jest kostiumerką. W teatrze dramatycznym. Bo w swoim pracować nie może, zbyt to przykre. Kiedy byłem mały, bardzo mi się podobało, że mama jest kostiumerką. Przychodziłem do niej do teatru, jak do świata baśni. Nie interesowały mnie nie spektakle. Błądziłem po kostiumerni i wymyślałem własne przedstawienia. Oto w szerokiej szafie kozackie świty i barankowe czapki. Wisi na drzwiczkach zbroja. Zaraz, zaraz stanie się rzecz niezwykła. Przecież to wcale nie kostiumy, to zamarli przyczajeni zaporozcy. Wskoczą z zasadzki, zabręczą ostrymi szablami — i opadną skrzyżowane ekwipunki, które butnie ustawiły się w szeregu koło ściany. I słyszę wojownicze zawołanie, widzę zapalające się błyski stali...

W kostiumerni panuje mrok, tak dobrze wymyśla mi się tu własne spektakle! Ale oto przychodzi mama — czas wracać do domu. Idę z hełmem hrabiego Potockiego. A jutro wezmę czapajewowską burkę, jest tam jedna maleńka — dla syna pułku. Podrosnę i, kiedy zostanę już uczniem, koniecznie poproszę o nią na jakieś uczniowskie święto.

* Mawka — postać z opery „Lisowa piosna” („Leśna pieśń”) W. D. Kyrejki opartej na dramacie-feerii Ł. Ukrainki o tym samym tytule

Ale do szkoły mama nic mi nie dawała. „Nie należy afiszować się z tym, że twoja mama jest kostiumerką” — powiedziała ze smutkiem. Nie rozumiałem wtedy jej smutku i obrażałem się...

— Nad czym tak się zamyśliłeś? — przerwał moją zadumę tato.

Przechodziliśmy koło sklepu gastronomicznego i pomarańczowe światło lamp neonowych oślepiło mnie. Zmrużyłem oczy. A może po to, by nie zauważyli mojego zmieszania?...

— A tak... Pamiętacie, jak tu kupowaliśmy tort? Takiego ogromnego nigdy jeszcze nie widziałem. Niosłem go z trudem, ale nie chciałem oddać. A w domu mama przyrządziła krem i zrobiła na torcie napis: „Klasa pierwsza”. Szkiper zjadł cały napis...

— A już dziesiąta... — rzekła w zamyśleniu mama. — Przemknęły lata, jak jeden dzień...

Ale ja nie chciałem teraz zamyślenia, nie chciałem smutku. Dosyć! Sam w swoich wspomnieniach założyłem do maminej kostiumerni, a teraz jeszcze ją ciągnąć ku przeszłości? Nie!

— Kiedy dziesięć lat za nami, to już dobrze — rzekłem wesoło. — Wiecie, obaj z Bałabuchą byliśmy wczoraj u Bzyńskiego. A jego siostrzyczka jest w pierwszej klasie. Siedzi nad zeszytami i wylewa na nie łzy. No więc Bałabucha spojrział na tę Marynkę i mówi: „Biedulka, i za co jej dali dziesięć lat?”

— Jeśli już o tym mowa — kiwnął głową tato — teraz w pierwszej klasie mają takie zadania, że nie każdy inżynier mógłby sobie z nimi poradzić. Wnuczka naszego kierownika oddziału internistycznego poszła do szkoły, więc cała rodzina przeżywa prawdziwą katorgę. Dziadek, babka, syn-inżynier, synowa, także z wyższym wykształceniem.

— Teraz już wiem, po kim Walerek ma tę sympatyczną cechę wyolbrzymiania dosłownie wszystkiego.

— Wyolbrzymiania? — zapytałem. — No więc, posłuchaj. Oto zadanie, nad którym szlochała Marynka. Wchodzisz do absolutnie ciemnego pokoju; wiesz, że znajduje się w nim lampka elektryczna i świeca. Co najpierw zapalisz?

— Lampkę — bez namysłu oświadczyła mama.

— Dlaczego?

— Bo nie kopci.

— Pytam poważnie.

- Powtórz zadanie.
- Ciemny pokój. Lampka i świeca. Nie widzisz ich, ale masz zapalić...
- Świecę! — przerwała mi mama.
- Oczywiście, jeżeli nie lampkę, to świecę — zaśmiał się tata.
- Otóż wcale nie. Poddajecie się?
- Poddaję się — uniosła ręce mama.
- Ani lampę, ani świecę? — z niedowierzaniem spojrzął na mnie tato. — No, to i ja kapituluję.
- Przede wszystkim trzeba zapalić zapałkę! — oświadczyłem tonem zwycięzcy. — A wtedy już zobaczysz i lampkę, i świecę.
- Logika! Logika! — wykrzyknął tato.
- Biedne dziecko — westchnęła mama.
- O kim mówisz?
- No, o Marynce Bzyńskiej.
- A co ty myślałaś! Bałabucha bez powodu by jej współczuł? Zawróciliśmy do domu. Idąc, przystawaliśmy koło wszystkich afiszów — wybieraliśmy, dokąd udamy się jutro. Trzeba przecież jakoś uczcić początek ferii wiosennych.
- Hura! Wakacje!

Wiosenny las

Pierwszy dzień ferii. Ponad tydzień na świecie nie będą istniały ani podręczniki, ani klasówki, ani oceny.

Wieczorem nie nakręciłem budzika — niech i on ma wakacje.

Ale o świecie mimo wszystko mnie obudzili. Moi trubłainowcy. A ja nawet zapomniałem, że umówiliśmy się na spacer do lasu — by zobaczyć tam wschód słońca. Jeszcze wtedy, gdy z Talą, Igozem i Szkiperem zbierałem pierwiosnki, postanowiłem poprowadzić maluchów „na łono natury”. Potem, kiedy zawisło niebezpieczeństwo, że mi ich zabiorą, powziąłem zamiar wydania w ciągu wakacji almanachu i zorganizowania jakichś takich zajęć, żeby stały się one dla nas wszystkich szczególnie pamiętne.

Kostyk Botawski niepewnie dreptał koło drzwi.

— Nie wiedziałem przecież, że ty śpisz...

A ja, pewnie, nawet stojąc, jeszcze spałem.

— Nie szkodzi — poskramiałem ziewanie — wejdź.

— Wszyscy nasi są tam — kiwnął na drzwi Kostyk.

— Zawołaj ich. Ja zaraz będę gotów.

To wierzcipięty, powinni jeszcze spać i spać, a oni już tacy różni, podnieceni.

Dopóki ja ubieram się, oni szepczą o czymś, chichoczą. A Katia Sapiha, jak zwykle, sprzecza się — słyszę, jak zachłystuje się słowami.

— Jeszcze chwileczkę i idziemy — wskoczyłem do kuchni.

— Waleriju, to prawda, że jesteś jogiem? — uchylił drzwi Staś. — Katia plecie, a ja nie wierzę.

— No, więc patrz — rzekłem i stanąłem na głowie.

Stasyk wytrzeszczył oczy.

— Chodźcie tutaj! — szepsem przywołał kolegów. — Stoi!

Dzieciaki z zachwytem zaglądały do kuchni. A Tania przykucnęła koło mnie i zapytała:

— A szyja nie pęknie?

— Głupia! — zaśmiała się Katia. — Jogowie mogą nawet na gwoździach leżeć.

— I ty możesz? — zachnęła się Tania.

— Nie — stanąłem na nogach — ale nauczę się.

— Wtedy po nim nawet samochody mogą jeździć, a dla niego będą niczym mrówki — wyjaśniła Katia. — Prawda, Waleriju?

— Nie, ja położę się pod pociąg — odrzekłem.

I wszyscy roześmieli się. Tylko Katia była niepokieszona.

— A co w tym śmiesznego? Ja też będę jog... jogo... jogówką.

Las przywitał nas taką ciszą, że nawet gadatliwa Katia umilkła.

Gęsiego szliśmy ścieżyną, która roztapiała się gdzieś w lekkiej zielonej mgielce. Listeczki malusieńkie, nieśmiałe, każdy z nich osobno jest jeszcze tylko zieloną plamką, ale wszystkie razem — to już zieleń, taka niemal przejrzysta, z daleka podobna do szmaragdowego muślinu.

Coraz częściej trafiały się anemony, żółtymi ognikami kwitł ziarnopłon wiosenny. Po obu stronach ścieżki gromadziły się dmuchawce.

A oto i słońce! Jednak zdążyliśmy do lasu wcześniej od niego.

Kostyk ma oczy szeroko otwarte z zachwytem.

Zastygł w bezruchu koło brzozy i przysłuchuje się, szukając wzrokiem źródła niezrozumiałych dźwięków.

I ja przysłuchuję się także.

Dzeleń-dzel... Dzeleń-dzel...

Jakby ktoś uderzał po kryształowej wazie i nagle wygłuszał dłońią dzwonięcie.

Chłopcy i dziewczynki porozłazili się po lesie, zbierają kwiaty. A Kostyk zerwał kilka pierwiosnków, lecz teraz zapomniał o wszystkim — słucha niewidocznej kołatki.

Pamiętam, jak zostałem członkiem naszego kółka, wtedy jeszcze byliśmy kółkiem, a nie załogą. Przyszedł na przerwie i wywołał mnie z klasy. Mieliśmy pisać klasówkę z angielskiego, ja akurat przeglądałem ćwiczenia, a tu wpada Szkiper: „Walerku, tam na ciebie czeka jakiś maluch!” Wychodzę, stoi ten właśnie Kostyk i aż pobladł z przejęcia. „Czy mogę do waszego kółka?” — pyta. „A co potrafisz?” Wydobyl z kieszeni skrawek papieru: „Tutaj...” Wziąłem paperek i mówię: „Przyjdź po lekcjach, bo mam teraz klasówkę”. A po lekcjach ja już sam szukałem chłopca, tak spodobał mi się jego wierszyk.

Patrzę na Kostyka i przypominam sobie ten wiersz, chropowaty, naiwny, ale taki szczery. I pełen takiego zdziwienia, jak to wypełniające teraz oczy chłopca.

A co wiosna zasiewa?

Wszelakie nasiona.

A co jeszcze zasiewa?

Piegi sieje ona.

A jak to ona potrafi

Wszystko do życia powołać?

Stoi topola na podwórku,

Topoleta wkoło.

Gałazkami gwarzą —

Wiosnę tak witają.

Zimą z zimna milczą,

Teraz rozmawiają.

— Waleriju, przyjdź do nas! — zawołała mnie Katia Sapiha.

Machnąłem ręką, jakby chcąc powiedzieć: zaraz, tylko nie krzyczcie. A sam podszedłem bliżej do Kostyka.

— Brzoza czesze się... — rzekł cicho.

Dobrze rozumiem jego nastrój. Oto przechadzał się po lesie i las był dla niego lasem w ogóle; ale gdy znalazł coś własnego, dokonał małego odkrycia — zmieniło się wszystko wokół.

Tak samo kocham las i ja. Muszę zawsze znaleźć w nim coś takiego, czego dotychczas nie widziałem i nie słyszałem. Mogę godzinami błądzić wśród drzew, póki takie „coś” nie pochłonie mojej uwagi. Zamieram w bezruchu, usłyszawszy szczebiot nie znanego mi jeszcze ptaka; to znów na długo zatrzymuję się koło mrowiska i obserwuję, jak pomykają ze swoimi bagażami jego żwawi mieszkańcy; albo wpatruję się w jakiś krzak, wyobrażając sobie, że to skamieniała ośmiornica — pozostałość epoki lodowcowej. A czasem zwyczajny strumyk lub wiele razy widziany już kwiat nagle każe ci pomyśleć o czymś osobistym, nie o lesie, nie, lecz o sobie, o Tali... Patrzę, patrzę, i widzę coś zupełnie innego. I nie wiem, jak to wytłumaczyć. Może las uczy odczuwania? I myślenia także...

W pamięci ożywa rozmowa o eksperymencie profesora Łalajana. Iwan Iwanowycz miał jednak rację, mówiąc, że nie wszystko można przenieść na barki przyrządów. Teraz i we mnie zrodził się sprzeciw, nie w ogóle — nie jestem przeciwny technice, zresztą nieco za mało mam doświadczenia — lecz konkretny sprzeciw, ściślej mówiąc — wątpliwość. Powiedzmy, jakim przyrządem sprawdziliby profesor to, co obudziła w duszy chłopca lodowa kołatka — soplek na gałązce drzewa?

— Waleriju, to dla ciebie — przyniosły mi bukietki pierwiosnków Katia i Tania.

— Wiecie już, o czym będziecie pisać? — zapytałam dziewczęta.

— Ja o zajacu — rzekła Tania.

— Widziałaś zajaca?

— Aha.

— Czemu więc nie zawołałaś innych?

— Ja chcę sama o nim napisać.

— Ja też widziałem — odezwał się za moimi plecami Syropczyk. — Siedzieliśmy z Tanią na pniu, a zajac akurat wyskoczył. Raz — i już go nie ma. O czym tu pisać?

— U mnie przeczytasz — dumnie oświadczyła Tania.

— Czyżbyś, Mykołko, rzeczywiście niczego ciekawego w końcu nie zobaczył? — odwróciłem się do Syropczyka.

— Wiele ciekawych rzeczy — rozpląnął się w uśmiechu chłopiec. — Mam klaser ze znaczkami zapasowymi — flora i fauna, to nie mój temat — mogę wybrać stamtąd znaczki ze wszystkim, co tu widziałem. I z zającem, i z brzoźami, i z wiewiórką.

— A wiewiórki nie widziałeś! — zaprotestowała Tania.

— Mimo wszystko gdzieś ona tu musi być.

— Mykołko, czy ty jedynie znaczkami potrafisz przekazać swoje doznania? — zapytałem.

— Pisarz ze mnie nie będzie — westchnął Syropczyk. — Próbowałem na przykład zapisać wszystko, o czym opowiadałem wam poprzednim razem, ale wymyśliłem tylko jedno zdanie.

— Zdanie — to już niemało — podtrzymałem go na duchu. — Cóż napisałeś?

— Zbierając znaki pocztowe, tak zwane znaczki...

— A co dalej?

— To już wszystko. Mówiłem przecież — jedno zdanie.

Dziewczynki roześmiały się, ale chłopiec nie był obrażony.

— Może przynieść pień? — zwrócił się do nich. — Usiądziecie sobie. Żeby nie poupadać ze śmiechu.

— To nic, Syropczyku, nie martw się — powiedziałem do niego.

— Ja nie martwię się przecież. Żal mi tylko, że nie będę do was chodził.

— Ależ nie, przychodź, jeżeli, naturalnie, jest to dla ciebie ciekawe.

— Ciekawe!

— Walerku, a czy mogę mu pomóc opisać znaczki? — wyrwała się Tania. Przestraszyła się pewnie, że Syropczyk naprawdę może od nas odejść.

— Naturalnie, pomóż mu. A co ty, Katiu, znalazłaś do swojej pracy?

— Napiszę o wojnie.

— Umówiliśmy się przecież, że będziemy pisali o lesie.

— A ja napiszę o partyzantach w lesie. Dobrze?

Kostyka już nie pytałem. Domyśliłem się, o czym on napisze.

— No, zwołujcie wszystkich, czas wracać.

Las napełniają dziecięce głosy. Dziewczynki i chłopcy długo i wesoło nawołują się pośród drzew. A ja myślę sobie: to jest najciekawsze ze wszystkiego, co usłyszałem dzisiaj w lesie.

Wieczór rozrywek

Igor i Szkiper przywitani mnie uroczystym milczeniem. Stawiając się na baczność, pożerali mnie wzrokiem. Igor głośnym szepcieniem zapytał Szkipera:

— Będziemy zwracali się do niego per „oni”?

— Jeżeli oni zechcą łaskawie z nami rozmawiać...

— Dajcie spokój, chłopcy — obruszyłem się na stojących kolegów — czyście się najedli szaleju?

— Przysłowie powiedział — jeszcze mocniej wyprężył się Szkiper i zadarł do góry głowę. — Operują obrazami artystycznymi.

Ostatnia fraza w ustach naszego wysokiego kolegi dobiła mnie ostatecznie. Jasne. Spektakl przygotował Woroniuk, jego styl. Próbę, prawdopodobnie, przeprowadził wcześniej.

Spojrzałem uważnie na Szkipera. Z kołnierza niebieskiej koszuli sterczała chuda szyja, zarosnięta gęstymi włosami. Dziwnie jakoś pokrywa się zarostem ten Łymar. Krzaczastymi kępami. Po jednej kępce na każdym policzku, kilka włosków na podbródku, a na szyi prawdziwa wełna, taki baranek, że szal niepotrzebny. Kiedy jest nie ogolony, na ostrej grdyce bujnie rozrasta się cała oaza.

Woroniuk przy nim przypomina podlotka. Jacyż są różni ci moi koledzy. Niewysoki, porywczy Igor, który dosłownie rozpacza, kiedy nie ma słuchaczy, aby im wylać na głowy wodospady swojego krasomówstwa; wysoki i chudy Łymar, z którego nawet obcęgami nie wyciągniesz zbędnego słowa.

A jaki jestem ja? Jakaś średnia arytmetyczna. Wyższy od Igora, ale podlotek w porównaniu z Łymarem. Porozmawiać też mogę, ale daleko mi do artysty. I, oczywiście, nie jestem tak urodziwy jak Woroniuk. W ogóle, odnośnie swojej powierzchowności, bez wahania wymieniłbym ją na inną. Wziąłbym sobie emanujący stanowczością podbródek, bo mam po mamie — subtelny, prawie dziewczęcy. I oczy mamy, dla mężczyzny, jak sądzę, zanadto zielone. No, nie muszą być piwne, ale choćby takie jak taty — ciemnoszare. Jedyne, co zawdzięczam obojgu rodzicom — to włosy. Tato jest brunetem, mama blondynką, a ja — mieszaniną nieokreślonej maści. Takich nazywają szatynami.

Ale wszystko jest stroną zewnętrzną, można rzec, nietrwałą powłoką, z którą regularnie spotykam się w lustrze. Gdyby nie golenie, w ogóle nie patrzyłbym na siebie. Ech, gdybyż było takie lustro, w którym można by zobaczyć najważniejsze: jakim jesteś człowiekiem? Co zobaczyłbym wtedy? Nie wiem. Wiem tylko, co chciałbym ujrzeć. Odwagę, zasadniczość, pewność siebie — właśnie to, czego mi chyba brakuje.

A jednak mimo wszystko powierzchowność wiele znaczy. Wystarczy spojrzeć, ile szlachetności jest w pozie Woroniuka, jak dumnie odchylona jest do tyłu jego głowa, jakim natchnieniem płoną mu oczy.

Igor potrząsał czupryną.

— Oto przechodzą sobie ludzie, nie wiedząc nawet, że ten skromny młodzieniec o ostrym wzroku satyryka... — scenicznym gestem wskazał na mnie. — Żywy Hlibow *. Ostap Wysznia! ** Ołeh Czornohuz! ***

Nareszcie pojąłem, czemu się zgrywają.

W dzisiejszej gazecie zamieszczono mój felieton. No, niezupełnie felieton — notatkę krytyczną, ale mimo wszystko jest to moja pierwsza publikacja. Szczerze mówiąc, czekałem, jak zareagują na to moi koledzy.

— Bojownik walczący przeciwko niedociągnięciom! — z uniesieniem wyszeptał Igor.

Notatka o telefonie. Na „chutorze” działa on wyjątkowo źle, najczęściej jest głuchy, i trzeba ciągle biegać do zakładu naprawczego. Prawie cały tydzień dzwoniłem do nich z automatu, wydeptywałem próg tego sprawnego biura, tam grzecznie obiecano, a telefon nadal milczy. Więc napisałem do gazety.

Spojrząwszy na poważną minę Szkipera, nie mogłem pohamować śmiechu.

— Śmiech jest ich bronią! — skonstatował Igor.

— Spocznij — wydałem komendę.

— Dziękuję — ukłonił się Woroniuk. — Możesz się przejść. Szkiperze, oni wyrazili zgodę.

* Leonid Hlibow (1827—1893) — bajkopisarz ukraiński, autor wierszy lirycznych i wierszy dla dzieci

** Ostap Wysznia (1889—1956) — humorysta i satyryk ukraiński

*** Ołeh Czornohuz (ur. 1936) — współczesny satyryk ukraiński

Szkiper szturchnął mnie lekko w brzuch.

— Zuch jesteś, Walerku! Zdrowo dołożyłeś! Warto by uczcić takie wydarzenie...

— Pójdziemy do kina? — zapytałem.

— Nuda — skinął Szkiper w stronę afisza.

Staliśmy koło kina, wieczorami zawsze zbieramy się tutaj. Chłopcy i dziewczęta, zieloni i niebiescy w świetle ogni reklamowych, szwendają się po tym placyku.

— Można pójść do „Romaszki” — zaproponował Igor.

„Romaszka” — to niedawno otwarta kawiarnia. Jest to już trzecia „Romaszka” w naszym mieście, przy czym pierwsze dwie to przedszkole i wypożyczalnia sprzętu. Widocznie ciężko jest dzisiaj z nazwami, bo sklepy koło kina nazwano też niezbyt oryginalnie — „Rusłan” i „Ludmiła”. Pewno wynalazcy imion sklepowych słyszeli, że w Moskwie są sklepy o takich nazwach, ale nie wiedzieli, że tam sprzedawana jest odzież męska i damska. U nas „Rusłan” handluje bakaliaми, a „Ludmiła” artykułami gospodarstwa domowego. Poetycznie.

— Niech będzie do „Romaszki” — zgodziłem się.

Ale drzwi kawiarni były zamknięte. Wisiała na nich tabliczka: „Lokal zarezerwowany”.

Za szklanymi ścianami siedzieli uczniowie szkoły medycznej: zobaczyłem Julkę. No tak, mówiła mi, że ma się odbyć wieczór młodych talentów. I chyba właśnie trwa.

Na niewielkiej scenie, gdzie zwykle gra orkiestra estradowa, stała trybuna i jakaś dziewczynka bezgłośnie otwierała i zamykała usta. Tam, w pomieszczeniu, oczywiście było ją słyhać, ale nikt, widać, nie słuhał — chłopcy i dziewczęta przy stolikach gawędzili, śmiali się.

— Niewypał, chłopcy — z rozczarowaniem rzekł Szkiper. — Dokąd teraz?

— Mam myśl! — przymrużył oczy Igor. — Poczekajcie chwilę — i gdzieś pobiegł.

Wrócił z korpulentnym mężczyzną, zbliżyli się do mnie.

— To jest nasz Walerij. Poznajcie się.

— Bardzo mi miło! — uściśnął moją rękę mężczyzna. — Proszę. I udaliśmy się za nim.

— Co ty wymyśliłeś? — zapytałem szeptem Igora.

— Powiedziałem, że jesteś synem władcy Nepalu.

— Mów poważnie.

— A tobie nie odpowiada być księciem?

— Nie szalej...

Mężczyzna wprowadził nas do kawiarni wejściem służbowym i usadowił przy wolnym stoliku w kącie sali, pod ozdobną palmą.

— Tylko odważnym poddają się fortece — z samozadowoleniem oświadczył Woroniuk.

— A forteca prima! — rozglądał się na wszystkie strony Szkipper.

W kawiarni miejscami było zacisznie, zależnie od tego, przy której ścianie człowiek siedział. Dobrze było tym, którzy usadowili się koło ścian murowanych: pomalowane na ciepły kremowy kolor, łagodnie rozjaśnione były matowym światłem kinkietów. Ale dwie ściany były szklane. Akurat w rogu, tam gdzie się stykały, siedzieliśmy właśnie my. Z zewnątrz przyjemnie jest patrzeć na ten kącik, a w kawiarni okazuje się, że jest jednak nieprzytulny, czujesz się tu jak ryba w akwarium.

— Szkoda, że nie zaprosiliśmy Tali... — wymownie spojrzała na mnie Szkipper.

Istotnie szkoda. Tylko raz byłem z nią w kawiarni, i to w dzień — miała ochotę na lody.

Igor zapala papierosa. Proponuje mnie i Szkipperowi. Ja odmawiam. A Szkipper zapala. Do jego brody bardziej pasowałaby kapitańska fajka. Ale już, dzięki Bogu, krztusi się papierosem. Oczy wyłażą mu z orbit, a zgrywa się, nieborak. Niestety, niełatwo przychodzi dorosłość.

Zazwyczaj starszoklasiści rzadko palą w miejscach publicznych. Chowają się z papierosami w szkolnych toaletach, dymią tam, wywołując zazdrość maluchów. Toaletowa dojrzałość...

A w kawiarni tymczasem trwa dyskusja o talentach.

Zbliżył się do nas energiczny chłopiec z czerwoną opaską na rękawie.

— Z której grupy jesteście? — zapytał, zwracając się nie wiadomo czemu do mnie.

— Z grupy świetlicowej — odrzekłem.

— Co?

— Wiecie, mama i tato są cały dzień w pracy — niewinnie patrzyłem mu w oczy — i nie mają nas z kim zostawić.

— Po lekcjach nauczycielka wyprowadza nas na spacer połączony z zabawami — podchwycił Woroniuk — pomaga odrabiać lekcje.

Chłopak oburzył się:

— Co wy mi tu nawijacie?! To znaczy, żeście nie z naszych? Jak tu trafiliście?

— A ty nie krzycz — pełnym gracji prztyczkiem strącił popiół do popielniczki Igor. — Zaprosił nas sam kierownik.

— Zaraz to sprawdzimy — administracyjnym tonem powiedział chłopiec i z godnością odszedł.

Osoba oficjalna często mówi „my”. Jest to, prawdopodobnie, atawizm pochodzący z czasów, kiedy jedynym administratorem był monarcha. Podzieliłem się swoim lingwistycznym odkryciem z kolegami.

— No widzisz — uśmiechnął się Igor — dopóki nie zostałeś księciem, nie wiedziałeś tego.

— Posłuchaj, Igorze — zapytałem — a co ty naplotłeś kierownikowi?

— Nic szczególnego. Pokazałem mu to. — I Igor wydobył z kieszeni gazetę z moim felietonem.

Zarumieniłem się.

— Kolego satyryku — pomachał gazetą Woroniuk — felietonistów szanują, nawet boją się trochę.

Byłem speszony, nigdy nie wpadłbym na coś takiego.

— Koledzy! — zwróciła się z trybuny siwa, ale o młodej, rumianej twarzy kobieta. — Rozmawialiśmy tu o talentach, o fascynacji sztuką, a teraz zilustrujemy naszą dyskusję występami szkolnych artystów.

Przy słowie „artysta” Igor drgnął niczym koń kawaleryjski, gdy usłyszy głos bojowej surmy.

Ze sceny zabrano trybunę, i rozpoczął się koncert.

Białowłosy Tomcio Paluch, którego prawie nie widać było za bjanem, wykonał wiązanekę melodii na motywach przebojów młodzieżowych.

Zdobył duże brawa.

Trzej chłopcy w tilniaszkach * odtańczyli „jabłuczko”.

Też klaskano.

Drobna dziewczyna — pewnie uczennica pierwszej klasy — dziecięcym głosem recytowała wiersze o miłości.

Szeregiem wyszli akrobaci, ukłonili się z pełną synchronią, po czym, złożyli się w piramidę; następnie rozsypali się, powtórzyli swój ukłon i opuścili scenę.

Wtedy wyszła Julka...

— Patrz, kto to! — szturchnął mnie Igor. — A ja jej nie zauważyłem.

Nawet Szkiper, człowiek, który dziewcząt nienawidzi, wytrzeszczył na nią oczy. Chociaż nieraz już spotykał się z Julką u mnie w domu.

Julka śpiewała. Niskim soczystym głosem, nieznacznie odchyłona do tyłu.

Na kalinie mnie matula kołysała,

Kołysała...

Szczęścia-doli w czystym polu wyglądała,

Wyglądała...

Po Julce było jeszcze kilka numerów, ale przebrzmiały one szaro i bez śladu. Przynajmniej ja odniosłem takie wrażenie, bo już nic nie zdołało mnie zaciekawić. A kiedy koncert zakończył się, siwa kobieta oświadczyła:

— Może jeszcze ktoś chciałby wystąpić? Nie ukrywajcie talentów, koledzy. Po to właśnie zebraliśmy się, aby...

— Pozwolicie? — podniósł się Igor.

Inaczej zresztą nie mogło być. Żeby nasz artysta siedział w milczeniu, kiedy obok jest scena... Szybciej już kaktus wyrośnie na dłoni.

Ale to, co powiedział znalazłszy się na scenie, sprawiło, że zacząłem zazdrościć baśniowym bohaterom, którzy w odpowiedniej chwili mogą założyć czapkę-niewidkę.

— Tu na tej sali siedzi młody satyryk Walerij Tkaczuk — dobrze ustawionym głosem poinformował Woroniuk. — Właśnie wydrukowano jego nowy felieton.

Tak, jakbym miał ich całą kupę.

* tilniaszka lub tilnyk — rodzaj koszuli w stroju ludowym

— Zaraz przeczytam wam ten utwór — efektownym ruchem Woroniuk rozłożył gazetę.

Odwrociłem się, szukając wyjścia, ale wszyscy patrzyli w moją stronę, bo przekłety artysta wskazywał prościutko na mnie. Na moich policzkach można było smażyć naleśniki.

— Felieton o telefonie — przez lekkie dzwonienie w uszach dotarł do mnie głos Woroniuka.

Chwała Bogu, wszyscy już odwrócili się ode mnie, słuchali Igora.

— „Kiedy zepsuje się wam telefon — zaczął Woroniuk — i wzywacie technika jeden raz, drugi, a na waszą prośbę nie reagują i nikogo wam nie przysyłają, przygotujcie się do trzeciego wezwania. Opanujcie się i ćwiczcie system jogi. To wzmacnia układ nerwowy”.

Nie poznawałem własnych słów — Igor zabarwiał je po swojemu, nie znanymi mi intonacjami.

Dziwne, na sali słychać było śmiech...

Tego wieczoru kapałem się w promieniach sławy.

Z ciekawością spoglądały na mnie dziewczęta; kierownik kawiarni przysiadł się do naszego stolika i spytał, czy zadowoleni jesteśmy z wieczoru; młodzieniec-administrator mrugnął do mnie z daleka. Na dopełnienie całości siwa kobieta o młodej twarzy — okazało się, że to dyrektor szkoły — zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc. W szkole budowana jest hala sportowa, ale praca posuwa się w żółwym tempie — może pomogłaby satyra.

— A więc niech pan skrytykuje budowlanych, ich kierownictwo — powiedziała. — Proszę przyjść do nas, ja podam nazwiska, cyfry.

Wymamrotałem coś w odpowiedzi, a Igor beczelnie przyobiecwał:

— Towarzysz Tkaczuk ma ostre pióro, on im da popalić.

Kiedy już trochę ochłonałem, spotkałem się wzrokiem z Julką. Siedziała w pobliżu nas. Uśmiechała się do mnie i coś cicho mówiła do barczystego chłopca w modnej marynarce z miedzianymi guzikami. Czułem, że mówią o mnie, i z obojętną miną obracałem w palcach kieliszek z obrzydliwym winem.

Zagrzmiała orkiestra dęta. I chociaż był to walc, przyszli felczerzy dmuchali jak przy wojskowym marszu.

Julka wstała i ruszyła w moją stronę.

— Zatańczymy, Walerku?

— Możemy.

Ręka Julki jest miękka, pokorna; jej twarz tak bardzo blisko, i już nie wiem, czy to od wina, czy od tańca w głowie mi się kręci.

A walc, walc bez końca niesie nas pod ścianami, między stolikami, jednak ja już niczego nie widzę — tylko smagłą twarz Julki, jej wielkie, piwne oczy.

— Walerku, co ty, nie słyszysz?

— Czego?

— Muzyki przecież nie ma...

Zmieszany puuszczam ją. Prowadzę do stolika, przy którym ponuro zasępił się barczysty chłopak.

— A może pójdziemy stąd? — pyta Julka.

— Dokąd?

— Na spacer.

I co tu odpowiedzieć? Że już strofuję sam siebie za te chwile, kiedy tak z nią tańczyłem? Że mam przed oczyma Talę?...

— Będę czekała — rzekła Julka, zanim zdołałem coś odpowiedzieć, i udała się do hallu. — Przed wejściem, Walerku.

Tymczasem podszedł do mnie chłopak z metalowymi guzikami i poprosił mnie „na słówko”. Wyszliśmy obaj do hallu. Julki już tam nie było.

— Posłuchaj, smarkaczu — wściekle odezwał się chłopiec — jeżeli jeszcze raz zobaczę cię przy niej — nie pozbierasz się. Więc uważaj.

Był on niższy ode mnie, ale znacznie szerszy w ramionach i bardziej krępy. Pewnie silniejszy.

— Na co mam uważać? — zainteresowałem się z udaną naiwnością.

— Na swoją buzię.

I tu dostrzegłem na ulicy Julkę, machała do mnie ręką.

— Szanowny kolego — powiedziałem do chłopaka — a to wachałeś? — i pokazałem mu figę. Jeszcze na dodatek pokręciłem kciukiem. Nie oglądając się, poszedłem do szatni.

— Co to za jeden, ten z admirałskimi guzikami? — zapytałem Julkę, kiedy oddaliliśmy się od kawiarni.

— A... Myszko. Kolega z roku. Nawet wiersz mi poświęcił.

— O miłości, oczywiście?

— O miłości — przytaknęła Julka. — Zaraz sobie przypomnę. O! „Wśród dziewcząt ze szkoły medycznej, widziałem cię w grupie licznej. Tyś była urodą osobną — do świeżej róży podobna”. Walerku, a czego chciał od ciebie Myszko? Groził?

— Coś ty! Tak miło sobie porozmawialiśmy. Na pożegnanie pokazałem mu nawet sztukę.

— Jaką?

— No, taką figurę...

— O, to jesteś nie tylko jogiem. Powiedz mi, Walerku, czy hinduska gimnastyka jest skomplikowana?

— Pół godziny dziennie — i siłę masz za trzech — przechwalałem się.

— A Myszko wszystkie wieczory spędza w hali sportowej. I co z tego? Tylko druga klasa.

— W jakiej dziedzinie sportu?

— W boksie.

No, to ładnie trafiłem. A co będzie, jeśli ten Myszko wpadnie na myśl, by wykonać swoją pogrózkę?

Obejrzałem się mimo woli. Wziąłem Julkę pod rękę. To dlatego, aby przekonać samego siebie, że niczego się nie obawiam. Ale strach nieprzyjemnie łaskotał mi łopatki.

— Więc dokąd prowadzić mam panią, lady? Do akademika?

— Aha. Ale koło słoneczników.

Słoneczniki pojawiły się na „chutorze” przed kilkoma dniami i od razu polubili je wszyscy mieszkańcy.

Osiedle nasze zaczyna się od pięciopiętrowego bloku, który stoi na skraju lasu. Ulicę otwiera wyłożona kostką ślepa ściana tego budynku i nikt jakoś nie zastanawiał się, że ta ślepotą — to nie tylko błąd architektów, ale jest to również wizytówka nowej dzielnicy. Przyzwyczajono się i nie zwracano uwagi.

I na tej ścianie pojawiło się mozaikowe paneau. Ze trzy tygodnie ściana była w rusztowaniach i wszyscy utyskiwali: nowy budynek, a już remontują. Kiedy zaś zabrano deski — wszyscy ujrzeli ogromne słoneczniki. Dwa złociste kwiaty wzeszły słońcami nad ulicą i rozjaśniły ponurą jeszcze wczoraj ścianę. Oszczędny i skromny, ale jakże wyrazisty symbol: za słonecznikami-słoń-

cami biała chatyna... Nowoczesny blok przechowuje pamięć o chutorze, na miejscu którego wyrósł on i jego sąsiedzi.

Tak ja odczytuję to panneau. Tak, prawdopodobnie, pojmują je wszyscy „chutorianie”. I już przyjęło się jako naturalne: „Pójdziemy do słoneczników”.

Wieczorem podświetca je reflektor i wygląda to, jakby same słoneczniki promieniowały złocistym blaskiem. Może się здаwać, że tam, na wysokości, widzą one słońce i nie rozstają się z nim.

— Dalej pójde już sama — nagle wyciągnęła do mnie rękę Julka. — Biegnij, bo ci się od mamusi dostanie.

Ona tak zawsze. I kiedy przychodzi do nas, docina: dzieciaczek, mazgajek. Cóż, jest o dwa lata starsza ode mnie — studentka. A kim jestem ja? Uczniaczek z rzadziutkim wąsikiem.

Ale mnie to nie obchodzi. Kiedy jej nie widzę, to nawet nie myślę o niej. Z Talą jest jakoś inaczej. Mogę całkiem nieoczekiwanie wspomnieć o niej i wtedy gotów jestem biec choćby na kraj świata, byle tylko ją spotkać.

Żegnam się z Julką.

Nie zdążyłem jeszcze zrobić nawet dziesięciu kroków, jak zza węgła pojawił się Myszko. Stał bez słowa przede mną.

„Tylko druga klasa...”

— Ja ciebie bić nie będę — spokojnie powiedział Myszko.

— Ja także — odezwałem się zuchwale.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa.

— Tylko przysięgnij — ciągnął dalej — że nigdy blisko nie podejdziesz do niej. No!

— Możesz określić dokładną odległość, na którą pozwalasz mi zbliżyć się do niej?

— Mogę! — wypiął pierś i wydało mi się, że od naprężenia potężnych mięśni cicho brzdęknęły, odpadając, miedziane guziki. A bokser Myszko już poruszał ramionami, potrząsał rękoma — jak przed wejściem na ring.

Po wieczorze sławy wyjątkowo nie miałem ochoty przynosić do domu śliwki pod okiem. Albo pod obydwoma — dla symetrii...

Miałem się na baczości. Byle tylko nie przegapić momentu, w którym Myszko zrobi pierwszy wypad. Wydaje się, że zaraz... Już pochylił się do przodu... Już...

I w tym momencie zaczynam uśmiechać się szeroko, Usta radośnie rozciągają się do samiuteńkich uszu.

Myszko kompletnie zaskoczony patrzy na mnie.

A moje spojrzenie ślizga się obok niego — tam, gdzie za jego plecami wyrastają dwie postacie.

— Chłopy! — wołam.

Tak chyba woła tonący, ujrawszy niespodziewany ratunek. Myszko odwraca się.

Igor wita się z nim uprzejmie, a Szkiper kładzie mu rękę na ramieniu.

Szkiper nigdy z nikim się nie bije. Po prostu nikt nie odważy się z nim zadzierać. I Myszko też, łypnąwszy okiem z dołu na mojego wysokiego przyjaciela, wymamrotał:

— Czego chcesz?

— Zawieram znajomość — ścisnął go za ramię Szkiper.

Bokser zachwiał się.

— Włóż go do kieszeni — doradził Igor.

— Mam dziurawą kieszeń — wypadnie.

— No co wy, chłopaki? — w końcu zmiękł Myszko.

— Czego chcesz od niego? — kiwnął na mnie Szkiper.

Zrobiło mi się żal chłopaka. Prawdę mówiąc, miał on wszelkie powody złościć się na mnie. Czyż ja sam milczałbym, gdyby ktoś tak podrywał Talę?

— Zostaw, Szkiper — powiedziałem. — On ma do mnie prośbę. Spełnię ją, Myszko.

— Słowo honoru? — ucieszył się ten.

— Powiedziałem przecież.

— No, spływaj, spływaj! — szturchnął go Szkiper. A kiedy Myszko znikł, basem odezwał się do mnie: — Chodź za nim, ochraniaj... Książę nepalski...

Z wdzięcznością klepnałem go po plecach.

Trubłainowcy

Mówiłem sobie, że zwołam zbiórkę załogi w czasie ferii, bo potem będzie za mało czasu; ostatni okres — to nie żarty. Naprawdę zaś nie dopuszczałem do siebie niepokojącej myśli o tym,

że Lidia Ołeksijiwna jednak dopnie swego — zabiorą mi trubłainowców. W uszach jeszcze dotąd miałem jej kategoryczny głos: „Będę nalegała”. Ale może dyrektor jej nie usłucha? Może rzeczywiście uważa, że po kilku latach wrócę jako nauczyciel, tylko kiedy to będzie...

Lepiej o tym nie myśleć. Jeszcze są ferie i można zbierać się z trubłainowcami w dowolnej klasie, gadać i śmiać się głośno, jak tylko przyjdzie na to ochota. A potem wysłuchiwać uwag babci Marii: „Więcej nie pozwolę! Nie wpuszczę! Narobiliście takiego hałasu!”.

— Ależ, babciu Mario, nas przecież jest tak mało — jeden, drugi i to wszystko.

— Tfu, ty — popatrz na nas woźna. — Raz, dwa, trzy, cztery... siedem. I to w siedmiu tak hałasowaliście?

Czasem w siedmiu, a czasem tylko w piątkę. Mimo wszystko są ferie: ktoś wyjechał, ktoś spędza wolny czas z rodzicami. Ale obojętnie ilu by nas się zeszło, zawsze jest nam dobrze razem.

Almanach już prawie gotowy. Starannie wypisaliśmy na jego stronicach wiersze, opowiadania, ciąg dalszy powieści fantastycznej Hliba Parfeniuka. Katia Sapiha wymyśliła partyzancką przygodę, nafantazjowała jeszcze więcej niż Hlib. A Kostyk nic nie napisał. „Nie mogę, wychodzi bardzo prosto, nie tak, jak to widziałem, brzozy były zupełnie inne”.

Pierwsze męczarnie słowa. One nie dają spokoju Mykole Kucence, naszemu optymiście Syropczykowi. Wybrał znaczki z podobiznami pisarzy, którzy urodzili się albo pracowali w naszym mieście, ale napisać o tym mimo wszystko nie zdołał.

Egzaminu póki co Syropczykowi nie urządzaliśmy, poprosił o przeniesienie tego na koniec ferii. Kiedy prosił mnie o to, tak się denerwował, jakby szło o egzamin, od którego zależy jego promocja do następnej klasy. Na nosie wystąpiły mu kropelki potu, co chwila oblizywał spierzchnięte wargi. Ktoś inny na jego miejscu pewnie jeszcze by zbladł, ale bladeść nie zagraża temu krzepkiemu chłopakowi: policzki ma zawsze rumiane jak owoce jarzębiny.

Obok Mykoły stała Tania Hurkało i to ona zbladła jak płótno: cierpiała za niego.

— A może zwolnimy go z egzaminu? — spytała cichutko i o-

bejrzała się, czy przypadkiem ktoś nie słyszy jej wywrotowej propozycji.

Ale nikt nie słyszał, wszyscy stłoczyli się wokół stołu — opracowywali almanach.

— Nie trzeba — z nadzieją spoglądał na mnie Syropczyk, czekając na zgodę.

— To jest sprawa całej załogi. Ale czy ty, Mykoło, jesteś gorzszy od innych? Słusznie, nie trzeba.

— Zrozumiałaś? — osłabionym głosem powiedział do Tani Syropczyk i nagle oczy jego zajaśniały nową nadzieją. — Waleriju, a czy mógłbym zdawać partiami?

— Jak to — partiami?

— No, dzisiaj jedno, jutro jeszcze coś.

— A co mógłbyś dzisiaj?

— Co mógłbym?... — wypłoszył się i pytająco spojrzął na Tanię.

— Przeczytaj wiersz o Trubłainim — odpowiedziała.

— Aha — kiwnął chłopiec. — Mam czytać, Waleriju?

— Uwaga! — zawołałem wszystkich. — Mykoła Kucenko chce przeczytać wiersz o Trubłainim.

— Sam go napisał? — zapytał Stasyk.

— No co ty! — szczerze zdziwił się Syropczyk. — To dziadunio ułożył.

— Babusine bajeczki, dziadziusiowe wierszyki — ciągle jeszcze mścił się za Tanię Stasyk.

— Nie przeszkadzaj mu — strofowałem zazdrośnika.

— Aha, dziadziusiowy... — Syropczyk oblizał usta i, nabrawszy pełne piersi powietrza, przygotował się do deklamacji. Naturalnie, deklamacji. A do czegoż innego, skoro zadarł do góry głowę i tak się naprężył? Zaraz wybuchnie wierszem i wtedy już moich trubłainowców nic nie pohamuje — będą zaśmiewać się do upadłego.

Pierwsze, od czego zaczynaliśmy zajęcia w naszym klubie — to wyraźne czytanie utworów literackich.

Dostałem na ten temat specjalną książkę docenta instytutu pedagogicznego Bujalskiego — „Kurs artyzmu”. Oprócz tego mam jeszcze wiele płyt, żadnej nowości nie przegapię. I trubłainowcy ostatnio także zaczęli gromadzić fonotekę. Wspólnie słuchamy

prozy i wierszy w wykonaniu artystów i autorów. Przedtem uważaliśmy, że należy nie po prostu mówić, tylko „deklamować”, i im głośniej, tym lepiej. Stopniowo zrozumieliśmy, w czym rzecz — trzeba właśnie po prostu mówić...

Syropczyk ma, widocznie, potężne płuca: wciąż jeszcze nie robi wydechu. Chłopcy i dziewczęta, przeczuwając niezłą zabawę, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

Oto zaraz odbędzie się typowy występ taboretowy. Tak nazywaliśmy gromkie deklamowanie, do którego od dzieciństwa przyuczają nas rodzice, zmuszając do wykrzykiwania z krzeseł wierszy ku uciesze gości.

Wiersz dziadzia jest więc stracony, wnuczek zaraz go zarżnie.

— I Trubłaini pisze... Ciszej proszę...

Nie przyszło nam nawet do głowy, że to już pierwsza linijka wiersza.

Mykoła oblizał wargi, powtórzył tę nieoczekiwaną frazę i takim samym ściszym głosem zaczął opowiadać dalej:

I Trubłaini pisze... Ciszej, proszę —
Niech płynie utrudzonych myśli bieg.
Patrzcie, on w chłodny deszcz ulewny poszedł...
Patrzcie, to on przemierza pierwszy śnieg...
A oto wstaje. Skrzypi płaszcz skórzany.
Do chaty tajemniczy statek mknie,
Jak ptak, telegraf rozśpiewany
Wieści o niezbadanych łądach śle.
Lecz chmura łamie horyzontu obrys,
I odlewanie czarnej kuli trwa,
Tej, co odszuka serce szczere, dobre —
I zdławi w locie pośród dnia.
Tak, w locie...
I opadną martwo żagle —
Na chwilę tylko,
Bo serce uskrzydłone
Lotność swą żywym oddało jak żagiew
I jak ogrodnik sady ukwiecone.
W mej duszy falą błękit płynie,
Przez czas i przestrzeń widzę — świat

Przemierza szkuner „Trubłaini”,
Skrzydlate żagle wzdyma wiatr.

Siedzieliśmy długo w milczeniu. Nie wiem, o czym myśleli moi trubłainowcy, ale mnie brzmiały w pamięci ostatnie linijki wiersza. „...Przez czas i przestrzeń widzę — świat przemierza szkuner »Trubłaini«, skrzydlate żagle wzdyma wiatr.” Jakieś niezwykle przestrzenne słowa, niepokojące i radosne.

Pewnie wszyscy odczuwaliśmy coś podobnego. Bo oto Kostyk, głęboko poruszony i zdumiony, ledwie dosłyszalnie, jakby rzeczywiście obawiał się, że może zakłócić „utrudzonych myśli bieg”, spytał:

— Twój dziadek jest poetą?

— Ależ nie — nadal jeszcze stojąc, odrzekł Mykoła. — Kiedyś pisał wiersze, w młodości. A ten... Chyba niedawno. Kiedy opowiedziałem mu o waszej... o naszej załodze, przeczytał mi to. Powiedział, że daruje ten wiersz wam... nam, trubłainowcom.

— Niech przyjdzie do nas — powiedział Łesyk Smahlij. — Poproś go o to.

— On przyjdzie — kiwnął Mykoła. — Sam chciał przyjść.

— Ten wiersz — wstała z ławki Katia — umieścimy w naszym almanachu na pierwszej stronie.

Wszyscy poparli ją zgodnie.

— Tylko trzeba napisać — odezwał się Hlib — że podarował go nam człowiek, który znał Trubłainiego osobiście.

— Słusznie — zgodziłem się. — No więc, Syropczyku, podyktuj Kati.

— Teraz?

— Od razu tu go wpiszę — Katia wzięła almanach.

— A ja mam propozycję — spojrzał na mnie Kostyk. — Przyjmijmy Syropczyka do naszej załogi.

— A egzamin? — nie zgadzał się Stasyk.

— Wszyscy przecież słyszeli — obrzucił kolegów wzrokiem Kostyk — jak Syropczyk czytał!...

— A więc dlatego, że on ma takiego dziadka, może obejść się bez egzaminu? — zjadliwie zapytał Stasyk.

— Co tu ma do rzeczy dziadek? — wybuchnęła Tania. — A ty umiesz tak mówić wiersze?

Ja sam także chciałem zaprzeczyć Stasykowi, ale niechaj sami beze mnie rozsądzą. Po co im narzucać swoje zdanie?

— Też mi recytator! — parsknął nasz liryk.

— Recytator! — nie ustawała w ataku Tania. — Daleko ci do niego.

— Nie jesteśmy amatorskim zespołem artystycznym — obstawał przy swoim Stasyk.

— Czy mogę? — podniósł rękę Radyk Baszniak.

Jest to chłopiec o unikalnych zdolnościach: natychmiast zapamiętuje wiersze, choćby najdłuższe — przeczyta albo usłyszy i już zna. Tylko jest wyjątkowo wstydlivy, jedyny z naszej załogi podnosi rękę, kiedy chce coś powiedzieć.

— Mów — kiwnął Kostyk.

Baszniak milczał przez chwilę, a następnie zapytał Syropczyka:

— A dlaczego tam skrzypi skórzany płaszcz?

— Gdzie? — w pierwszej chwili nie pojął, o co idzie, Mykoła.

— W wierszu.

— Nie wiesz? — zdziwił się Syropczyk.

— Wiem. A ty?

— Oczywiście, że wiem. Przecież Trubłaini był komsomolcem w latach dwudziestych, a komsomolcy chodzili wtedy w skórzanych kurtkach i płaszczach. Jak komisarze. A potem był podróżnikiem i także...

— Dobrze... — zakasłał Baszniak. Widocznie w ten sposób pokonywał swoją wstydlivość. — Jest tam jeszcze powiedziane: — „I odlewanie czarnej kuli trwa, tej, co odszuka serce szczere, dobre — i zdławi w locie pośród dnia”. Dlaczego?

— Przecież zabili go. Faszyści.

— Kiedy?

— Dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

— To wszystko — rzekł Baszniak i usiadł.

— Czy są jeszcze pytania? — obrzucił wszystkich wzrokiem Kostyk. — Może ty, Waleriju? Nie ma? No, więc... Kto jest za tym, żeby przyjąć Syrop... Mykołę Kucenkę w charakterze junga do załogi szkunera „Trubłaini”? Wszyscy!

Odwróciłem się do Stasyka. On także podniósł rękę. Syropczyk promieniał z radości. Od uśmiechu jego twarz jeszcze bardziej się zaokrągliła.

Na zawsze komisarzem

Po raz pierwszy w życiu zapragnąłem napisać wiersz.

Istnieje przekonanie, że w dzieciństwie, w młodości wszyscy próbują swoich sił w poezji. Ja popełniłem ten grzech jedynie w piątej klasie, a i to nie z własnej woli: nauczycielka zadawała nam układanie wierszy na temat różnych pór roku. Ledwie rozpoczęliśmy naukę — pisz o jesieni, spadł śnieg — smaruj o zimie. Ale u mnie wszystko wychodziło na opak: jesienią pisałem o wiosnie, zimą — o lecie. Dopiero w dziesiątej klasie przeczytałem u Majakowskiego, że jest to, okazuje się, całkiem normalne zjawisko: o wiosnie dobrze pisze się w czasie mrozów, kiedy jest ona jeszcze daleko za górami i bardzo o niej marzysz. Ale nauczycielka piątej klasy nie zważała na Majakowskiego — może zresztą nie знаła tych jego teoretycznych przypuszczeń — i obniżała mi oceny za odbieganie od tematu...

Z własnej woli tylko dwukrotnie sięgałem do twórczości literackiej — kiedy pisałem do Tali liścik na motywach perskich baśni, i teraz — ten felieton o telefonie. Ale stałego pociągu do pisania nigdy nie czułem. Wypracowania szkolne? To się nie liczy. Chociaż, jeśli sprawę traktować poważnie, to powinny one być pisane tak samo z pasją jak wiersze. Nie wiem, czy stać mnie na to, ostatnia praca wylazła mi bokiem... I oczywiście, każe spodziewać się nowych nieprzyjemności...

Od czasu kiedy zacząłem pracować z trubłainowcami, usiłuję wyjaśnić sobie, czym mnie przyciągają ci chłopcy i dziewczynki, którzy próbują pisać. Lubię literaturę — to raz. Wydaje mi się, że znam się na niej — dwa. Pragnę być nauczycielem — trzy. Czy tego wystarczy? Przecież sam nie piszę. Ale mam na to następujący argument. Pewnego krytyka zapytano, jak może on udzielać rad poetom, jeśli sam nie ułożył ani jednej poetyckiej strofy; odpowiedział, że nie zniósł też żadnego jajka, ale to mu nie przeszkadza lepiej niż jakiegokolwiek kurze znać się na ja-

jecznicy. Naturalnie, słowna ekwilibrystyka, ale wiele zdrowego sensu jest w tej anegdocie. Na przykład znani reżyserzy sami nie zawsze grają na scenie.

Rzecz oczywista, nie zamierzam robić pisarzy z moich trubłanowców, co byłoby śmieszne. Do czego więc wszystko to jest mi potrzebne? Sam nie znajdowałem słów, żeby wyjaśnić swoje zamiłowanie do takiej pracy z dzieciarnią. Odnalazłem te słowa u Suchomłyńskiego: „Uczyć twórczości poetyckiej należy nie po to, żeby wyhodować młodych poetów, ale po to, żeby uszlachetnić każde młode serce”. Rozumiem, to zbyt ciężki bagaż dla mnie, ale ja przecież określam swoją drogę na przyszłość. Dlaczego więc miałbym zaczynać ją od drobnych zadań, a nie od najważniejszego?

I mimo wszystko dobrze byłoby, gdybym umiał pisać... Dziwne, dlaczego nie nęci mnie poezja?

Do późnej nocy siedziałem przy stole w gabinecie taty. Przed mną leżał czysty arkusz papieru, nie mogłem wydusić z siebie ani słowa — wszystko tkwiło we mnie. Nie myśli, lecz uczucia. A w jaki sposób uczucia stają się słowami? Chwilami zaczęły się jakaś myśl i natychmiast znika, jak tylko dotknę pióra.

Mama kilka razy zaglądała do gabinetu, z z troskaniem kiwała głową. Słyszałem, jak wysyłała do mnie tatę, ale tata nie szedł i byłem mu za to wdzięczny.

Wyłączyłem światło, długo patrzyłem w okno. I myśli moje swobodnie błądziły gdzieś bokami. Zainteresował mnie koronkowy splót cieni na szybach, rzucały je tam gałęzie lipy; kiedy nadbiegał wietrzyk, cienie ożywały — jakby ktoś niewidoczny plół zadziwiający wizerunek. Cienie malowały na szkle sztychy o zatartych konturach, najlepiej wychodziły kontury gór...

Góry widziałem tylko raz, jeszcze w siódmej klasie jeździłem z rodzicami do Chosty, małego miasteczka w pobliżu Soczi. Stamtąd przywoziłem kolekcję minerałów. Dla Pawła Andrijowycza. Rozłożyłem je w skrzynce, którą podzieliłem na przegródki; do każdego minerału zrobiłem tabliczkę z opisem. Kolekcja ta do dziś znajduje się w pracowni geograficznej.

I z jaką radością niosłem swój prezent do szkoły! Ze wzruszeniem obserwowałem, jak Pawło Andrijowycz ogląda każdy kamyczek.

Właśnie o tym będę pisał. Decyzja pojawiła się nieoczekiwanie, ale teraz wydawało mi się, że od samego początku, jak tylko usiadłem przy stole, myślałem o Pawle Andrijowyczu. Jeszcze nie wiedziałem, co wyjdzie spod mojego pióra, wirował tylko we mnie jakiś niepojęty nastrój wywołany kwietniową nocą... Tala? Tak, Tala. Byłem pewien, że teraz nie dają mi spokoju również jej myśli. Igora, Szkipera, Pipina-jeszcze-krótszego, Hromowej — myśli i uczucia wszystkich moich kolegów z klasy. Przecież ileż razy my, zakochani w naszym nauczycielu, rozmawialiśmy o nim...

Świtało. Otworzyłem okno — odsunąłem mereżkę cieni i żywe gałązki dotknęły moich rąk.

Kiedy nad horyzontem dzwignęło się już słońce, przede mną leżały pośpiesznie zapisane stronice. Nie czytając, włożyłem je do teczki. A po co odczytywać? Mógłbym z pamięci powtórzyć wszystko, co napisałem tego ranka.

...Nigdy nie byłem jeszcze w tak radosnym nastroju. Siedzieliśmy w pracowni geograficznej, otaczała nas nienaturalna dla szkoły cisza — jeszcze nie skończyły się wakacje. Ale ja śpieszyłem ze swoim prezentem, nie mogłem się doczekać, kiedy minie ostatni tydzień lata.

— Podobało się panu na Kaukazie? — spytał Pawło Andrijowycz.

— Bardzo. Szkoda tylko, że nie widziałem śnieżnych szczytów, jedynie z daleka — nad jeziorem Rica.

— Tak, to nie Elbrus.

— Pawle Andrijowyczu, a pan był na Elbrusie?

— Byłem.

— A jaki był największy szczyt, który pan zdobył?

— Łysa Góra.

— To szczyt?

— Nie, niewielkie wzgórze w Polsce. Pół doby nasz pluton atakował to wzniesienie.

Na ścianie przy oknie wisi mapa geograficzna.

Spoglądam na tę mapę, widzę, jak wiatr z uchylonego okna kołysze ją — i teraz ona już wydaje mi się być żaglem. Pod nogami kołysze się pokład, o burtę uderza prężna fala, a na mostku kapitańskim spokojnie przechadza się nasz Komisarz.

Tak nazwali uczniowie Pawła Andrijowycza jeszcze wtedy, kiedy po wojnie przyszedł do szkoły. Bo nasz nauczyciel w czerwcu czterdziestego pierwszego poszedł na front jako komisarz. Teraz już nie ma takiego stopnia, ale uczniowie zachowali go dla swojego nauczyciela na zawsze.

Co ja wiem o moim nauczycielu?

Cztery lata studiował geografię w instytucie pedagogicznym. I w ciągu czterech lat odbywał swoją praktykę — pół Europy przeszedł: była wojna.

„Geografia — powiedział do nas na pierwszej lekcji — to nauka o ziemi”.

Cóż, prawda to niepodważalna, znałem ją już z podręcznika. Ale naprawdę poznałem dzięki nauczycielowi: jego geografia — to nauka o ziemi ojczystej. I niech prowadzi cię ona do lodowatej Antarktydy, do pałacej Sahary, do dżungli i prerii — ty nigdy nie zapomniałeś i nie zapomnisz, że jest na kuli globusa kraj koloru twojej krwi.

Upłynie czas, zostaniemy lekarzami, robotnikami, inżynierami, żołnierzami, nauczycielami, ale i ja, i moi rówieśnicy, i ci, co ukończą szkołę po nas — wszyscy na zawsze pozostaniemy uczniami Pawła Andrijowycza. Bo kimkolwiek byśmy byli — każdego dnia życie otwierać będzie przed nami stronicę nauki o ziemi ojczystej.

Słoneczniki nad ulicą

Tylko podczas wakacji za dnia na ulicach bywa tyle dziewcząt i chłopców w wieku szkolnym. Zwykle bowiem dopiero wieczorami, zmęczeni i oszołomieni lekcjami i zajęciami domowymi, wychodzimy pooddychać świeżym powietrzem.

A teraz można pogrzać się na słońcu, tym bardziej że tegoroczna wiosna szczerze nam go użycza. Marzec już dawno pachnie kwietniem.

Chodniki całutkie zakreślone „klasami” i pod nogami przechodniów jak wróble skaczą dzieciaki; zmrużywszy oczy, gonią swoje kamyczki do „nieba”. Zabawne, trzeba przejść wszystkie „klasy”, aby trafić do tego „nieba”.

Spokojnie spacerują „chutoriańscy” gitarzyści; wszystkimi głosami wrzeszczą tranzystory; trochę dalej od gwarneho plemienia uczniowskiego drzemia na ławeczkach renciści.

Na naszym podwórku koncertuje Alik, uczeń ósmej klasy szkoły wieczorowej. Z rozkoszą zamęcza gitarę, a kilku jego koleżków, podrygując i wydając jakiś skowyt, z oddaniem wpatruje się w jego usta. Bożek miejscowych bałwanów! Alik zna pięć słów angielskich i chrypi nimi przy dowolnej melodii, czym wyjątkowo zachwyca swoją hop-kompanię.

Ho-ho, brandy,

Darling dandy.

U — u — u!

Tak może trwać do późnej nocy. Wtedy do tego wspaniałego zespołu dołączają podekscytowane marcowe koty i wdzięczni sąsiedzi błagają mamę Alika, by zabrała syneczka do domu.

— How do you do? — zatrzymałem się koło Alika.

— Okey! — wyszczerzył się ten, rad, że ma okazję pochwalić się przed koleżkami swoją erudycją.

Alik poszedł do szkoły o rok wcześniej ode mnie; w szóstej klasie spotkaliśmy się z nim w jednej ławce, ale nie na długo: do cna zapomniał tabliczkę mnożenia, przez pół okresu przypominał sobie i tak, biedaczysko, przemęczył się, że matula zmuszona była zabrać go na odpoczynek.

— Ho-ho, brandy! — powtórzył Alik.

— Ale daje! — zachwycał się jeden z jego pomocników.

— Tolforea! — potwierdziłem z zachwytem.

— Tol — fo — re — a? — powtórzył pytająco Alik. — Tolforea.

Wiem, że to słowo będzie już śpiewał i prześpiewywał na wszystkie sposoby. Często podrzucam mu coś świeżutkiego, tym razem odwróciłem słowo „aeroflot”. A jeszcze wcześniej podarowałem mu kilka pięknych słówek, utworzonych w podobny sposób.

Właśnie je śpiewa:

Kila ocadal

Polej

U — u — u!

— Ciao, bambino! — pożegnałem się.

— Kila ocadal! — odpowiedział mi.

Udałem się do kina. Igor obiecał przyjść. Szkipera nie ma —

pojechał do babci na wieś. Tali także nie będzie, dzwoniłem do niej, nikt nie odpowiada.

A dobrze byłoby całą paczką... E, nie, Walerku, wcale ci nie jest teraz potrzebna cała paczka. Tylko o Tali wciąż myślisz. Nie wychodzi ci ona z głowy. Nawet Julka — przecież taka ładna... Ale w końcu, kuzynka. Do licha, jaka tam kuzynka? Mama słusznie mówi: tacy z nas krewni — na jednym słońcu onuce suszyliśmy. Powiedziała tak, kiedy tata chciał zaproponować Julce, by mieszkała u nas. Och, jak mama się przestraszyła! O mnie. Potem przypadkowo usłyszałem, jak przekonywała tatę, że Julka zawróci mi w głowie...

Przed kinem Igora jeszcze nie było. Stałem dalej od wejścia, aby mógł mnie zauważyć. Ale akurat skończył się seans i znalazłem się w środku wielkiego tłumu. Przepychając się do swobodniejszego miejsca, nagle dostrzegłem Talę. Od razu poznałem jej białą берет.

Początkowo chciałem ją zawołać, ale ona sama się odwróciła. Uśmiechała się radośnie. Dostrzegła mnie! Pomachałem jej ręką i w tej chwili pojąłem, że ona patrzy nie na mnie. Sunął za nią wysoki chłopiec w czapce z renifera. Kto to jest? W naszej klasie nikt nie nosi takiej prehistorycznej uszanki... Nienawidziłem już tego rudego renifera.

Tała obejrzała się jeszcze raz. I znowu oczy jej promieniały.

Kim on jest?

— Walerku! — wynurzył się z tłumu Igor. Coś do mnie mówił, ale ja już niczego nie słyszałem. Patrzyłem w ślad za białym beretem.

— Co z tobą? — zapytał Igor.

— Nic...

— To chodźmy już, z trudem zdobyłem bilety.

— Nie chcę.

— Taki film! I ostatni dzień grają.

— Muszę iść do domu, mają przyjść goście i muszę pomóc mamie — skłamałem.

Pragnąłem tylko jednego — samotności. Denerwowała mnie gadatliwość Woroniuka i ten tłum, i film, którego nie widziałem.

— Cześć — pożegnałem się z Igorem.

Wzruszył tylko ramionami.

Nie zdążyłem jeszcze oddalić się od niego, a już usłyszałem za plecami jego wesoły głos:

— Uroczą damo, nie dostała pani biletu? Ja mam zbędny. Nie, nie jest zbędny, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, aby siedzieć obok.

Ona, zdawało się, że nie miała nic przeciwko temu.

A z kim była Tala?... Mogło się przecież zdarzyć, że ten renifer siedział koło niej, no i rozgadali się. Albo znajomy. Ale dlaczego tak radośnie się uśmiechała? I to także można wyjaśnić. Wymieniali sądy na temat filmu. Logiczne? Logiczne.

Lecz wystarczyło mi przypomnieć sobie jej rozjaśnioną uśmiechem twarz, a już moje logiczne rozważania dostawały w łeb.

I ten mój gest ręki, adresowany w próżnię — dosłownie zameęczał mnie: tak, jakby ktoś widział, jak zostałem wystrychnięty na dudka.

Przyłapałem siebie na tym, że szukam Tali.

Mogła pójść główną ulicą, mogła też skręcić w prawo, na bulwar.

A jeżeli nie jest sama?... Czyżbym miał ją śledzić? Baran, nieokrzesaniec... Przeklinałem siebie, usiłując w ten sposób zatamować nie znaną mi gorycz...

— Dokąd to tak się rozpędziłeś?

Przede mną stała Tala.

Milczałem, nie wiedząc, co mam powiedzieć. Że szukałem jej? Że myślałem o niej?

— Witaj. — To wszystko, co zdołałem wymyślić.

— No, cześć. A gdzie Igor?

— W kinie.

— Nudny film.

Dlaczego więc była taka rozradowana, jeśli nudny?

— Mogłaś zadzwonić, poszlibyśmy wszyscy razem.

Niczego nadzwyczajnego w moich słowach nie było, zawsze chodziliśmy grupą. Ale Tala nie wiedzieć czemu zmieszkała się — na małą chwilkę — i dalej już znowu spokojnie, jakby nie było w tym nic szczególnego, powiedziała:

— Nie mogłam, byłam zaproszona.

Po raz drugi odczułem to samo, co wówczas, kiedy machałem do niej ręką, a ona uśmiechała się do rudego renifera.

„Przez kogo zaproszona?” — zapytywałem samego siebie, za nic w świecie nie mógłbym tego wymówić głośno.

— Dlaczego tak stoimy w miejscu? — spytała Tala. — Przejdźmy się, dobrze?

Pewnie należało odwrócić się i dumnie odejść. Żegnaj, nasze spotkanie było nieporozumieniem... Tfu, jakie głupstwa przychodzą mi do głowy, nic tylko brać od Alika gitarę i śpiewać rzewny romans.

Szedłem obok Tali, a ona opowiadała o filmie. Niczego jednak nie rozumiałem, słyszałem tylko dźwięki... przyjemne dźwięki jej głosu.

— Walerku — nieoczekiwanie zapytała — a kim jest ta dziewczyna, z którą byłeś w kawiarni?

— Jaka dziewczyna? — zapytałem zdziwiony, zapomniawszy już o Julce.

— Kryjesz się z tym? Mówiono mi, że urocza. To prawda?

Coś boleśnie dotknęło mnie w jej słowach. Ale co?

— Zapoznasz mnie z nią? — I nie czekając na odpowiedź ciągnęła. — Ach, co za dzień dzisiaj!

Już wiem. Obojętność.

Ja na przykład nie ośmieliłem się pytać ją o tego chłopca, bałem się zdradzić swoje wzruszenie, a Tali głos był równy, spokojny, jakby szło tu o coś zwykłego, co jej w ogóle nie dotyczy.

Powiedzieć, że to była Julka, to znaczy jakby tłumaczyć się. Więc tylko burknąłem:

— No, byłem z dziewczyną, a co w tym takiego?

— Oj, Walerku! Zakochałeś się!

— Tylko nie w niej...

Tala spojrzała w bok i zaśmiała się.

— Przypominam sobie, jak we mnie zakochał się chłopczyk...

— Nie jestem dla ciebie chłopczykiem.

Było to niemal wyznanie.

— Wybacz, nie chciałam cię obrazić. To było jeszcze w czwartej klasie. On dźwigał ze szkoły moją teczkę. Walerku, ty nigdy nie nosiłeś dziewczętom teczek?

— Nie.

— Wiesz, jakim próbom poddawałam tego chłopczyka? Wkładałam do teczki cegły. A on, biedaczysko, nadszarpywał się, ale

nie dawał za wygraną. Nawet nie pytał, dlaczego moja teczka jest taka ciężka. Pewnego razu jednak pokłóciliśmy się i on zdzieilił mnie moją własną teczką po plecach.

— Z cegłami?

— Aha, z dwoma cegłami i książkami. Po tym już nie mam odwagi sprawdzać czyichś uczuć.

Zaśmiała się dźwięcznie, wesoło, ale nagle umilkła.

— Walerku, czemu jesteś taki nachmurzony?

— Głowa mnie boli... — Dzisiaj miałem dzień pełen jednego wielkiego kłamstwa.

— Wstąpimy do apteki?

— Nie. Chodźmy do słoneczników.

— Podobają ci się? — z ciekawością spojrzała na mnie Tala.

— Bardzo.

— Coś ci o nich opowiem...

A co o nich mówić? Czy ona lepiej ode mnie odczuwa ich piękno? Ja sam mogę jej wyjaśnić, jak odczytuję te złote słońca nad ulicą.

Kiedy podeszliśmy do słoneczników, znieacka przyszła mi ochota powiedzieć jej coś obraźliwego, dokuczliwego. Przypomniały mi się jej słowa, że ja nigdy nie porzucę rodzinnego gniazda... przypomniał się chłopak, do którego tak radośnie uśmiechała się... jej obojętność wobec mnie...

— A co ty o tym wiesz? — wskazałem na panneau. — Jestem pewien, że twoje wyobrażenie o architekturze ogranicza się do cyfr. No, malujesz coś tam... wykresy. Dopóki nie zrozumiesz poezji — takiej, jak te słoneczniki, nic z ciebie nie będzie. Tylko ślepe ściany...

Tala wcale nie obraziła się, przeciwnie — była ucieszona.

— Walerku, pamiętasz, co powiedział Pawło Andrijowycz na zebraniu rodzicielskim?

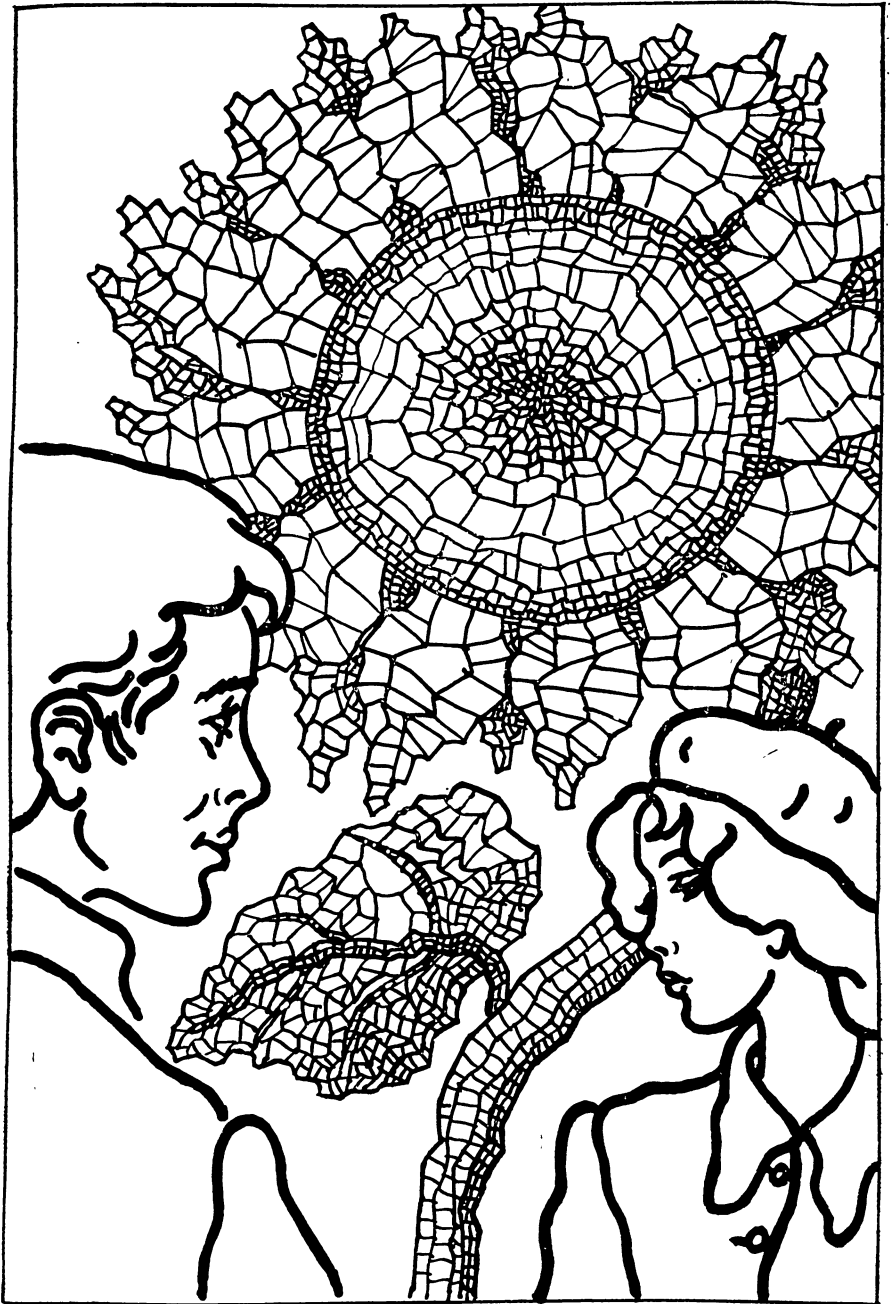
— A co?

— No, o mnie. Niedługo wszyscy dowiedzą się, jak Zarajska... A ja mu wtedy przerwałam...

— I o czym to się dowiedzą?

— No, o tym wszystkim. — Tala przeniosła wzrok na słoneczniki.

— Nic nie rozumiem.



— Przecież to moje! — uśmiechała się Tala do słoneczników.
— Jak to — twoje?
— Ja namalowałam.
— Na ścianie? — głupekowato spytałem, dobrze wiedząc, co to jest mozaika.

— Nie, na papierze. Te słoneczniki wymyśliłam ja. Romanowi Romanowiczowi spodobało się, poznał mnie więc z plastykami-monumentalistami, a oni już dalej rozpracowali.

Ogłupiały spoglądałem to na Talę, to znów na słoneczniki. Było coś nierealnego w tym wszystkim: ogromne słońca i małe dziewczynka, jeszcze uczennica...

— Tobie naprawdę tak to się podoba? — Tala wzięła mnie za rękę. — Patrz, jak promienie pozłociły płatki słoneczników. Pięknie, prawda?

Odczuwając ciepło jej słów, bałem się nawet poruszyć.

Julka

Julka przyszła, kiedy tato i mama byli w teatrze. Sobota — to jej dzień. Przyjdzie do nas i śpi, jak po maku. W niedzielę nawet w południe nie sposób jej dobudzić. Naturalnie, w akademiku nie bardzo można się wyspać. Więc przynajmniej raz na tydzień może porozkoszować się snem. Poza tym lubi się kąpać. Wyśpi się, a potem siedzi w wannie prawie do wieczora.

— Witaj, braciszku! — przytuliła się do mnie Julka, kiedy otworzyłem jej drzwi.

Ostrożnie odsunąłem się, Julka zauważyła to i pogardliwie zmierzyła mnie od stóp do głów.

— Wejdz dalej — burknąłem — kolacja jest w kuchni.

Zamknąłem się w gabinecie taty, niech myśli, że wkuwam. Siedziałem z otwartą książką — wzięłem, co nawinęło się pod rękę — i wsłuchiwałem się w odgłos kroków Julki. Ona widocznie już podjadła i tłukła się po mieszkaniu, ma taki zwyczaj — płatać się z kąta w kąt i przestawiać mamine drobiazgi. Po wizycie Julki wazon można znaleźć w kuchni, koronkową serwetę ze stołu — na kanapie, porcelanową tancerkę — na lodówce. Mamę to strasznie irytuje, mówi do taty, że gdyby Julka była jej

krewną, a nie jego, to nie wpuściłaby tej roztrzepanej dziewczyny za próg. Wiem, że mama niepokoi się nie o porcelanową tancerkę, ale o mnie. Tak, jakby mnie można było stłuc...

W dzieciństwie z Julką nie spotykaliśmy się. Po raz pierwszy przyjechała do nas w ubiegłym roku. W czasie zdawania egzaminów wstępnych do instytutu mieszkała u nas. W żaden sposób nie mogłem przyzwyczać się, że jest moją kuzynką. I do tej pory nie mogę przywyknąć. W ogóle, dokopać się do naszych związków pokrewieństwa to sprawa niełatwa: mój tato i jej mama — to dalecy kuzyni. A kim my jesteśmy dla siebie? Krewnymi czwartego rzędu.

Julka jest bardzo piękna. Dostrzegłem to od razu. A w pełni uświadomiłem sobie, kiedy ubiegłej jesieni wróciła z wakacji. Wpadła do nas, rzuciła mi się na szyję i pocałowała. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że do przedpokoju wejdzie mama i ujrzy taką wspaniałą scenę: Julka wisi mi na szyi i podryguje nogami. Oczy przesłoniła mgła, jakiś kłębek podtoczył się do gardła. Ochrypiłym głosem coś odpowiedziałem na słowa Julki o tym, że stęskniła się za mną, a moja szalona kuzynka zaśmiała się i znowu mnie pocałowała — prosto w usta. Licho wie, jak to się stało, ale ja także ją pocałowałem. Julka nagle mnie odepchnęła i ze zdziwieniem popatrzyła mi w oczy.

Nie mogę zapomnieć jej rąk, jej ciepłych, słonawych ust. Ale dziwna rzecz: kiedy myślę o tym, chciałbym, żeby to były ręce Tali, Tali usta...

Do instytutu Julka nie zdała, oblała ostatni egzamin. Zdażyła złożyć dokumenty do szkoły medycznej, tam akurat rekrutowano dodatkową specjalną grupę spośród absolwentów szkół średnich. Julka szybko się pocieszyła: jej jest wszystko jedno, na kogo się uczyć, nie będzie agronomem, to będzie felczerem. „A co, felczerki za mąż nie wezmą?” — śmieje się. Julka żyje lekko i wesoło, nigdy nie widziałem jej zasmuconej.

Wsluchiwałem się w jej kroki.

— Julko! Włącz telewizor, za pięć minut będzie koncert estradowy.

— A ty będziesz oglądać?

— Jeżeli skończę robotę...

Kiedy zaczął się koncert, jeszcze trochę posiedziałem w swo-

jej kryjówce, potem wyszedłem. Dla niepóźnaki zrobiłem zakłopotaną minę, przeciągnąłem się, dając wyraz zmęczeniu.

— Pojutrze do szkoły, wakacji jakby w ogóle nie było.

— Walerku, a ty nie uschniesz przy tej nauce?

— Nie żartuj, chemia mi leży na wątrobie.

— Jednak jesteśmy krewnymi — zaśmiała się Julka. — Mamy identyczne wątroby, w mojej też chemia siedzi. Ciszej, Gulajew będzie śpiewać.

Nie usiadłem przy niej na kanapie, lecz ulokowałem się z boku, przy stole. Julka rzuciła na mnie krótkie spojrzenie i dostrzegłem w jej oczach podziw.

— Wygodnie ci tam? — spytała po chwili.

Kiwnąłem twierdząco, uderzony jej głosem. Pobrzmiwała w nim jakaś nienaturalna dla Julki nutka. To było coś nowego: Julka i smutek.

Ale nie myślałem już o tym dalej. Przede mną były złote słoneczniki Tali, a ręka zamarła pod wrażeniem jej ciepłego dotyku...

Aprilisowe żarty

— Towarzysz Tkaczuk? — usłyszałem w słuchawce brzęczący tenorek.

— Chciał pan, oczywiście, mówić z tatą. Jest na dyżurze.

— Nie, potrzebny mi jest Walerij Tkaczuk.

— To ja. A o co chodzi?

— Niepokoi pana Aleksander Wasylowycz.

— Jaki Aleksander Wasylowycz?

— Aj-ja-jaj, jak panu nie wstyd, zapomnieć o mnie — brzęczał tenorek — spotykamy się codziennie, kiedy idzie pan do szkoły. Co prawda, pan ze mną nigdy się nie wita, ale ja przed panem zawsze zdejmuję kapelusz.

Intensywnie przekopywałem pamięć, przypominając sobie moich wszystkich znajomych starszków. Może ktoś z przyjaciół taty? Ale co tu robi ów kapelusz?

— Przepraszam — zapytałem grzecznie — nie myli się pan czasem?

— Nie nie, młodzieńcze, znam pana dobrze. Kiedy przechodzi pan koło mnie, ja unoszę się w strzemionach i zdejmuję kapelusz.

Jakiś pomylenieć. Strzemiona... Kapelusz... Zdaje się, że tato nie ma pacjentów w szpitalu psychiatrycznym. A jeżeli nawet, to skąd mogliby wiedzieć o synu ich lekarza?

— No, proszę pomyśleć, proszę pomyśleć — Aleksander Wasylowycz. Czyżby pan nie pamiętał?

— Nie...

— Suworow jestem. Ten sam, generalissimus. Dzisiaj mamy pierwszego kwietnia, więc zszedłem ze swego konia, aby przywitać pana z okazji tego dnia.

Mój współrozmówca odłożył słuchawkę i już, oczywiście, nie mógł usłyszeć mojego wybuchu śmiechu. Zuch Igor! Wspaniale to rozegrał. Tylko nie ciesz się zawczasu, przyjacielu. Myślisz, że ciebie nie poznałem? Trochę z opóźnieniem, ale przypomniałem sobie brzęczący głos. Powtarzasz się, artysto. Nie szkodzi, zaraz wyznaczę ci spotkanie koło tego samego pomnika Suworowa, nabiegasz się trochę wokół konia.

Pierwszego kwietnia uczniowie zawsze robią sobie kawały. Najodważniejsi nie omijają nawet nauczycieli. W ubiegłym roku na przerwie przed lekcją chemii do klasy wszedł jakiś staruszek, siwy, z capią bródką, z krzaczastymi brwiami, wystającymi ponad przyćmione okulary.

„Jestem dziadkiem Woroniuka” — przedstawił się i poprosił, by zawołano wnuka. „A czemuż to ja nigdy pana nie widziałem? — zdziwiłem się szczerze. — My z Igorem przyjaźnimy się od dzieciństwa, bywam u niego prawie codziennie”. Stary leciutko poklepał mnie po ramieniu: „A ja dopiero co przyjechałem. Z Wysp Kurylskich”. No, jeśli do człowieka przyjeżdża dziadek, i to jeszcze tak z daleka, jakże mu nie pomóc? Całą klasą biegaliśmy po szkole, poszukując Igora, ale nie znaleźliśmy. Tymczasem staruszek, zapytawszy, gdzie jest miejsce jego wnuka, usiadł w ławce i, kiedy rozpoczęła się lekcja, poprosił Nadię Charytoniwnę, by pozwoliła mu pobyć w klasie. „Kiedy już nie ma mojego wnuka, to ja sam posłucham nowego materiału i przekażę mu”. Chemiczka wzruszyła ramionami: „Bedzie to dla pana zrozumiałe?” Staruszek dumnie pogładził bródkę: „Je-

stem chemikiem z wykształcenia, koleżanko!” Nadija Charytoniwna rozpromieniła się i obrzuciła nas wychowawczym spojrzaniem. Z ciekawością spoglądaliśmy na wyspiarza: cóż, dziadek dziwaka artysty również jest dziwakiem. Albo odwrotnie. Gdzieś pod koniec lekcji dziadek nagle zapadł się pod ławkę — stamtąd wydostał się rozczochrany Igor z resztkami charakteryzacji na twarzy i jedną siwą brwią. No, oczywiście Nadija Charytoniwna nie ukarała go, pośmiała się razem z nami, po czym poprosiła do tablicy: „No, powtórz, o czym mówiłam, zobaczymy, co ci przekazał twój dziadek”. Nasz artysta jakby trafił do pantomimy — w milczeniu stał przed nauczycielką i przedstawiał intelektualistę, który intensywnie myśli. Wzięty gdzieś z garderoby staromodny garnitur, który tak pasował dziadkowi, teraz wyglądał komicznie. „Co mnie najbardziej oburzyło — przerwała jego pełne skupienia rozmyślenia Nadija Charytoniwna — to fakt, że ty, Woroniuk, śmiałeś nazwać siebie chemikiem, moim kolegą”. Cóż mógł na to powiedzieć artysta? A jednak powiedział. Wyszedł z trudnej sytuacji. „My rzeczywiście jesteśmy kolegami, Nadijo Charytoniwna. Tylko pani wywołuje reakcję w kolbie, a ja na widowni”. Trzeba było widzieć twarz tego zuchwalca. Biliśmy mu brawa. Nadija Charytoniwna klaskała razem z nami.

W tym roku dzień kawalarzy wypadł w niedzielę. Jaka strata dla uczniów! Ale Woroniuk nie traci czasu. Pewnie od rana zdążył już obdzwonić wszystkich kolegów z klasy. Cóż, nie zostaną dłużny.

Odczekawszy około dwóch godzin, zawołałem Julkę i przedstawiłem mój plan. Po jej wczorajszym niespodziewanym smutku nie zostało nawet śladu. Oczywiście, było to ze zmęczenia. A teraz po solidnym śnie i długiej kąpieli Julka chętnie zabrała się do dzieła.

— Mieszkanie Woroniuka? — zapytała wykręciwszy numer Igora. — Chciałabym mówić z Igorem. To pan? Dzwonię do pana z Pałacu Kultury, z polecenia Tymofija Stepanowycza. Pilne zadanie.

Tymofij Stepanowycz to reżyser teatru ludowego. Igor szanuje go bardzo, uważa prawie za Stanisławskiego.

Przyłożyłem ucho do słuchawki.

— Jakie zadanie? — chwycił przynętę Igor.
— Dawaj! — kiwnąłem do Julki.
— Dzwoniono do nas z patronackiego kołchozu, proszą o wystawienie spektaklu. Wyjazd o siedemnastej. Przyślą autobus.
— Gdzie się zbieramy? — połknął haczyk artysta.
— Koło pomnika Suworowa. Szesnasta pięćdziesiąt. Tylko proszę przyjść punktualnie.
— A co dajemy?

Julka spojrzała na mnie pytająco.

— „Nazara Stodolę” * — szepnąłem.

— „Nazara Stodolę” — powtórzyła i położyła słuchawkę.

Przed triumfalnym spotkaniem z Woroniukiem zdażyłem jeszcze zjeść obiad, poczytać, obejrzeć film w telewizji. A Igor pewnie przygotowuje się, odświeża w pamięci rolę — jednym słowem, ma kłopot.

O godzinie siedemnastej byłem już na placu Halickim. Z odali obserwowałem, jak wielki artysta, niecierpliwie spoglądając na zegarek, kręci się wokół pomnika. Suworow, uniósłszy się w strzemionach, machał mu swoją żeliwną trójkątną czapkę.

Z obojętną miną na twarzy przeciąłem plac i zawołałem ze zdziwieniem:

— Igor? Cześć! Co ty tu robisz?

— A to kłopot — z udaną obojętnością rzekł Igor — z występem trzeba jechać, a ja miałem zupełnie inne zamiary. Pamiętasz, jak wtedy nie poszedłeś do kina? Poderwałem wtedy taką dziewczynę! Marianna Wertyńska! Claudia Cardinale!

— Jesteś z nią umówiony? — zapytałem współczująco.

— Trudno, niech się przyzwyczaja. Sztuka wymaga poświęceń.

Zainteresowałem się szczerze, o której Woroniuk ma jechać, kogo gra dzisiaj. Odpowiadał zarozumiale, dumnie, ale widziałem, że już się denerwuje: było piętnaście po piątej.

— Niepokoisz się o coś?

— Mieli przysłać samochód — rzucił niedbale artysta. — Coś się grzebią.

— Osobisty, po ciebie? — niemal umierałem z zachwytu.

* „Nazar Stodola” — dramat społeczno-obyczajowy Tarasa Szewczenki

- Osobisty — potwierdził Igor, nie wyczuwając podstępny.
- To skacz na koniu — doradziłem mu prostodusznie.
- Na jakim koniu?
- Na tym — wskazałem na pomnik. — Pożycz u Aleksandra

Wasyłowycza.

Igor uważnie spojrział na mnie, a ja się roześmiałem.

— Wygrałeś — zaśmiał się także. — A kto to do mnie dzwonił?

— Ja.

— Kobięcym głosem?

— Mam dla pana polecenie od Tymofija Stepanowycza — zapiszczałem cieniutko.

— To nieuczciwie... A chcesz zostać nauczycielem.

— Koniec. Poddaję się. Odbiorę ci chleb. — Przeszedłem na tenerek. — Pozdrowienia od Aleksandra Wasyłowycza.

— No popatrz, przy mnie i ty stałeś się trochę artystą.

— Tylko ze względów humanitarnych. W trosce o twoją dziewczynę. Umówiłeś się z nią na spotkanie, to idź.

— No, a jeśli... — Woroniuk zaciął się, patrząc obok mnie. — O, Tala!

Odwrociłem się. Z tyłu za mną stała grubaśna kobieta. Zajaędała ogromnego, jak hula-hoop, obwarzanka. Napotkawszy moje spojrzenie, wymamrotała:

— Czy nie wiecie, kim jest ten jeździec?

— To Igor Woroniuk — wyjaśniłem poważnie.

— A koń — dodał Igor — To Walerij. Skrót od słowa „Kawaleria”.

— Zuch! — szepnąłem. — Masz wycucie słowa.

— A gdzie tu jest bar z pierogami? — Kobieta upoęła się już z kołem. — Powiedzieli mi, że gdzieś tutaj...

— Słusznie, o tu, przy tej ulicy — wskazał Igor. — Widzi pani, ona zaczyna się po tamtej stronie placu. A naprzeciwko baru jest restauracja, trochę dalej — bar kawowy. Pójdzie pani w dół...

Nie czekając końca wyjaśnień, kobiecisko z zadziwiającą przy jej tuszy szybkością pobiegło przez plac.

— Jej to dobrze — uśmiechnęła się Woroniuk — ona ma wyraźny obrany cel. A gdzie my się podziejemy? Ot co, Walerku, zepsułeś mi wieczór, więc teraz wymyśl coś.

— Nie mogę, muszę iść do szkoły.

— W ostatnim dniu ferii?! —

— Moi chłopcy wydają almanach. Jak mówi pewien mój znajomy artysta: sztuka wymaga poświęceń.

— Rozumnych masz znajomych — zgodził się Woroniuk. — W porządku, pruj do swojego przedszkola. Odprowadzę cię, jest mi po drodze.

— Dokąd?

— Do Hałoczki.

— A, nowa pasja?

— E, nie — tym razem już na poważnie.

— Po raz który?

— Nie liczyłem, ale po raz ostatni.

Koło szkoły pożegnaliśmy się.

Alarm!

Główne wejście było zamknięte, musiałem iść od podwórza. Nie lubię tego zakątka: ciemno tu, ledwie mruga maleńka lampka, wiecznie zachlapaną wapnem; zalega tu odór pleśni i chlorku — jeszcze od tego czasu, kiedy panowała epidemia grypy wirusowej. Ten mroczny alkierz w żaden sposób nie pasuje do naszej szkoły, jasnej, przestronnej. Niewiarygodne, jak budowlańcy wymyślili taką ślepą kiszkę.

Mimo woli wstrzymując oddech, pokonałem wąski korytarzyk.

Babcia Maria niewzruszenie siedziała na swoim miejscu.

— I po co to włączyć do chaty? — nie pozwoliła mi przejść zbyt łatwo. — Mało tobie lekcji? Patrz tylko, zgarbaciałeś przy tej ławce.

Szkola jest dla niej chatą, tak ją zawsze nazywa. I garbem wszystkich nas straszy.

— Babciu Mario, mam zajęcia. Ze swoim kółkiem.

Między sobą, we własnym gronie — jesteśmy trublainowcy, a tak, dla obcych — członkowie kółka zainteresowań. Żeby zbyt długo nie wyjaśniać.

— O, jeszcze i maluchom głowę zawraca. Niechby ganiałi z piłką, zdążą się nasiedzieć. Tak jak ja.

— Niech ich pani wpuści, bardzo proszę.

— Wpuści, wpuści. Wczoraj prosiłeś, dzisiaj prosisz. Nieporządek. Po co daliśmy wam wakacje?

— Dla wzmocnienia młodej organizmy — dokończyłem za nią. To jej słowa, z którymi przy każdej okazji wypędza uczniów na świeże powietrze.

— Otóż to — twierdząco kiwnęła staruszka. — Puszczę już, ale więcej nie proś, zapamiętaj to sobie.

Wszedłem na trzecie piętro. Zapaliłem światło w naszej klasie i usiadłem przy stole nauczycielskim.

Cicho... Tak niezwykle cicho w szkole. Jaka dziwna jest ta cisza. W każdej chwili gotowa wybuchnąć dźwiękiem dzwonka, głosami uczniów, tupaniem wielu nóg. Cała nabrzmiała oczekiwaniem tego wesołego wybuchu. A jednocześnie jest smutna. Dlaczego? Wsłuchuję się w nią, usiłując ją zrozumieć. I szkolna cisza, wydaje mi się, powierza mi swoje tajemnice. Oto westchnęła za kimś stara ławka; zaskrzypiały, wspominając czyjeś dawne kroki, podłogowe deski; same otworzyły się nie wiadomo komu na spotkanie drzwi...

Niebawem przyjdą moi chłopcy i dziewczęta, przyniosą swoje utwory. Będziemy je omawiać, sprzeczać się. Potem długo będziemy malowali nasz almanach. I nawet ta garstka żywych głosów złagodzi smutek szkolnej ciszy.

Kiedy weszli do klasy, z miejsca dostrzegłem, że coś się stało. Ale nie zdążyłem zapytać — wszyscy razem zaczęli mówić, przecigając się nawzajem.

— A on mówi — nie puszczę do szkoły.

— Nigdy nie puszczę.

— Biję go.

— Codziennie bije, a mamy nie ma — jest w szpitalu.

— Jakaś ciotka przyjechała, dewotka.

— Ciszej — poprosiłem. — Nie wszyscy naraz. Co się stało, Katiu?

— Kostyka tato bije...

I umilkła, spuściwszy głowę. Gadatliwa Katia nie mogła wymówić więcej ani słowa. Spojrzała na mnie — w oczach miała łzy.

— On go bije — z lękiem w głosie wyszeptał Stasyk.

— Ciotka zmusza go do modlitw... — dotarł do mnie głos Stasyka.

— Chodźmy, Stasiu, pokażesz mi, gdzie mieszka Botawski.

— I ja! — poderwał się Syropczyk.

Każdy chciał iść ze mną. Tylko Katia milczała, ale w jej oczach było coś takiego, że zmieniłem swój wybór.

— Ze mną pójdzie Katia, a wy bierzcie się do pracy, dziś trzeba skończyć almanach.

Usiłowałem mówić spokojnie, z przekonaniem, tym samym opanowując własną niepewność.

Już na ulicy Katia cichutko chlipnęła:

— Boję się...

Wkrótce weszliśmy do czteropiętrowego bloku.

— W tej klatce — wskazała Katia — na parterze, mieszkanie numer trzy. Ja zaczekam,...

— Wciąż jeszcze się boisz?

— Aha... O Kostyka.

To właśnie dostrzegłem w jej oczach, kiedy wybierałem, kto poprowadzi mnie do Botawskiego. I byłem rad, że się nie pomyliłem. Choć wszyscy poruszeni byli losem kolegi, jednak dla niej było to osobiste nieszczęście. I ona nie mogła i nie chciała tego ukrywać.

— Wejdiesz ze mną? — zapytałem.

— A jak lepiej? Jego ojciec mnie wypędził. To prawda, że był wtedy pijany. A ciotka zawsze wypędza wszystkich, kto do Kostyka przychodzi.

— Dobrze, poczekaj.

Otworzył mi Kostyk. Łypnął na mnie i obejrzał się płochliwie. W pokoju ktoś śpiewał, dokładniej mówiąc — charczał niskim, ochrypłym głosem.

— Hospody, otcze i władcyko żywota moho-o! *

— To tato — odezwał się chłopczyk.

— Jak się nazywa? — spytałem szeptem.

— Mykoła Łarionowycz. Ale... on jest pijany...

Zawahałem się przez chwilę.

* Panie Boże, Ojczy i władcyko żywota mojego

— Budu woschwalaty tebe, hospody boże mij! Budu... * — głos urwał się.

— Czy można? — przestąpiłem próg mieszkania.

Wszystko tu nosiło ślady wyjątkowej schludności. Przeważał kolor biały. Białe ściany, białe firanki, wiele białych serwetek — na serwantce, komodzie, parapetach, telewizorze. Wśród tej czystości obco wyglądał stół, stojący niemal obok serwantki — wyraźnie nie na swoim miejscu; zawalony był pustymi i nie otwartymi jeszcze puszkami konserw, brudnymi naczyniami, butelkami i resztkami jedzenia.

Przy stole pochylony nad opasłą księgą siedział małeńki człowieczek, baryłkowaty, o poźółkłej twarzy. Ściskając ręką czoło, kiwał się i śpiewał. Trudno było uwierzyć, że ten intensywny bas należy do niego, tak niepozornego i drobnego. Ani z twarzy, ani ze wzrostu nie wyglądał na takiego, co mógłby mieć aż taki głos...

Człowieczek przewracał stronicę księgi jak popadło i, ślizgając palcem po tekście, śpiewał.

Wykorzystując pauzę w śpiewie, póki gospodarz zajęty był wyłącznie księgą, przywitałem się:

— Dobry wieczór, Mykoło Łarionowyczu.

Mężczyzna oderwał wzrok od księgi.

Spojrzały na mnie oczy Kostyka, zdziwione, czyste. Było w nich tyle cierpienia, że natychmiast zapomniałem o tym obrzydzeniu, jakie wywołały we mnie ten brudny stół i ten bezsensowny śpiew.

— Pan ze szkoły? — spytał Mykoła Łarionowycz i, nie czekając na odpowiedź, wskazał mi krzesło: — Proszę usiąść.

Patrzył na mnie trzeźwo i to spojrzenie nie miało nic wspólnego z głosem, który przed chwilą rozlegał się w pokoju.

— Proszę wybaczyć — wskazał na stół — żony nie ma...

— W szpitalu — cicho odezwał się za moimi plecami Kostyk.

— Rak — okrutnie rzekł mężczyzna, patrząc gdzieś poza mnie.

Słumionym płaczem załkał Kostyk.

Mykoła Łarionowycz otworzył Biblię, ale już w określonym miejscu — była tam zakładka, i cicho przeczytał:

* Będę słaWił cię, Panie Boże mój! Będę...

— Umocnij mnie słowem twoim, i będę żył, nie zawiedz mnie w nadziejach moich...

Nie wiedziałem, jak mam się dalej zachować.

Kostyk poszedł w ką, gdzie stał niziutki dziecięcy stolik, i stamtąd szaszczutym wzrokiem spoglądał na ojca.

A ten, kilkakroć przeczytawszy tę jedną frazę, zamilkł. Pociągnął ze szklanki jeden wielki łyk i wlepił oczy we mnie. Przyglądał się badawczo.

— Taki młody, a już nauczyciel — rzekł nareszcie.

— Nie jestem nauczycielem.

— Tatku, przecież to Walerij — włączył się Kostyk — mówiłem ci, że to on pochwalił mój wiersz. Jest naszym...

— Milcz! — wrzasnął Mykoła Łarionowycz. — Walerij Tka-czuk? Tak?

— Tak.

— Widzi pan, ja wcale nie jestem pijany. Kostyku, chodź no tu do mnie!

Chłopczyk szybkoitko podbiegł zaglądając ojcu w oczy.

— Bierz — podał mu Biblię. — Odnieś do pokoju ciotki, powiesz, że wszystko przeczytałeś. Co ona ci tam zadała?

— Premudrości Isusowi, syna Sirachowa — powoli rzekł chłopiec. Wziął Biblię i na chwilę wyszedł. Wróciwszy znowu usiadł przy swoim dziecięcym stoliku.

Mykoła Łarionowycz popatrzył na niego przez chwilę i gwałtownie odwrócił się do mnie.

— Potępia pan? — spytał.

Milczałem.

— Taka odpowiedź jest najłatwiejsza — uśmiechnął się krzywo. — Postawa przemilczania to najwygodniejszy sposób ucieczki od odpowiedzi. Od odpowiedzialności również.

Ze zdziwieniem patrzyłem na niego. Butelki na stole... Biblia... I ten język, język inteligentnego człowieka.

Domyśliwszy się źródła mojego zdziwienia, Mykoła Łarionowycz ze smutkiem pokiwał głową.

— Oczekiwał pan ode mnie innych słów? Wierzący, fanatyk...

— A czemu Kostyka nie puszcza pan do szkoły?

— Przecież są wakacje.

— A my zbieramy się na zajęciach naszego kółka.

— Walerek to nasz kierownik — wtrącił się do rozmowy Kostyk.

— Ja jestem niewierzący! — nagle Mykoła Łarionowycz uderzył pięścią w stół. — A tu przyjechała siostra, mówi — ratuj Ołę pokorą wobec Boga, wiarą w niego... Inaczej, mówi, on pozostawi nas samych z chłopczykiem. A któż przypilnuje chłopca? Kto Oli ugotuje? Bez żony w domu...

— Może do grupy świetlicowej? — zapytałem. — Pójdę do dyrektora, wyjaśnię mu.

Ale mężczyzna już nie słuchał. Wypiwszy jeszcze wódki, znowu popadł w stan odurzenia.

— Walerku — szeptem odezwał się Kostyk — tata teraz niczego nie rozumie... Może przyjdiesz jutro?

— Premudrosti Isusowi — wymamrotał Mykoła Łarionowycz i zwrócił się do mnie: — Sirach... Słyszał pan kiedyś takie imię? Po co mi ten Sirach? Kostyku!

— Jestem tu, tatku — podbiegł chłopczyk.

— Lekcje odrobiłeś?

— Przecież są wakacje — odrzekł mały.

— Mimo wszystko siadaj do lekcji — zmiękł Mykoła Łarionowycz. — Pójdiesz... Dokąd zechcesz... — odwrócił się do okna — Tylko mnie nie ruszajcie... Olgi nie męczcie... — Pogroził palcem. — Niech nikt nie rusza!

O mnie już całkowicie zapomniał. Głowa opadła mu na piersi. Ręka sama sięgnęła po szklanke.

Wstałem.

Kostyk wyszedł za mną do korytarza.

— Kolego! — zawołał Mykoła Łarionowycz.

Wróciłem do pokoju.

Mężczyzna patrzył na mnie trzeźwymi oczyma, które wypełniał niewymowny ból.

— Bardzo proszę, wy już jakoś mojego Kostyka... Bo ja... sam pan widzi... A Marta... — bezsilnie machnął ręką.

Człowieka spotkało wielkie nieszczęście i nie wiedział, czego się uchwycić, żeby nie pogrążyć się w rozpacz.

A Kostyk jest taki samotny, taki bezradny. Jak łupina w odmętach sztormowego morza. I po raz pierwszy poczułem się tym, kim chciałem zostać. Nauczycielem. Jeszcze niedawno wyobraża-

łem sobie, jak kiedyś wejdę do klasy, stanę koło stołu nauczycielskiego, przywitam się. Radośnie i dźwięcznie odezwą się głosy dzieci.

Oczywiście, tak będzie. Ale oto teraz obok mnie stoi zmarzwiony chłopczyk o cichym i przestraszonym głosie.

— Wybacz, że tak... — chowa przede mną oczy. — Tato nie zawsze jest taki. Gdyby mama...

— Jutro się spotkamy, Kostyku.

Rozmowa z ojcem

Lubię przychodzić do taty późno wieczorem, kiedy pracuje. Obłożony książkami — na stole nie ma wolnego miejsca, a jemu ciągle mało, co chwila zdejmuję z półek wciąż następne.

Kiedy dostaliśmy nowe mieszkanie, tato bardzo się ucieszył, że nareszcie będzie miał swój gabinet. Ściany są tu do samego sufitu obstawione stelażami. Ja pomagałem porządkować bibliotekę. W większości jest to medyczna literatura, encyklopedie, różne słowniki. A jedna ściana — to książki z literatury pięknej, ulubieni pisarze taty: Horacy, Platon, Kuprin, Kociubiński, Balzac, London. A jeszcze osobno — literaci-lekarze i utwory literackie o lekarzach. Wśród dziesiątków tomów jest tu jedna książka, którą czytałem kilka razy. „Dramatyczna medycyna” australijskiego profesora Hugo Glasera: o lekarzach, którzy na sobie przeprowadzali eksperymenty z nowymi preparatami. Kiedy przeczytałem ją po raz pierwszy, to chyba z miesiąc pozostawałem pod wpływem tak silnego wrażenia, bez końca męcząc tatę pytaniami, że tato aż się ucieszył — syn polubił medycynę.

Medycyna rzeczywiście zachwyciła mnie heroizmem ludzi, którzy nie wahali się ani chwili, poszukując ratunku przed strasznymi chorobami. Ale ja już miałem swoje marzenie, swój cel. I czechowowski lekarz Dymow, który ginie ratując od śmierci dziecko, przyciągał mnie nie mniej niż realni lekarze: utwór literacki dawał możliwość przeniknięcia w duszę człowieka...

Patrzę, jak tato zagłębił się w książkę, i zazdroszczę mu. Nikomu w życiu nie zazdrościłem, tylko tacie i Pawłowi Andrijo-

wyczowi. Różnymi są ludźmi, ale mają coś wspólnego, co każe mi być wobec siebie surowym i wymagającym. Myślę o nich, a okazuje się, że o sobie.

Wysoki, szczupły, tato przypomina młodzieńca. Szczególnie w takich chwilach, kiedy zapomniawszy o całym świecie, zagłębia się w książkach. Siwe skronie nie postarzają go, nawet jakoś podkreślają młodą smagłość twarzy. Oczy taty nie bywają obojętne i to, według mnie, przydaje mu wyglądu młodego człowieka.

Bardzo chciałbym być takim jak tato. Nigdy, jak inni chłopcy, nie zapatrywałem się na pilotów czy marynarzy. Niedawno przeczytałem w pewnym artykule, jakoby ojcowie, wracając do domu z pracy i zakładając piżamy, zmieniając buty na pantofle domowe, tracą w oczach swoich dzieci aureolę męstwa, romantyczności. Oczywiście, ta aureola pochodzi od zawodów naszych ojców. Czyż mogę zapomnieć swoje poczucie dumy, kiedy widziałem, jak tato szedł do sali operacyjnej?... I mimo to w domu on także nie jest zwyczajny. Nie wiem, o jaki romantyzm idzie, ale żadne pantofle nie przeszkadzają mi być dumnym z pracy taty, zachwycać się jego fascynacją książkami, pełną pasji wrażliwością na wszystko, co dzieje się wokół nas. Nie pamiętam, aby on choć raz zbył mnie, z jakimkolwiek drobiazgiem zwróciłbym się do niego.

Tato pracuje, od czasu do czasu spoglądając na mnie; czytam i odczuwam na sobie jego baczne spojrzenie; nasze oczy spotykają się na moment, uśmiechamy się do siebie, i znowu każdy zagłębia się w swoich sprawach — swoich książkach, swoich myślach...

Podrywa mnie dzwonek telefonu. Po chwili w progu staje mama.

— Do ciebie — kiwa do taty.

— Wzywają?

— Wzywają — wzdycha zmęczonym głosem.

Mama także ma dzisiaj wiele pracy, wzięła do domu szkice kostiumów do nowego spektaklu. Ale jej zmęczenie ma inne źródło, ona ma zawsze taki wyraz twarzy, kiedy wzywają tatę.

Po rozmowie telefonicznej tato zaczyna zbierać się do wyjścia. Szybko przebiera się.

— Teczka! — rzuca do mnie.

Biegnę do gabinetu.

— Okulary!

Już w przedpokoju podaję mu okulary.

— Samochód?

Wyglądam przez okno. Samochodu jeszcze nie ma. Ale tato tak stoi w przedpokoju, czeka. A my oboje z mamą stoimy w milczeniu obok niego.

Twarz taty jest skupiona, zmieniła się w jednej chwili, teraz nawet trudno wyobrazić sobie na niej uśmiech. On już przez cały czas jest tam — na sali operacyjnej. Mocno zaciśnięte usta, wydaje się, że mogą z nich teraz wydobywać się tylko ostre, jak komenda, słowa. Znam te słowa. Skalpel! Zacisk! Tlen!

Kochany tato, gdybyś wiedział, jak ja cię kocham, jaki jestem dumny z ciebie. I widzę, że ty nie jesteś już taki młody. Widzę pajęczynki w kącikach twoich oczu i tak chciałbym powiedzieć ci wszystko, co teraz odczuwam, ale nie umiem tego, nie wiem, jak ująć twoją rękę i przytulić się do niej. Ja mogę ucałować mamę, a ciebie jakoś nie umiem...

— Tato, jesteś wolny?

— Prawie. Tylko skończę pisać.

— A co to jest?

— O, taki kawałek! Dam ci czasopismo, to przeczytasz. U chorej kobiety zupełnie nie funkcjonowała wątroba, do śmierci — jeden krok. Wtedy małpie wypompowano krew, podłączono do jej systemu krwionośnego system krwionośny chorego człowieka i w ciągu kilku godzin wątroba małpy pracowała dla człowieka — oczyszczała krew. Potem odłączono. Na razie jest to eksperyment, ale według mnie, obiecujący. Wybacz, ciebie to chyba nie interesuje?

— Wiesz przecież, tato, ja zawsze interesuję się medycyną.

— Ale, niestety, do pewnej granicy... Powiedz, podjąłeś ostateczną decyzję?

— Tak, pedagogika.

— Tak... Jakoś dziwnie obieramy własne drogi. Prawdopodobnie mój ojciec, a twój dziadek, był pewien, że ja także będę inżynierem. Wcześniej zmarł. Kiedy skończyłem dwanaście lat.

W żaden sposób nie mogłem pogodzić się z jego bezsensowną śmiercią — na grypę. Wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy pomyślałem o medycynie.

— I nie żałujesz?

— Czego?

— Że zostałeś lekarzem.

— Jestem chyba złym lekarzem, skoro o to pytasz.

— Wybacz. Nie chciałem cię obrazić.

— Drobiazg. Przesadzam, oczywiście. W ogóle, jak mówi mama, obaj jesteśmy skłonni do wyolbrzymiania. Nie, nie żałuję. O tym ani razu nie myślałem.

— To znaczy, że nie masz wątpliwości?

— E, to inna sprawa. Proszę cię, nie myl jednego z drugim. Wątpliwości.. Przecież one zdarzają się przed każdą operacją. Ale w momencie kiedy biorę do ręki skalpel, zapominam o nich. Wątpliwości — należałoby je raczej nazwać bolesnymi rozważaniami — prześladują mnie przez całe życie. Oprócz tych chwil, kiedy stoję w sali operacyjnej. Tylko tobie mówię o tym, Walerku. Rozumiesz mnie?

— Wydaje mi się, że rozumiem.

— Kiedyś otrzymasz moje książki...

— Coś ty, tato!

— Otrzymasz, otrzymasz. Rodzice nie powinni żyć dłużej niż ich dzieci. Po to jestem lekarzem, żeby właśnie tak było... To są dobre książki.

— Wiem o tym.

— Tak, wiesz. Medyczne... Niech sobie stoją...

— Po co mówisz takie rzeczy, tato!

— Naturalnie, myślałem, że one przydadzą się i tobie...

— Nie mówmy o tym, tato.

— Jakoś dziwnie obieramy swoje drogi...

— Nie, nie dziwnie.

— Tak sądzisz? Czyż ludzie w wieku szesnastu — siedemnastu lat wiedzą, do czego nadają się najlepiej?

— Później nie można, tato.

— Ale ile stąd błędów, Walerku! Może technika przyjdzie z pomocą człowiekowi? Może będą takie przyrządy, które pomogą rozecznać się w tym lepiej?

— Ja też tak myślałem, a ostatnio rozmawiałem z Iwanem Iwanowyczem. Nie można przełożyć wszystkiego na barki techniki. Techniczny obiektywizm nie jest lepszy niż brak uzbrojenia technicznego.

— Tak, tak, znam to. Na przykład medycyna posiada już teraz bogate wyposażenie techniczne, ono jest potrzebne. Ale właśnie ono wytworzyło nowy typ lekarza, ja bym go nazwał bezmyślnym dodatkiem do techniki. Nie obejrzy chorego, zanim nie przepuści go przez wszystkie możliwe przyrządy. Oczywiście, bez analiz nie ma diagnostyki. Ale coś tu — za sprawą tej techniki — utraciliśmy. Zanika lekarz-myśliciel, analityk. A ja, synu, bardzo wierzę ludzkim palcom, ludzkiemu uchu i oku.

— Iwan Iwanowycz też tak sądzi. Technika musi być pomocą dla nauczyciela, a nie on — dla niej. Potrzebni są nauczyciele, jak to sam określiłeś, analitycy. I tacy istnieją. Pawło Andrijowycz, Iwan Iwanowycz, Nadija Charytoniwna, Josyp Owsijowycz... Ty zresztą sam ich dobrze znasz.

— Miło mi, Walerku, że mimo wszystko znalazło się coś wspólnego w moim zawodzie i twoim... przyszyłem.

— Mają wiele wspólnego, tato.

— Mam nadzieję... A ty, widzę, naprawdę poważnie myślisz o instytucie pedagogicznym.

— Oczywiście. Może to też jest akurat wspólne dla nas obu.

— To znaczy co?

— Poważne myślenie. Własny wybór...

— Szczerze mówiąc, przez cały czas miałem nadzieję, że jeszcze się rozmyślisz. Do dzisiejszej rozmowy.

— Nie gniewaj się, tato, nie rozmyślę się... Chciałem cię o coś poprosić... Wiem, że nie lubisz, kiedy ktoś wtrąca się w twoje sprawy.

— Mów wreszcie.

— Możesz obejrzeć chorą?

— Kto to jest?

— Matka jednego z moich podopiecznych.

— Co z nią jest?

— Rak.

— Gdzie ona leży?

— Na onkologii chyba. Ja zapytam. Tato, czy można jej pomóc?

— Jesteś przecież synem lekarza. Wszystko zależy od tego, jakie to stadium.

— Gdybyś ty widział tego chłopca, jego ojca...

— Tu nie ma miejsca na emocje, Waleriju. Ja ich widziałem.

— Kogo, Kostyka?

— Dziesiątki Kostyków. Lepiej, gdybym nie widział... Niekiedy myślę, dlaczego w szpitalu nie ma specjalnego wyjścia — dla lekarzy? Żeby nie spotykać się z tymi ludźmi...

— I ty korzystałbyś z takiego wyjścia?

— Nie, synku... A ty już umiesz zadawać pytania.

— Tylko nie na wszystkie jeszcze umiem odpowiedzieć, tato.

Kara

Do szkoły Kostyk nie przyszedł. Przed lekcjami szukałem chłopca, żeby dowiedzieć się, gdzie leży jego matka, ale nie znalazłem. A na pierwszej przerwie przybiegła Katia i powiedziała, że Botawskiego nie ma. Umówiliśmy się z nią, że po lekcjach znowu do niego pójdziemy, ale czekała mnie niespodzianka. Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że dotyczyła ona w równym stopniu całego naszego trio: mnie, Woroniuka i Szkipera.

Właściwie należało się tego spodziewać.

Wezwał nas dyrektor.

Nie czując na swoim koncie szczególnych grzechów, dość spokojnie przekroczyliśmy próg jego gabinetu.

Dyrektor oderwał się od papierów i, badawczo spojrzawszy na nas, nagle zainteresował się, jak zdroweczko wielce szanownego Łymara. Tak właśnie powiedział: zdroweczko i wielce szanowny.

Szkiper uprzejmie podziękował.

Wtedy Iwan Iwanowycz wyraził zadowolenie, że my, to znaczy Igor i ja, nie jesteśmy już zmuszeni dźwigać tak olbrzymiego młodzieńca.

Mnie aż w gardle zaschło. Wszystko było jasne: nasza wizyta u gimnastyka, o której już dawno zapomnieliśmy, nie minęła bez śladu. Wątpliwe, czy Semen Panasowycz poskarżył się. Iwan Iwanowycz jakimś sposobem dowiaduje się dokładnie o wszyst-

kim, co dzieje się w szkole. Organicznie nie znosi donosicielei — w ciągu dziesięciu lat szkolnego życia przekonałem się o tym — ale z rozmów z uczniami umie wydobyć niezbędną informację.

Iwan Iwanowycz ufnym tonem podzielił się z nami swoim zamiarem wysunięcia Łymara do medalu za ratowanie tonących.

— Ale trzeba uratować kilku tonących — uśmiechnął się. — Choćby ze trzech. Znaleźć ci ich? No, Tkaczuk, podpowiedz mu. Milczałem.

— Ratuj siebie! — podwyższył głos dyrektor. — I tych dwóch... Bohater! — strącił z nosa niewidoczną pajęczynkę i znowu łagodnie uśmiechnął się do Szkipera. — Przyjmujesz medal?

— Ale dlaczego ja... — rozpaczał Szkiper.

— Jam nie bardzo dumny, medal mogę wziąć — zadeklamował Iwan Iwanowycz i zapytał Łymara:

— Kto to napisał?

I trzeba było, aby nasz erudyta bąknął:

— Rudański*.

Z przestachu, widać.

Iwan Iwanowycz uważnie popatrzył na niego — czy nie żartuje czasem, i przeniósł wzrok na Igora, na mnie.

— Weźcie go stąd, ulitujcie się nad moją siwą głową.

— Chodźmy — szepnąłem Szkiperowi i popchnąłem go ramieniem w stronę drzwi.

— Przyślijcie tu starostę — rzucił w ślad za nami Iwan Iwanowycz.

Wasia Chriaś, usłyszawszy, że wzywa go dyrektor, poprawił krawat i krokiem aktywisty ruszył do jego gabinetu. Wrócił już po dzwonku. Matematyk z niezadowolaniem błysnął na niego spod okularów, ale nasz starosta, nie zatrzymując się w progu, poważnie oświadczył:

— Byłem u Iwana Iwanowicza.

Po lekcjach Chriaś podbiegł do drzwi i zawołał:

— Zebranie! Wszyscy zostają! Żadnych usprawiedliwień!

W klasie powstał niewiarygodny hałas. Przez ten gwar przebijały się oddzielne głosy: ktoś wołał, że ma bilet do kina; ktoś powoływał się na chorobę — że niby musi do lekarza; ktoś wy-

* Stefan Rudański (1834—1873) — poeta i satyryk ukraiński

dzierał się, że umrze śmiercią głodową — zdaje się, że Bałabucha, on zawsze jest głodny, tym bardziej po szóstej lekcji.

Wasia Chriaś niezłomnie stał koło drzwi i tylko ripostował:

— Sam chcę jeść... Sam jestem chory... Sam idę do kina...

Ale widziałem, że się cieszy.

O ile Igor Woroniuk to artysta i lubi występować w różnych rolach, o tyle Wasia Chriaś zna tylko jedną rolę — płomiennego trybuna. To jego pasja. Od wczesnego dzieciństwa. Kiedyś w pierwszej klasie włączono go do grupy powitalnej. Są takie w każdej szkole. Ich członkowie mają donośne głosy i na wszelkie zebrania uczą się specjalnych kupletów. Wasia miał najbardziej dziarski głos. A ponieważ starosta nasz jest niskiego wzrostu — etatowy krasnal, więc aż do ósmej klasy należał do dziecięcej grupy powitalnej. Chodziłby z tą grupą i do teraz, bo od tamtej pory urósł niewiele, ale nogi mu splątały figła. Umiała je taka bujna szczecina, że po prostu nieprzyzwoicie wyglądało, jak wychodził na scenę w krótkich spodenkach.

Nareszcie klasa uspokoiła się i starosta podszedł do stołu nauczycielskiego.

— Koledzy — odezwał się dźwięcznym głosem — na porządku dziennym mamy jedno zagadnienie...

— Dawaj, tylko szybciej.

— Koleżanko Horodnyk, jeśli was to nie interesuje, możecie odseparować się od kolektywu.

Nela Horodnyk, najwyższa w całym mieście dziewczyna, skurczyła się cała w ławce i poczerwieniała. Ona już otrzymała za swoje od Chriasia — za to, że gra w zespole dynamowców, a w szkolnej drużynie nie występuje. Ale przecież trzeba ją zrozumieć — nie może się rozerwać. Na nią dosłownie polują trenerzy drużyn koszykarskich, więc wybrała taką, gdzie istnieją szanse zostania mistrzem sportu, wtedy już drzwi do dowolnej wyższej uczelni stoją otworem.

— Na porządku dziennym — powtórzył Wasia i zrobił pauzę. — Na porządku dziennym mamy zachowanie Tkaczuka, Woroniuka i Łymara.

Oczywiście, domyślałem się, po co dyrektor wzywał Chriasia, ale mimo wszystko miałem jeszcze nadzieję, że jakoś to nam ujdzie na sucho. Przynajmniej, może obejdzie się bez kolektyw-

nego przetrzepania skóry. Przecież starosta wiedział, że my z Igo-rem mamy coś wymyślić, żeby uratować Szkipera od dwójki, a klasie ułatwić zmagania z rozrabiakami. Teraz więc musiał ratować nas i dojść do porozumienia z Iwanem Iwanowyczem.

— Oni — kontynuował Wasia — wprowadzili w błąd nauczyciela wychowania fizycznego. Zamiast wyjaśnić Łymarowi, że... że... no, wyjaśnić, Woroniuk i Tkaczuk ściągnęli go na pokrętną ścieżkę.

Odwrociłem się do klasy. Dlaczego wszyscy milczą? A jeżeli zgadzają się z Wasią, to dlaczego wcześniej nikt nie robił zastrzeżeń? Ten sam Chriaś wykręcił się, kiedy chciałem mu opowiedzieć o rozmowie z gimnastykiem. Następnego dnia jednak mu opowiedziałem, a on nawet uśmieł się z tego. A teraz, kiedy wtrącił się dyrektor, zaśpiewał inaczej.

— Co możesz powiedzieć, Łymar? — starosta zaczął od Szkipera.

Ten zaczął kręcić się niespokojnie w ławce — czy to zamierzając wstać, czy też zapaść się pod nią.

— Dlaczego od niego zaczynasz? — zapytał Bzyński.

— Bo on jest ofiarą — odrzekł Chriaś. — Ale ja niczego nie narzucam. Kto chce się wypowiedzieć, proszę podnieść rękę.

Nie podnosząc ręki, wstał i podszedł do stołu Pipin-jeszcze-krótszy. On nie jest miłośnikiem przemówień i na zebraniach najczęściej milczy, mogąc przysiąc, że nawet we śnie widuje tylko zadania.

Pipin-jeszcze-krótszy nie wiedzieć czemu wytarł tablicę, ale nikt nawet się nie uśmiechnął.

— Były epoki — zwrócił się do klasy — w których za kłamstwo ucinano język.

— Słusznie! — ucieszył się Chriaś.

— A tych, którzy nakłaniali do kłamstwa, zabijano — zakończył Pipin-jeszcze-krótszy i wrócił na miejsce.

— To znaczy co? — wytrzeszczył na niego oczy starosta.

— Poglówkuj. A tych, którzy obłudnie prowadzili rozpoznanie jakiejś sprawy, przybijano do krzyża.

Wasia rozłożył ręce i wyszło tak, jakby to on był ukrzyżowany. Wszyscy się roześmieli.

Ale Chriaś nie był głupcem, on też się uśmiechnął.

— A więc według ciebie, Łymarowi, Tkaczukowi i Woronukowi należy poucinać języki?

— Mówiłem nie tylko o nich — wstał w ławce Pipin-jeszcze-krótszy. Zwrócił się do klasy. — Czy to pierwsze kłamstwo? Czyż mało nakłamaliśmy w swoim szkolnym życiu? I każdy z osobna. i całą klasą...

Wszedł Pawło Andrijowycz. Dając znak ręką, żebyśmy nie wstawali, przeszedł do tylnej ławki.

Wychowawca bywa u nas prawie na wszystkich zebraniach. Nic nie mówi, po prostu siedzi sobie i słucha. Ale zauważyłem, że w jego obecności mało kto palnie głupstwo. Chyba wszyscy odczuwają coś podobnego do tego, co ja czuję. Mówię, a w duchu myślę: jak to odbiera Pawło Andrijowycz? Nawet nie patrzę na niego, ale widzę jego oczy, wyraz twarzy...

— Jakos odeszliśmy od istoty sprawy — starannie odkaszlnął starosta.

— Czy mogę? — podniosła się Tala.

— Udziela się głosu Zarajskiej.

— Po co tak oficjalnie, Wasia — powiedziała Tala. — Ja z miejsca. I od żadnej istoty sprawy nie odeszliśmy. Istota rzeczy, według mnie, polega na tym, że zostawiamy za sobą zbyt dużo kłamstwa. Tak jest. I nie pomogą wykręty. Czy zabierzemy ze szkoły ze sobą te nawyki?

— Demagogia! — niepewnie łypnął okiem na Pawła Andrijowycza Chriaś. — Fakty, fakty!

— Fakty? No, choćby coś takiego. Prace z literatury. Czy my je piszemy? Nie! Przepisujemy broszurki, wrywamy cytaty z gazet.

— Znalazła fakt!

— A jednak — nie ustępowała Tala — czy nie są to nawyki? Znam pewną dorosłą osobę, która tak przygotowuje swoje wykłady... A czyż zadań od siebie nie zrzymamy? A ściągawki? Spróbujmy może w końcu — ile nam jeszcze pozostało wspólnych dni? — powiedzieć sobie całą prawdę.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Zapomniałem nawet, jaki cel ma to zebranie, nie myślałem o tym, że czeka mnie kara; wszystko, wszystko uleciało z głowy, była tylko Tala, szczuplutka, jasna, taka jasna, że wszystko dokoła odeszło w cień.

Nagle ogarnął mnie strach: a jeśli ktoś na mnie spojrzy? Wydawało mi się, że teraz na mojej twarzy można wyczytać absolutnie wszystko, o czym myślę. Spuściłem głowę.

— Znowu odbiegamy od porządku dziennego — usłyszałem nie bardzo już pewny siebie głos Wasi. — Omawiamy zachowanie Łymara, Woroniuka i Tkaczuka. A ty, Woroniuk, co powiesz?

Igor życzliwie uśmiechnął się do Chriasia i wyszedł z ławki. Zaraz będzie miał wystąpienie. Wystarczy, by tylko potrząsnął czupryną, uniósł głowę i w jakiś szczególny sposób rozprostował ramiona — już można oczekiwać kolejnego popisu aktorstwa.

— Tak, oszukaliśmy nauczyciela — tragicznie rozpoczął swój monolog Igor. — Tak, popełniliśmy przestępstwo. — Eleganckim gestem dotknął czoła, dotknął samymi palcami, a kiedy odjął rękę, twarz jego promieniała natchnieniem. — Pierwsze słowo, które powiedziałem do Semena Panasowycza, było kłamstwem, brutalnym kłamstwem. Tak jest, nie przeczę i żałuję. Ale drugie słowo — to już była prawda. Prawda sztuki. Wszedłem w rolę, żyłem się z obrazem. Zgodnie z systemem Stanisławskiego.

Klasa z przyjemnością słuchała Woroniuka.

— Oto Kaczałow miał takie zdarzenie, siedzi w restauracji i podchodzi do niego...

— Nie wykręcaj się! — opamiętał się starosta.

— No, nie chcesz o Kaczałowie — obraził się Igor — więc posłuchaj o Saksahańskim...

— Dosyć, Woroniuk! — przerwał mu Chriś. — Znęcasz się nad kolektywem, nadużywasz naszej cierpliwości.

— A czego ty ode mnie oczekujesz? — szczerze zdziwił się Igor.

— Powiedz, jak sam oceniasz swoje zachowanie!

— Koledzy! — otwarcie zgrywając się, uderzył się w piersi artysta. — Przyjaciele! Najbliżsi! Oto spoglądam na siebie. Bez lustra, postronnym okiem samokrytyki, i jest mi wstyd za tego człowieka. — Przy tym tknął siebie palcem. — Spoglądam na siebie i myślę, rozważam...

— Przestańcie — ledwie słyszalnie zabrzmiał głos Pawła Andrijowycza.

I nagle zapadła cisza.

Jeszcze przed chwilą słowa Igora wydawały się nam dowcipne, klasa przyjęła je wesołym gwarem, a teraz przycichliśmy, jakbyśmy zrobili coś nieprzyzwoitego.

— Przestańcie — powtórzył nauczyciel, choć wcale nie było takiej potrzeby, i podszedł do stołu.

Pawło Andrijowycz nieczęsto zabiera głos na naszych zebraniach. Niekiedy nawet zapominamy, że siedzi w klasie. Nie, nie to, że zapominamy — tylko po prostu on nigdy nie przeszkadza nam być szczerymi i mówić otwarcie. A może właśnie pomaga być takimi? Ja, na przykład, mogę przy nim powiedzieć coś takiego, co innym razem przemilczałbym. Powiedzieć i sprawdzić siebie, spojrzawszy mu w oczy...

— Wybaczcie mi, że nie poprosiłem o głos — zwrócił się do Chriasia Pawło Andrijowycz. — Pozwolicie?

— No, co pan! — zmieszał się Wasia.

Nauczyciel obrzucił wzrokiem klasę i zrobiło mi się przykro: unikał mnie.

— Bardzo mnie obraziliście — rzekł cicho — panie Woroniuk, panie Łymar, i pan... panie Tkaczuk.

Ta pauza przed moim nazwiskiem ostatecznie mnie dobiła.

— Bardzo mnie obraziliście — już tylko do mnie, ale nie wymieniając mojego nazwiska, zwracał się Pawło Andrijowycz. — Byłem dumny, że jeden z moich uczniów chce zostać nauczycielem. Więc jakże mogliście pozwolić sobie kpić z młodego nauczyciela? Jak mogliście jego delikatność wykorzystać przeciwko niemu? Wy pewnie już nawet zapomnieliście o tym wypadku, a dla Semena Panasowycza jest to prawdziwy uraz psychiczny. Coś takiego zapamiętuje się na całe życie.

Pawło Andrijowycz podszedł do okna, stał w milczeniu, opierając się o parapet.

W klasie piątej nie dostrzegaliśmy, że jest on niewysoki. Ale ja i później jakoś nie zwracałem uwagi na jego wzrost, aż do dziewiątej klasy, kiedy nagle zobaczyłem, że moi koledzy i ja sam także jesteśmy od niego wyżsi. Nie tyle wtedy zdziwiłem się, ile stanąłem bezradny wobec zagadki. I potem jeszcze długo nie mogłem pojąć, czemu nasz nauczyciel nadal wydaje mi się wysoki. No, postawny — to naturalne, za młodu był alpinistą. Jest starszy — dla dzieci wszyscy dorośli są wysocy. Ale prze-

cież nawet kiedy już dzieciństwo zostało za mną, ciągle widziałem w nim wysokiego człowieka. Nawet wtedy, gdy ciężka choroba uczyniła niepewnym jego chód, pochyliła jego plecy...

— ...niesłusznie więc uważa pan, że koledzy mówili w swoich wystąpieniach nie na temat... — zwracał się do Chriasia Pawła Andrijowycz.

Była to końcówka frazy, początku nie słyszałem — takie mnie ogarnęło przygnębienie.

Żadne zebranie nie mogło ukarać mnie tak, jak to uczynił Pawło Andrijowycz; nie patrzył w moją stronę, rozmawiał z klasą, z każdym uczniem, tylko nie ze mną.

A może i ze mną?

Myśli płątały się, miałem dziecinne pragnienie uciec jak najdalej od oczu nauczyciela, które pogardliwie mnie unikały. Takiego wstydu i bezradności nie odczuwałem już od dawna.

Rozmowa z nauczycielem

— Pawle Andrijowyczu, przyszedłem powiedzieć panu, jak mi jest wstyd. Oczywiście, nie pana powinienem prosić o przebaczenie, ale wstyd mi przed panem...

— A kogóż będzie pan prosić o przebaczenie?

— Semena Panasowycza.

— I na tym koniec?

— Gdyby tylko to było możliwe... Słuchały nas wtedy dzieci...

— Proszę siadać, Waleriju. Gdybym tego od pana nie usłyszał, to chyba odradziłbym wybierać się do instytutu pedagogicznego.

— Rozumiem.

— Widzę to. Czy wie pan, kiedy przekonałem się, że mam zdolności pedagogiczne? Gdy uświadomiłem sobie, że miarą wszystkiego wokół nas jest sposób, w jaki to wszystko może wpływać na dzieci. Zachowanie dorosłych, wystrój ulic, odzież, posiłki i co najważniejsze — słowo, słowo w książce, w kinie, w radiu. Z biegiem lat utwierdziłem się w przekonaniu: nauczyciele, pediatrzy, autorzy literatury dziecięcej, artyści teatrów lalko-

wych — wszyscy ci, którzy związali swoje twórcze życie z dziećmi — rozumieją to tylko tak. Naturalnie, jeśli nie pomylili się w wyborze profesji. Tak więc, kiedy odczułem, że patrzę na otaczającą rzeczywistość oczyma człowieka, który pragnie, aby wszystko przynosiło dzieciom tylko korzyści, aby nie przeszkadzało im rosnąć i rozwijać się, wtedy... Proszę mi wybaczyć, Waleriju, a czy nie przyłapał pan siebie na tym, że podobnie odbiera pan otaczający nas świat?

— Nie wiem. Chyba że bociany...

— Jakie bociany?

— Do czasu tej rozmowy z panem sądziłem, że to drobiazg. Pawle Andrijowyczu, nie widział pan przypadkiem, jakie pojemniki na śmieci postawiono koło hali targowej?

— Nie.

— Postawiono niedawno. Pojemniki w kształcie bocianów. Żelazne ptaki pomalowano czarną i białą farbą, z otworami w grzbiecie — tamtędy wrzuca się śmieci. Kiedy je zobaczyłem, z miejsca pomyślałem: dlaczego obrano do tego celu tak szlachetnego ptaka? I nagle pomyślałem jeszcze coś innego. Oto dziecko zapyta dorosłego: „Co to za ptak?”. Dziecko miejskie, być może, nigdy przedtem nie widziało jeszcze żywego bociana. I znajomość z nim rozpocznie się od pojemnika na śmieci... proszę mi wybaczyć, od brudów... Jak wtedy przekonać dziecko, że bocian przynosi wielką korzyść człowiekowi, że jest to symbol wierności, czystości... Na Ukrainie ludzie nadali temu ptakowi więcej imion niż jakimkolwiek innemu. Po co? Aby jakiś obojętny na żywe piękno „wynałazca”, podobny do twórców papierowych kwiatów, zastąpił wszystkie te imiona jedną nazwą — pojemnik na śmieci? Aby potem dziecko już nigdy nie odzyskało zaufania do tego ptaka, nie uwierzyło w miłość narodu do swoich symboli?...

— I pan do tego czasu milczał?

— Może i nie zrozumiałbym wszystkiego tak, gdyby nie pańska opowieść... A czy można tu coś zrobić?

— Nie tylko można, ale trzeba. Tak właśnie jak mi pan opowiedział, proszę napisać o tym do gazety. Czytałem pański felieton, według mnie ma pan pewne zdolności. I proszę nie odkładać tej sprawy.

Klasa wre gwarem

Klasa wre gwarem — rozmawia głośno i szeptem, śmieje się, żartuje, gniewa się i raduje.

Klasa wre gwarem — głosami moich przyjaciół, głosami znajomymi od dzieciństwa. Jeszcze całkiem niedawno wszyscy popiskiwaliliśmy, jak kurczęta, i sami nawet nie zauważyliśmy, jak nabrały śpiewności głosy dziewcząt, jak wydorosłały głosy chłopców — stały się basami, barytonami...

Klasa wre gwarem — o czymś doniosłym i mało ważnym i o czymś najskrytszym, intymnym — tu są sami swoi, obawiać się nie ma kogo.

Mijają lekcje, przerwy — klasa wre gwarem...

— W siedemnastce jest wieczorek taneczny. Pójdziesz?

— Nie, tam na wieczorkach na każdego przypada po dwóch nauczycieli. Obmacują cię spojrzzeniami, jak w sklepie samoobsługowym.

— Zinka wychodzi za mąż.

— Kłamiesz.

— Jak Boga kocham. Od razu po egzaminach.

— Kim on jest?

— Kierowcą trolejbusu. Wiózł ją bez biletu.

— No i dowoził się.

— Daj zerznąć chemię.

— Dopiero wczoraj o tym mówiliśmy — okłamujemy siebie, nauczycieli.

— Ja już jestem stracony. Daj.

— Może ci wyjaśnić?

— Nie trzeba, i tak nie zrozumiem. To dla mnie chińszczyzna.

— Czemuś na niego tak patrzyła?

— Nie gniewaj się, głuptasku.

— Żeby mi więcej...

— Nie będę, nie będę.

— Nie, teraz tak się nie szyje. Na rękawach marszczenia, a tu — wstążka. Zaraz ci narysuję.

— Mnie się nie podoba.

— Coś ty! Zobaczyłaś Kuczyńską w teatrze.

— Widziałam. Jak madame Pompadour.

— Ważne, żeby tylko skończył szkołę, a dalej — to się jeszcze zobaczy.

— Kot'ka Szmyha w ubiegłym roku został przyjęty na medycynę, a o czymś powyżej technikum nie mógł nawet marzyć. Akurat przed egzaminami wstępnymi przebiegł „setkę”, uzyskując czas kwalifikujący na mistrza sportu — i potem natychmiast zaproszono go do instytutu medycznego.

— Dobry lekarz z niego będzie — długonogi...

— Ja nie boję się konkursu, ale boję się dyskusji.

— A ja słyszałem, że w leningradzkiej politechnice jeśli zdajesz do nich trzeci rok z rzędu, przyjmują poza konkursem. Bo jest to człowiek, jak sądzą, wytrwały w wierności wybranej profesji. Przecież żadna inna uczelnia go nie interesuje.

— Dziewczętom jest dobrze, mogą zdawać nawet przez pięć lat z kolei, a chłopcy — fryzura „na pałę” i raz-dwa, marsz.

— Nie szkodzi, po wojsku — też bez konkursu.

— Do ekspedycji geologicznej biorą z wykształceniem średnim, jako zwykłych robotników.

— Byle tylko wzięli, a potem się zobaczy.

— Pójdę do fabryki. Póki wy w swoich instytutach wyjdziecie na ludzi, ja już będę hasał na własnym motocyklu.

— Nieźle jest być drużynową.

— Ale nie w swojej szkole, bo wszyscy będą cię „tykali”.

— Krasiuk jest przekonany, że dostanie się na studia handlowo-ekonomiczne.

— A czemuż by nie? Tatulek utoruje mu drogę.

— Mnie jakoś nie wzrusza, dokąd pójdę po szkole. W ogóle, gdyby rodzice dali mi spokój... Zostałbym kierowcą. Śni mi się nawet czasem, że prowadzę samochód. Co mi więcej do szczęścia potrzebne...

— Można i zaocznie. Zresztą, czy to nie fajnie już w wieku siedemnastu lat być całkiem niezależnym? Będę zarabiał po ludzku, a tak to jeszcze przez pięć lat musiałbym wycyganiać od rodziców kopiejki. Nawet dziewczynę zapraszasz do kina za cudze pieniądze.

— Pieniądze ojca nie są cudze.

— Tym bardziej. Jak długo można siedzieć starym na karku?

— Ale jeżeli oni chcą, żebyś ty się uczył?

— Więc mówię — zaocznie. Albo na studium wieczorowym. A można w ogóle nie iść na wyższą uczelnię. Czy wykwalifikowany tokarz jest gorszy niż kiepski inżynier?

— Więc zostań wykwalifikowanym inżynierem.

— Może i zostanę. Ale do tokarza na razie jest bliżej. I to ciekawsze.

— Mama weźmie mnie do siebie jako laborantkę.

— Mama, mama. Zadanka ci mamunia rozwiązuje, sukienki ci babunia szyje. Niech cię babunia weźmie do siebie do kuchni.

— Jednak pójdę na laborantkę.

— Nie idź. Z kolbami i probówkami za tobą też mama będzie biegała, a ty i w pracy będziesz tylko trzepotała swoimi unikalnymi rzęsami.

— A chcesz powiedzieć, że nie są ładne?

— No... ale czy ja coś... Chodźmy dzisiaj do kawiarni, dobrze?

— Do fizyczno-technicznego trzeba uzyskać wysokie minimum.

— Jak kiedy. Jednego roku było bardzo wysokie, następnego wszyscy wystraszeni i — niedobór.

— Jak odgadnąć?

— Należy zebrać dane z kilku ostatnich lat i wypracować wariant optymalny.

— A jest to możliwe?

— Czemuż by nie. Pewien inżynier angielski przez pół roku

obserwował grę w ruletkę, w Monte Carlo. Zebrał dane i wprowadził wzór wygranej. Obstawiał numery na pewniaka.

— Znajdujesz dziwne analogie.

— Nie, egzamin wstępny — to też gra.

— Talu, muszę się z tobą spotkać.

— Spotkaliśmy się przecież dzisiaj rano, Waleriju. I teraz...

— Nie tak. Muszę z tobą pomówić.

— Mów.

— Nie tak. Przyjdź wieczorem do „Romaszki”.

— Dzisiaj nie mogę.

— Więc jutro.

— Nie wiem.

Poszukiwania

Już od kilku minut naciskałem na guzik dzwonka, ale za drzwiami nie było słyhać żadnych oznak życia. Zadzwoniwszy jeszcze raz, zamierzałem już odejść, kiedy uchyliły się sąsiednie drzwi i wyrżał mężczyzna w piżamie.

— Och, te cienkościenne budynki! — zawołał, ale w jego słowach nie było irytacji. — Młodzieńcze, od pańskiego uporu w głowie mi kołacze. Sąsiadów, jak widzi pan, nie ma. Tatuś wziął synka w objęcia i adieu!

— Kiedy oni wyjechali?

— Wczoraj wieczorem. Słyszałem, jak, pijaczyna namawiał chłopaczka — ustnie i fizycznie. Rano już przychodziły dzieci, koledzy z klasy. Alkoholizm to prawdziwe nieszczęście społeczeństwa. Jeżeli kolektywnym wysiłkiem nie zabierzemy się...

— Dokąd pojechali?

— Mnie to nie obchodzi. Myśli pan, że lekko jest patrzeć na to, jak człowiek się zapija? Za tym pojedynczym faktem wyraża cały problem społeczny, który wymaga... Proszę mi wybaczyć, z kim mam honor?

— Ale... ja jestem ze szkoły.

— Dlaczego właściwie tu stoimy? — człowiek odszedł od drzwi. — Proszę, proszę wejść.

Popełniłem tę nieostrożność, że wszedłem. Co, właściwie, mogłem usłyszeć o Kostyku? Człowiek ten przecież powiedział, że nie wie, dokąd odjechali sąsiedzi. Ale moja głupia ciekawość popchnęła mnie w niewolę do tego gadatliwego jegomościa.

Usadowił mnie w miękkim fotelu i zaczął zasypywać swoimi rozważaniami na temat najróżnorodniejszych zagadnień. Chodził po pokoju tam i z powrotem miarowymi krokami i mówił, mówił, mówił. Wszystko w nim było okrągłe: okrągła twarz, okrągłe brwi, okrągłe oczy, okrągłe usta, podobne do otworu w stole bilardowym, z których wytaczały się okrągłe słowa.

— Przepraszam, że się nie przedstawiłem — przerwał sam sobie i ukłonił się ceremonialnie — Heorhij Serhijowycz Harnyha, już rencista, ale jeszcze nieetatowy prelegent.

Wszystko jasne. Prelegent oczywiście zatęsknił za wdzięcznym uchem słuchacza. Może właśnie teraz przeprowadzał próbę swojej nowej prelekcji? Raczej — kilku pogadanek hurtem, na różne tematy.

— Czy wie pan, w jakim stanie jest mama Kostyka? — zapytałem, nie zważając na jego podniosły ton. — I w jakim szpitalu leży?

— Pijaczyna zabrał ją. Ale chyba jest jakaś logika w postępowaniu pijaka? Taka choroba u kobiety... W ogóle problem raka znajduje się w stadium kompleksowych badań. Uczeni przybliżyli się do wyjaśnienia tajemnicy tej choroby. Eksperymenty...

Z pewnością człowiek ten był mistrzem wieczorów pytań i odpowiedzi. Nie słuchałem już jego paplaniny; z trudem powstrzymując ziewanie, rozglądałem się na wszystkie strony. Wielki pokój był tak samo niechlujny, jak i zmięta piżama na jego gospodarzu. Tylko regał na książki starannie uprzątnięty, a w nim — żadnej książki, na półkach w równiutkich stosach leżały gazety i czasopisma.

— Szkoda, że nic nie wie pan o Kostyku — przerwałem prelegentowi.

— Jak to nic? Nasze mieszkania, jak panu wiadomo, są obok siebie, i ja, niestety, słyszałem wszystko. Och, to budownictwo! Zaciera granice między sąsiadami. — Wyraźnie spodobał mu się własny dowcip i powtórzył: — Zaciera granice między sąsiadami. Aha, więc co ja wiem o chłopcu? Ojciec bił go.

— To ja także wiem.

— Ostatnio pijaczyna nie ruszał chłopca, ale ja z dnia na dzień czekałem na wybuch. Rzecz w tym, że przyjechała do nich krewna, fanatyczka religijna. Religia — to opium dla narodu. Wciąga człowieka jak w bagno, odrywa od społecznie pożytecznej działalności. Przypadek, który rozpatrujemy, jest dość typowy. Zaraz przeczytam panu, co pisze na ten temat Jarosławski...

Nienawidziłem siebie w tej chwili. Wygodnie rozsiadłszy się w miękkim fotelu, wysłuchuję całego cyklu pogadanek, a tymczasem Kostyk... Może teraz każda minuta jest droga? Może z nim coś się stało? Nie wiadomo czemu zdawało mi się, że z pewnością musiało się coś stać.

— Muszę już iść — wstałem z fotela.

— A szkoda, tak miło się nam rozmawiało.

— Do widzenia — ręką ująłem już klamkę.

— Miło mi było poznać pana — uśmiechnął się na pożegnanie prelegent.

Przestąpiłem próg i odetchnąłem z ulgą.

I mimo wszystko nie mogę stąd po prostu tak sobie odejść. Są jeszcze inni sąsiedzi. Ktoś musi przecież wiedzieć, dokąd pojechał Kostyk. Nie myślałem nawet, po co mi to jest potrzebne, co właściwie zrobię, dowiedziawszy się, gdzie on jest, ale dręczyła mnie niepewność, przez którą przebijało się pełne trwogi przeczucie: z chłopcem stało się coś niedobrego.

Na głos dzwonka wyjrzała babcia. Wycierając ręce o fartuch, zaprosiła mnie do mieszkania.

— Nie, ja tylko na chwilę — więcej nie miałem odwagi wchodzić do obcych ludzi.

— Pan z administracji? Już byli, wszystko zapisali.

— Ja ze szkoły. Czy nie wie pani, dokąd wyjechał Kostyk Botawski?

— Gdybym wiedziała — sama pojechałabym po niego.

— Co więc robić?

— Wejdz — pociągnęła mnie za rękaw babcia.

Zaprowadziła do kuchni, przepraszając:

— Zięć śpi, idzie na nocną zmianę, więc my już jakoś tu...

W kuchni apetycznie pachniało pieczonymi jabłkami i dopiero

teraz poczułem, jaki jestem głodny, od samego rana nic w ustach nie miałem.

Staruszka jakby usłyszała, że przełknąłem ślinę, uniosła przewróconą do góry dnem białą emaliowaną miskę — pod nią stało rumiane ciasto. Odkroiła kawałek i, położywszy na spodeczku, podsunęła do mnie.

— Jedz.

Nie próbowałem nawet odmawiać.

— Myślałam, że Kostyka poczęstuję — zasmuciła się staruszka. — Często go podkarmiałam. Nie chciał jeść, taki zawzięty, honorowy. Wstydził się. Za ojca. I że głodny — też się wstydział.

— Dokąd zawiózł go Mykoła Łarionowycz?

— To nie on go zawiózł, i w tym kłopot.

— A kto?

— Kola, no Mykoła Łarionowycz, znaczy, zawiózł żonę do Leningradu. Mówią, że tam leczą tego... Język nie poruszy się, by nazwać tę straszną chorobę, aż stwardniał... Może jednak leczą? Och, żeby tak. Ja jemu mówiłam i tak, i siak. No po co ci, Kółka, te baby ze swoimi modłami? Zamroczenie, zamroczenie tylko, ja stara — wiem. A jak bez tej ciotki Marfy? Przecież to krewna. Czy mógł wiedzieć, że ona tak ich otumani? I co on teraz widzi przez tę zieloną flaszkę?... Chłopczyka, mówię mu, oszczędź, dobrego masz chłopca, nie każde dziecko dziś takie ciche i łagodne. A Kola, myślisz, że nie żałował go? Ale przecież on tak kocha tę swoją Olę! Tak kocha! Myślałam sobie, że on Kostyka zostawi, ja wzięłabym go do siebie czy u niego w domu doglądałabym. Zabrała go ta ciotka Marfa, z Humania jest czy z Sum, nie dosłyszałam. Wczoraj pożegnaliśmy się. A już dzisiaj, kiedy obudziłam się rano, coś mnie jakby tknęło. Przypomniałam sobie, że ciotka tu sprowadzała jakieś ciemne baby. Cóż teraz będzie? Ona ogłupi to dziecko...

Staruszka martwiła się tak szczerze, że przepełniły mnie jeszcze większe obawy o Kostyka. Wyobrażałem go sobie, zadręczonego, szczutego, na kolanach w kącie. Ten kąć nie wiedzieć dlaczego wyobrażałem sobie jako wilgotny i brudny...

— Co tu robić? Gdzie go szukać?

— Nie wiem, nie wiem — westchnęła babcia. — Mówiłam już zięciowi, żeby popytał.

— A sąsiedzi nie wiedzą?

— Którzy? Ten tam — wskazała ręką w stronę mieszkania prelegenta. — Gaduła. Zawsze tylko... A czemu by nie zapytać Romcia?

— Kto to?

— Mieszka na prawo od nas. On był nauczycielem, może i coś doradzi. Tylko jego teraz nie ma w domu. Młody, z dziewczyną poszedł... Taka ładna dziewczyna, jeszcze młodsza od niego. Przychodzi do naszego Romcia. No, kim ja jestem dla niej? A przy spotkaniu tak grzecznie się wita. Ją też trzeba zapytać — może słyszała coś.

Babcia narzuciła na ramiona żakiet i wyprowadziła mnie na podwórze.

— I w szkole powiedz, komu należy, dyrektorowi albo jeszcze komuś. Tylko nie zapomnij o mnie, jeśli czegoś się dowiesz.

Iwan Iwanowycz nie ukrywał swego zdenerwowania. Raz po raz dotykał nosa i pomrukiwał.

— Wszystko? Więcej już nic nie wiesz? — zapytał, kiedy zakończyłem swoją opowieść o Kostyku.

— Nie.

— Przegapiliśmy! — gniewnie wykrzyknął dyrektor. — Nie uchroniliśmy.

— Ależ ja...

— Mówię nie o tobie. Sam jestem winien. Dobrze, idź. Jeżeli będziesz miał jakieś nowe wiadomości o Botawskim — do mnie. Ja tu skontaktuję się, z kim będzie trzeba.

Już w progu przypomniałem sobie o zebraniu klasowym i zatrzymałem się.

— Iwanie Iwanowyczu...

— Co tam znowu?

— Przeprosiliśmy Semena Panasowycza.

— Wiem.

— Więc...

— Odpisać ci grzechy? Wydać indulgencję? — oczy jego zwięzły się. — Sam sobie odpisuj. Jasne?

Kiwnąłem głową i wyszedłem.

Nie, tego grzechu nie wykreśliłem. Pewnie miał rację Pawło

Andrijowycz: takich rzeczy się nie zapomina. Najbardziej uderzyło mnie, jak gimnastyk przyjął nasze przeprosiny. Zmieszał się, zarumienił i jakoś po chłopięcemu, niezgrabnie machnął ręką.

— Nie domyślam się nawet, jak o tym się dowiedzieli — już niemal sam nas przeproszał. — Nie chciałem przecież...

Kiedy wyszliśmy z sali gimnastycznej, Igor — zawsze taki lekomyślny i skłonny do żartów — rzekł z mroczną miną:

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyśmy wszyscy zaraz zaczęli kwiczeć... Świnie!

Asymetria uczuć

Na moje dzwonienie długo nikt nie odpowiadał. Ale dochodziły mnie hałaśliwe głosy, więc zadzwoniłem jeszcze raz.

— Idę! — usłyszałem i zbaraniałem, słysząc ten głos. Jakaś słuchowa halucynacja...

Po chwili do słuchowej halucynacji dołączyła jeszcze wzrokowa: drzwi otworzyły się — przede mną stała Tala.

— Co tu robisz? — zapytałem niedorzecznie.

— Przyszedłeś, żeby to ustalić? — sucho odezwała się Tala.

Opanowawszy się, powiedziałem:

— Potrzebny mi jest gospodarz.

— Wejdz.

W czasie całej wędrówki przez korytarzyk dosłownie przesładowały mnie słowa babci z sąsiedniego mieszkania: „Przychodzi do naszego Romcia...” Przychodzi, przychodzi, przychodzi. Nigdy nie myślałem, że słowo może tak boleśnie stukać w skroń. Wstał i wyszedł mi na spotkanie wysoki człowiek, który siedział plecami do wejścia, więc od razu go nie poznałem.

— Proszę — pytająco patrzył na mnie.

Gotów byłem podskakiwać do sufitu — taka niewymowna radość rozpieła mi piersi. Przecież to Roman Romanowycz. Nasz dawny nauczyciel rysunku. Oczywiście, Tala przychodzi do niego — któż o tym nie wie? Przychodzi... Jak bardzo różnie mogą brzmieć słowa...

— Dobry wieczór! — szczęśliwie uśmiechając się, przywitałem się z gospodarzem.

— Witam. Pan do mnie?

— To Walerij Tkaczuk — rzekła Tala. — Czyż go pan nie pamięta? On jest przecież z naszej klasy.

— Jakoś nie przypominam sobie — zmarszczył czoło Roman Romanowycz.

— A ja pana dobrze pamiętam — uśmiechałem się doń, nadal. — I teraz... Przyszedłem, bo radzono mi zwrócić się do pana.

— O, stary znajomy! — usłyszałem radosny okrzyk i dopiero teraz dostrzegłem prelegenta Harnyhę, który zamęczał mnie wczoraj swoimi kazaniami. Był w tej samej zmiętej piżamie, tylko do tego wcisnął na siebie czarną jarmułkę, od której jego twarz zaokrągliła się jeszcze bardziej.

— Witam pana — kiwnąłem głową w jego stronę.

— Młodzieńcze — rzekł prelegent — jeśli nie ma pan pilnej sprawy, proszę pozwolić nam z Romanem Romanowyczem dokończyć naszą rozmowę.

— Chodźmy — wzięła mnie za rękę Tala i powiodła w kąt pokoju, gdzie stały dwa plecione fotele.

Nad jednym z nich wisiał obrazek: słońcezniki na tle białej chaty.

— Twój? — zapytałem.

— Aha, od tego wszystko się zaczęło. A jaką masz sprawę do Romana Romanowycza?

Opowiedziałem jej o Kostyku, o koszałkach-opałkach gadatliwego prelegenta, o babci. Oczywiście, przemilczałem to, że starszka uważa ją niemal za narzeczoną Romana Romanowycza.

— Wątpliwe, czy on coś wie o chłopcu — powiedziała Tala — on przecież ostatnio częściej bywa w Kijowie niż tutaj. Mają tam zatwierdzić jego projekt kompleksu obiektów sportowych. Pracuje bez przerwy. A tu jeszcze przyplątał się ten Harnyha. Pamiętasz, jak na zebraniu mówiłam o człowieku, który przepisuje swoje prelekcje z broszurek?

— On?

— Aha. Teraz właśnie przygotowuje odczyt o zabytkach architektury i przychodzi do Romana Romanowycza na konsultacje. Żeby już tylko pytał, ale nie — on wyklada... Tylko posłuchaj.

— Architektura powołana jest służyć człowiekowi — wyrecytował Harnyha. — Tym bardziej nasza, socjalistyczna. Na ostatnim zjeździe architektów...

— I do kogo pan to mówi? — wyrwało się Tali.

— Wiem, że Roman Romanowycz był delegatem tego forum budowniczych — zwrócił się w naszą stronę Harnyha. — Mam nawet zamiar zaprosić go na mój odczyt, niech po moim występie podzieli się wrażeniami.

— Nie, nie! — zaczął machać rękami Roman Romanowycz. — Absolutnie nie mam czasu.

— Obcowanie z masami zawsze jest cenne dla twórcy — pocuczająco oświadczył lektor.

— Pański przykład o tym mnie przekonuje — kiwnął twierdząco z nadzwyczaj poważną miną Roman Romanowycz.

Ale Harnyha jednak odczuł ironię i z wyrzutem pokiwał głową.

— Nie wszyscy przecież mogą być twórcami, ktoś musi wziąć na swoje barki nielekki ciężar popularyzacji. — Zamilkł na chwilę i odpowiedział szpilą na szpilę: — Jednak pańskiej „Romaszki” nie mógłbym popularyzować.

— Dlaczego? — oburzyła się Tala.

— Wyjaśnię. Siedzisz za szklanymi ścianami, wszyscy z zewnątrz cię widzą — nic tylko głowę pod obrus chowaj.

W jego słowach była pewna racja, zrobiło mi się nawet przykro, że Harnyha jakby odgadł również moje zdanie na ten temat.

— Po co się ukrywać? — ostro zapytał Roman Romanowycz. — Jeżeli krępuje kogoś przebywanie wśród ludzi, niech siedzi w domu. Projektowałem przecież nie łaźnię, lecz kawiarnię.

— Po co zaraz się obrażać — odezwał się prelegent. — Może i ma pan rację, tylko ja nie rozumiem tego nowoczesnego stylu.

Roman Romanowycz nic na to nie odpowiedział, przespacerował się po pokoju, zatrzymał się koło nas. Jego szczupła nerwowa twarz była napięta.

— Wybuchnie — szepnęła do mnie Tala. — Już widzę — wybuchnie.

— A co pan rozumie? — obrócił się do Harnyhy.

— W ogóle? — tamten dobrodusznie rozłożył ręce.

— W danym przypadku — w architekturze. Już mi uszy spu-

chły od tych pańskich narzekañ na nowoczesny styl. Nie podoba się kawiarnia — wypij pan swoją butelkę piwa w domu. Nie podoba się budynek — nie mieszkać pan w nim.

— Romanie Romanowyczu — błagalnie spojrziała na niego Tala.

— Nic się nie stało, Talu, trzeba przecież kiedyś zakończyć tę dyskusję. — Usiadł naprzeciwko Harnyhy. Milczał przez chwilę. — Nie znam takiego architekta — odezwał się cicho — takiego uczciwego architekta, którego nie bolałoby oglądanie standardowych budynków. Ale co można zrobić? Gdzie jest wyjście? Najprościej byłoby pozbyć się problemu, odgrodzić się parawanem klasycznych wzorców: oto jak kiedyś budowano... A ja nie chcę! I nie mogę! Bo tysiące ludzi czeka na przydział mieszkania. Tak, szablon to już nie sztuka. I architektura przestaje być sztuką, kiedy się powtarza. I na tym polega dramat twórcy... Ale co tu dużo mówić!

Harnyha chciał początkowo coś zaprzeczyć, ale Roman Romanowycz już nie wypuszczał inicjatywy ze swoich rąk.

— Nie, my nie odrzucamy przeszłości, jednak zawsze pamiętamy, że zbudować jeden pałac, nawet genialny, jest łatwiej, niż sto budynków mieszkalnych. A wychwalać klasykę, szanowny Heorhiju Serhijowyczu, jest nietrudno, oceniono już ją i bez nas.

Słuchałem Romana Romanowycza i spoglądałem na Talę. Coś nowego, czego jeszcze nie znałem w niej, intrygowało mnie.

— Talu, ja już sobie pójdę — powiedziałem nieoczekiwanie dla samego siebie.

— Co? — nie odwracając się do mnie, zapytała Tala.

Tymczasem Roman Romanowycz wziął z półki książkę i zawołał nas z Talą.

— Patrzcie, to jest Erechtejon. Maleńka świątynia w Atenach. — Otworzył książkę na zdjęciu. — Większość ludzi o niej nie wie. Słyszeli o Akropolu, Partenonie. Ostatnio znowu czytałem o tej maleńkiej świątyni. Wiele myślałem. Na czym polega sekret doskonałości architektury Erechtejonu? Nikt nie może dać na to odpowiedzi. Tak, ona jest asymetryczna. Tak, ona burzy wszystkie kanony. Utwierdza w przekonaniu, że symetria, dążeń-

nie do matematycznego ładu jest niczym w porównaniu z tym pięknem.

— W jakim stosunku pozostaje to do naszej rozmowy? — przypomniał o sobie prelegent.

— W żadnym — spokojnie odezwał się Roman Romanowycz. — Jeżeli patrzeć powierzchownie. A w końcu... Dlaczego ja myślę o tej maleńkiej świątyni? Nie wiem. Rozszyfrowana tajemnica budowy cząsteczki dała chemikom klucz do polimerów. Może Erechtejon to cząsteczka architektury? Może jest to droga do polimerów architektury?...

— Po co wszystko komplikować? — zwrócił się do nas z Talą Harnyha. — Symetria, asymetria...

Oczywiście, prelegent szukał poparcia, sprzymierzeńców: uczniowie, wiadoma rzecz, będą po jego stronie, bo gdzie im do tak złożonych kategorii, w których sam Roman Romanowycz dotychczas nie rozeznał się ostatecznie.

— Wy też tak sądziecie? — zapytał nas Roman Romanowycz.

— Jest pan przecież moim nauczycielem — łagodnie uśmiechnęła się Tala.

— Nie wiem — odezwałem się niepewnie. — Ale przyszła mi, nie wiem czemu, na myśl poezja. U Tyczyny jest wiersz, który bardzo lubię. Tam jest również, jak to pan mówi, asymetria. Proszę posłuchać.

Kołysały się flety
Tam, gdzie zniknął słoneczny krąg.
Na paluszkach
Podkraść się wieczór,
Pozapalał gwiazdy.
Na trawach tumany rozścielił
I, położywszy na ustach palec —
Legł.
Kołysały się flety
Tam, gdzie zniknął słoneczny krąg.

— To przecież Erechtejon! — zawołał Roman Romanowycz. — Cudowna harmonia asymetrii.

— Wynikałoby więc, że precyzja, symetria — to już nie sztuka? — odezwał się Harnyha.

— Ależ nie! Proszę mi wybaczyć, ale pan znowu niczego nie zrozumiał. Przecież nie każde naruszenie symetrii — to już sztuka... Tak samo, jak sama w sobie symetria... Gdzie są te złote szale równowagi?...

— No, do widzenia — poprawił jarmułkę prelegent. — Dziękuję za konsultację.

Roman Romanowycz odprowadził go do drzwi. Wróciwszy, zapytał mnie:

— Proszę mi powiedzieć, czy nie moglibyśmy o pańskiej sprawie porozmawiać na ulicy? Pospacerujmy, dobrze?

— Pospacerujmy — odpowiedziała za mnie Tala. — Tylko pan, Romanie Romanowyczu, niech ubierze się ciepłej, bardzo się ochłodziło...

— Co ja bym począł z moimi nerwobólami, gdyby nie ty? — zaśmiał się. — Gdzie to ja podziałem czapkę?

— Jest na szafie, w pudełku po torcie — powiedziała Tala.

Wiedziała o nim dokładnie wszystko. Niepokoiła się o niego. Patrzyła na niego tak, że nagle poczułem się zbędny. Jeszcze czepiałem się myśli, że to niemożliwe, niewiarygodne: uczennica i dorosły człowiek. Ale z nieubłaganym okrucieństwem przeprowadziłem obliczenie: siedemnaście i dwadzieścia osiem. Tak, on przyszedł do naszej szkoły prosto z uczelni — dwadzieścia dwa; od tego czasu minęło sześć lat. A gdyby nawet różnica była większa?

To było najtrudniejsze w moim życiu zadanie. Nie cyfry, oczywiście, ale to, co musiałem uświadomić sobie, zrozumieć.

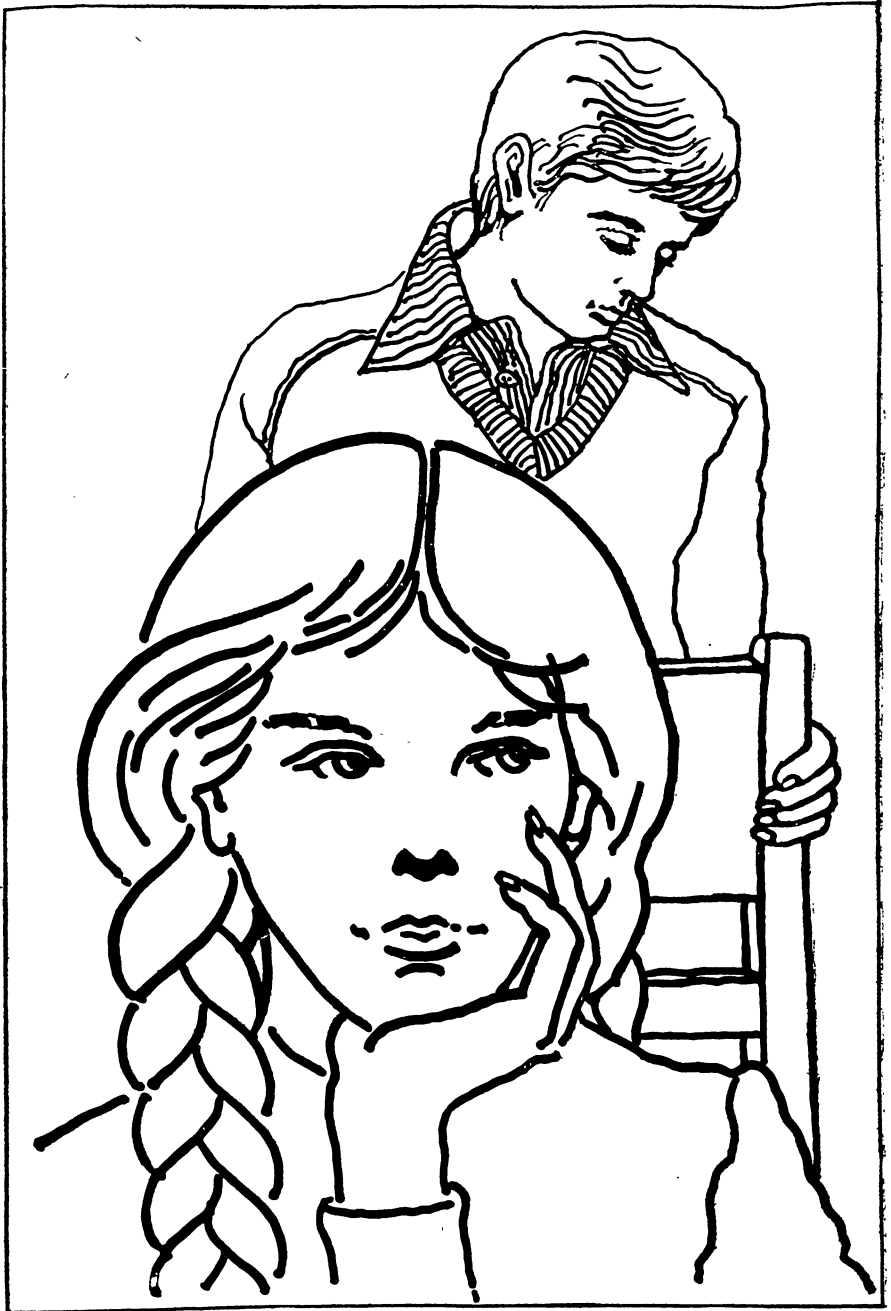
Pomyślałem również o tym, że i tu jest jakaś asymetria. I różnica wieku, i ja — trzeci, kiedy im obojgu jest tak dobrze, i gorzyc z powodu wszystkiego, co przeżywałem. Zdziwiająco jasna gorzyc, czego dotychczas nie mogłem sobie wyobrazić... gorzyc i światło... Asymetria uczuć.

Kiedy wyszliśmy z domu, zostałem z tyłu na kilka kroków, spojrzałem w ślad za nimi.

Miał na sobie rudą uszankę z renifera...

Zatrzymałem się.

Oni tego nie zauważyli.



A ona pokochała...

Następnego dnia przyjechała do nas Julka.

Przyszła do nas na godzinę przed odjazdem pociągu i wesoło powiadomiła o swoim zamiarze budowania jakiegoś celulozowo-papierniczego kombinatu. Okazuje się, że właśnie tego brakowało jej do pełni szczęścia.

— A szkoła? — groźnie zapytał tata.

— Rzuciłam.

— Na kilka miesięcy przed zakończeniem? Będziesz żałowała po fakcie, ale wtedy będzie już za późno. Jeszcze jest czas.

— Nie, nie wrócę.

— Julio, nie jesteś dla mnie obcym człowiekiem — zasepił się tato. — Co ja powiem twojej matce?

— Nic jej nie trzeba mówić, ja już do niej napisałam.

— Co spowodowało taki pośpiech? Czyżbyś nie mogła skończyć nauki? Felczerzy potrzebni są również na budowie.

— A ja nie chcę być felczerem! — ze sztuczną wesołością wykrzyknęła Julka. — Ja nie chcę opatrywać ran i robić lewatyw! Ni to zachichotała, ni to chlipnęła.

Tato i mama spojrzeli po sobie.

Dotychczas mama nie uroniła ani słowa. Ona, oczywiście, cieszyła się, że Julka jedzie, ale teraz szybko zakrzętnęła się — to tak do niej niepodobne — i prawie serdecznie zaprosiła ją na kolację.

— Pojesz, a ja ci na drogę coś przygotuję.

Julka błysnęła do mnie śnieżnobiałymi zębami, ale był to jakiś żalorny uśmiech — oczy patrzyły rozpaczliwie smutnie.

— Dziewczyno! — oburzał się tata, przemierzając krokiem pokój. — Dziewczyno! Oto dla ciebie, Waleriju, wzorzec zbrodniczej lekkomyślności.

I zaczął wyjaśniać, że dzisiaj ochrona zdrowia straciła jednego specjalistę, na którego tak liczyła: przecież każdy student, każdy uczeń technikum jest liczony w ewidencji, włączają go do określonych planów.

Nie zwracałem uwagi na jego słowa, przysłuchiwałem się rozmowie w kuchni. Rozmawiano tam szeptem. Głos mamy brzmiał łagodnie, tylko czasem można było w nim usłyszeć różne nutki.

— Julio, ty mówisz prawdę? — nagle głośno zapytała mama.

— Jak ciocia może? — głucho odezwała się Julka.

I znowu szeptę.

Przeczuwałem za tym wszystkim coś poniżającego dla Julki, a nie wiedziałem, co robić. I w ogóle, czy ja powinienem coś robić? Właściwie, co ja mogę? Wbiec do kuchni i nakrzyczeć na mamę? Ale ja przecież nigdy nie powiedziałem jej żadnego ostrego słowa. I nie powiem. Tylko dlaczego ona obraża Julkę? A że obraża — nie było co do tego żadnej wątpliwości: głos mamy brzmiał coraz katégoryczniej, był coraz bardziej wymagający. Przypomniałem sobie, jak zobaczyła nas z Julką, kiedy całowaliśmy się... Jej obce spojrzenie... To zdarzenie i ta rozmowa miały jakiś związek. Ale jaki? Czyżby... Od samej myśli o tym twarz moja zapłonęła rumieńcem i pochyliłem głowę, chowając się od taty.

— Julio, powiesz mi prawdę?

— Jaka prawdę?

Dotychczas Julki prawie nie było słyhać, a teraz zadrzałem: jej głos był bezbarwny, rozpaczliwy i jakiś pęknięty. Tak nie pasowało to do niej, zawsze takiej hałaśliwej, skłonnej do żartów i kpinek, że nie mogłem już spokojnie wysiedzieć.

— Tato, nie można. Powiedz mamie, że tak nie można.

Ale mama właśnie sama uchyliła drzwi.

— Porozmawiaj z Walerijem. Jeżeli ta milczy, to on musi...

I w tej chwili do pokoju wbiegła Julka. Zakryła twarz rękoma.

— Jak wam nie wstyd... — łkała. — Jak wam nie wstyd...

Schwyciła walizkę i rzuciła się do wyjścia.

Skoczyłem za nią.

— Waleriju! — krzyknęła mama.

— Nie ruszaj ich — usłyszałem wzburzony głos taty.

Julka, nie oglądając się, zbiegła ze schodów.

Na ulicy było już ciemno.

— Julko! — zawołałem cicho.

— Czego chcesz? — usłyszałem obok.

Stała, oparłszy się o ścianę, i przyćmiona lampka nad bramą oświetlała ją od tyłu. Nic nie odpowiedziałwszy, patrzyłem na nią. Moje oczy oswoiły się już z ciemnością i wtedy ujrzałem, że jej oczy aż po rzęsy nabrzmiały łzami. Płakała jakoś dziwnie: twarz

pozostawała spokojna, tylko z rzęs skapywały krople i powoli toczyły się dalej po policzkach. Julka jak dziecko zlizywała je w kącikach ust. W milczeniu otarłem strumyczki łez na jej policzkach i wziąłem od niej walizkę

Julka odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Kroczyłem obok i spoglądałem na nią z ukosa. Chciałem powiedzieć jej jakieś miłe słowa, ale nie odnajdywałem ich.

— Nie obrażaj się na mamę.

— A ty wiesz, co ona wymyśliła?

— Ja wszystko rozumiem, Julko.

Zatrzymała się i szybko odwróciła się do mnie. W świetle latarni jej twarz była nienaturalnie blada, zmęczona. A w oczach miała taki ból, że mimo woli pogłaskałem jej rękę.

Julka uśmiechnęła się z wdzięcznością i uściśniła moje palce.

— Och, jakie to wstrętne...

— Nie myśl o tym.

— Kiedy ona dała mi jeść, o mało nie zemdlałam, a ona... Ja przecież dwa dni nic nie jadłam.

— Dlaczego?

— Całe stypendium straciłam na bilet, to przecież tak daleko...

— Dokąd jedziesz?

— Ze mną nikt jeszcze tak nie rozmawiał — nie mogła zapomnieć obrazy Julka.

— Ale dokąd ty jedziesz? — usiłowałem odwrócić jej uwagę od tej rozmowy.

— Jakie to ma znaczenie?

Teraz Julka szła nieco z tyłu, nie chciała chyba, żebym widział jej twarz. A ja znowu szukałem dla niej miłych słów. I nie znajdowałem.

— Na dworzec pójde sama.

— Pójde z tobą.

— A ja nie chcę. I do tramwaju też pójde sama. Postójmy razem.

Zatrzymaliśmy się na skwerku rencistów, za dnia tutaj nasi „chutoriańscy” dziadkowie i babcie wygrzewają się na ławeczkach.

— Usiądźmy. Na drogę.

Posłusznie usiadłem koło niej.

— Walerku, czy wiesz, kto jest winien temu, że jadę?

— Kto?

— Ty.

— Ja?

— Aha, ty. Może już nie pamiętasz, jak mówiłeś mi, że człowiek musi wybrać najważniejszą sprawę swego życia raz i na zawsze.

Nie, nie zapomniałem. Pamiętam, jak sprzeczailiśmy się. Julka przekonywała mnie, że bez powołania można być również całkiem porządnym fachowcem. Każdy bowiem jest w stanie opanovać dowolny zawód. A z czasem, kiedy już będziesz pracować, pojawi się również smak do tej roboty. Ja z pasją zaprzeczałem, że to nie tak, że nie można skazywać siebie na szarą egzystencję.

— Nie przekonałeś mnie wtedy.

— A cóż stało się teraz? Czy już wiesz, do czego masz zdolności?

— Nie. Ale wiem, że trzeba szukać. Siebie. Choćby przez całe życie.

— Cóż cię o tym przekonało?

— Powiedziałeś wtedy, że sprawa, której poświęca się siebie, jest jak miłość. Ona powinna być jedna, tylko jedna na całe życie.

— Myślę tak również teraz.

Odsunęła się ode mnie i odwróciła.

— Bo nie wiedziałam, co to takiego — miłość. A teraz...

— Julko...

— Milcz. Ty nic nie możesz powiedzieć. I niczego nie trzeba.

— Wstała. — To wszystko. Jadę.

— Odprowadzę cię.

Nachyliła się do mnie, spojrzała mi w oczy i, jakby natknąwszy się na niewidzialną barierę, uśmiechnęła się smutno.

— Powiedz mamie, dzieciaczku, że cię kocham.

— Głupia.

— Głupia — zgodziła się Julka.

Wzięła walizkę i, nie odwracając się, odeszła.

— Julko!

— Już pożegnaliśmy się, Walerku.

— Napiszesz do mnie?

— Nie.

Patrzyłem w ślad za nią i nie mogłem pojąć, dlaczego stoję w miejscu, dlaczego nie idę za nią.

Dlaczego zrobiło mi się lekko, kiedy ona roztopiła się w mroku? Lekko i smętnie zarazem.

Światła obcych okien

Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się coś takiego — żebym od razu tyle utracił. Pojechała Julka, odeszła Tala, zaginał Kostyk — drodzy mi ludzie — i odczułem teraz jakąś duchową pustkę. Nic — ani książki, ani kino, ani moi koledzy Szkiper i Woroniuk — nie mogło wypełnić tej smętnej pustki.

I co najbardziej krzywdzące — nie opuszczała mnie świadomość własnej bezsilności: stałem niby gdzieś z boku, nie będąc w stanie nic zrobić. Wszystko było takie niepewne, takie niewyraźne. Tylko jedyna Julka wniosła jasność w nasze stosunki. Od Tali nie ma przecież czego oczekiwać. Chociaż tu zgadzam się na niepewność, niech już tak będzie. Ale wystarczy mi tylko pomyśleć o Tali — przede mną pojawia się jej twarz, zwrócona do Romana Romanowycza, i już znika ostatnia kropla niepewności; gotów jestem uciec na kraniec świata, aby nie widzieć jej, nie słyszeć jej głosu. Ale ona codziennie siedzi obok mnie w ławce, i mogę tylko w myśli od niej uciekać...

Następnego dnia, po tym wieczorze u Romana Romanowycza, Tala zapytała, gdzie to ja znikłem, bo podobno mnie szukali. Mogłem tylko udawać, że wierzę. Cóż, na jej kłamstwo wymyśliłem, że spotkałem znajomego; to ją w zupełności zadowoliło. A zresztą pytała tylko z uprzejmości.

Niekiedy wydaje mi się, że pomyliłem się, że nic takiego się nie stało, że wszystko to sobie wymyśliłem; wystarczy tylko zaprosić Talę, a ona chętnie będzie chodzić ze mną do kina, na zabawy taneczne. Ale już nie próbowałem zapraszać. I z każdym dniem niewidoczna bariera między nami wyrastała wciąż wyżej i wyżej. Niewidoczna — to tylko tak się mówi, ale ja dobrze widziałem ją, tę barierę. Powstawała ona z niezauważalnych dla

postronnego oka kamyczków: to Tala wyszła ze szkoły beze mnie... to nie zwróciła uwagi, że nie poczekałem na nią na przystanku tramwajowym... to, obróciwszy się do mnie, jak przedtem bywało, wybiegła na korytarz podczas dużej przerwy...

Dziwnie ciągnęło mnie tam, gdzie spacerowaliśmy kiedyś z Talą. Szczególnie do lasu, do naszego ustronia koło garbatej lipy. Ale nic interesującego teraz tu nie znajdowałem, nic mnie nie poruszało, po prostu włóczyłem się ścieżkami, nie wiedząc, czego właściwie tu szukam. Zdziwiłem się nawet, kiedy zauważyłem, że w lesie mniej teraz było błękitu — zieleń opanowała wszystko dookoła, pozostawiając błękitowi tylko wysokość nad koronami drzew; kiedy drzewa są nagie, to i wśród konarów prześwieca powietrzna przestrzeń błękitu. I tylko w pobliżu garbatej lipy, obok której już zupełnie wiosennie płynął strumień, zamarłem zaniepokojony: wydało mi się, że usłyszałem głos Tali.

A wieczorem zdobyłem się na haniebny krok. Chociaż przekonywałem siebie, że idę do tego domu, aby znowu zapytać o Kostyka, w głębi ducha wiedziałem: spodziewam się rzeczy niewiarygodnej. Korciło mnie, aby spotkać Talę i Romana Romanowycza i zobaczyć, że między nimi nic nie zaistniało, że to tylko moje przywidzenia...

Nie spotkałem ich. Z daleka patrzyłem na okna pierwszego piętra, gdzie raz po raz zapalały się światła. Kiedy na dworze zupełnie się ściemniło, podszedłem bliżej, prawie do samych krzaków, odgradzających kwietnik przed budynkiem. Gdzież jest okno Romana Romanowycza? Zdaje się, że to. Nie. A może ono wychodzi na ulicę? Nie mogłem nawet poruszyć się, wystarczy mi już tej hańby. Jednak nie odrywałem oczu od okien. Wydawało mi się, że wszędzie widzę Talę... Nigdy nie myślałem, że jestem do czegoś takiego zdolny. Piekący wstyd przygniatał mnie, ale ja ciągle stałem i stałem, wpatrując się w obce okna.

— Walerku! — zawołał ktoś obok.

— Czyżby to do mnie? Och, lepiej byłoby zapaść się teraz pod ziemię...

— Walerku! — podbiegła do mnie Katia Sapiha.

— Co ty tu robisz? — wydusiłem z siebie.

— To, co i ty.

— Nie rozumiem — rzekłem zupełnie już zdezorientowany.

— Wprowadziliśmy dyżury — nie zauważyła mojego zmieszania dziewczynka. — Każdego wieczoru ktoś przychodzi. Może przyjedzie tato Kostyka?...

— A... — odetchnąłem z ulgą, rad, że podpowiedziała mi wyjście z niezręcznej sytuacji.

— Od dawna tu jesteś? — spytała Katia.

— No, czekam...

— I co, nie przyjechał?

— Chyba nie.

— Jutro moja kolejka — ze smutkiem rzekła Katia. — Teraz Syropczyk dyżuruje.

— Po co więc przyszedł dzisiaj?

— Przychodzę co wieczór... — odwróciła się Katia.

To są te maluchy.

— Nie przeżywaj tak, Katiu, odnajdziemy Kostyka. Iwan Iwanowycz wszystkich na nogi postawił.

— Kiedy znajdą? — zapytała przez łyż.

Od czasu kiedy wywieziono Kostyka, trublainowcy ani razu nie zbierali się na zajęcia. Upłynął dopiero tydzień, ale nie czas się tutaj liczył: rozumieliśmy, że teraz najważniejsze to — odnaleźć kolegę i pomóc mu. Kostyk, chudziutki chłopczyna o zdziwionych oczach i cichym głosie, nagle okazał się tym sercem naszego towarzystwa, bez którego stało się niemożliwie kontynuowanie sprawy, w imię której utworzyliśmy naszą grupę. Przecież on nie tak zwyczajnie odszedł od nas — wtedy byłoby po prostu przykro i nic więcej — jego spotkało nieszczęście. Jakie tu mogą być ważne sprawy? Tylko jedna — ratować. Niby na jakąś wyspę wyrzucił los naszego małego kapitana i załoga żyje niespokojną troską — odnaleźć ten nieznaną skrawek ziemi.

— Katiu! — poznałem głos Syropczyka.

— Jestem tu.

Mykoła wyszedł zza krzaków. Ujrzawszy mnie, przywitał się. O nic nie pytał.

Po raz pierwszy nie widziałem na jego twarzy uśmiechu.

— No, czego się dowiedziałeś? — zapytałem go.

— Nie ma nikogo, w oknach ciemno. Dzwoniłem nawet, ale mnie przepędzono. Ich sąsiad.

— W pasiastej piźamie?

— Aha.

— A ty znasz okna mieszkania Kostyka? — zapytałem i przypalałem się na tym, że myślę o swoim.

— Oczywiście. Piąte od ulicy, to z tej strony. A stąd — trzecie od lewej, tam jest kuchnia.

Dobrze, pomyślałem sobie, mieszkanie Romana Romanowicza jest czwarte, więc jego okna, to pewnie te — raz, dwa...

— Na nic to się zda! — przerwałem sam swoje rozważania. — Tato Kostyka pojechał na długo, zawiózł jego mamę do Leningradu. Iwan Iwanowycz skontaktował się z leningradzkim wydziałem oświaty, prosił o odszukanie szpitala, w którym ona się leczy, i o rozmowę z ojcem. Może z tego coś wyniknie.

— A jeżeli on nie powie, gdzie jest Kostyk? — spytała Katia.

— Iwan Iwanowycz ma nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Poczekamy kilka dni.

— A ile? — z nadzieją patrzyła na mnie Katia.

— Pięć, sześć.

— Tak długo! — zawołała z rozpaczą. — Ale przecież trzeba coś robić!

„A co robić?” — to ja pytałem samego siebie. I myślałem o czymś innym. Nie, o czymś innym i o Kostyku także — o wszystkim, co teraz przeżywałem; i znowu odczułem w sobie smętną pustkę.

— Dziadzio już przygotował wspomnienia o Trubłainim — przerwał moje myśli Syropczyk. — On może do nas przyjść, ale lepiej niech to będzie, kiedy już wróci Kostyk.

— Naturalnie, kiedy Kostyk powróci! — odezwała się Katia. — On przecież odnajdzie się, prawda, Walerku?

— Z pewnością, odnajdzie się — potwierdziłem, ale sam już nie bardzo wierzyłem własnym słowom.

Wybierz tylko właściwą drogę

Na dużej przerwie przybiegła sekretarka dyrektora i zabrała Bżyńskiego do Iwana Iwanowicza. Nie było w tym nic dziwnego, bowiem Łewko Bżyński to nasz przewodniczący komsomołu. Mając jednak w pamięci ostatnie zebranie, kiedy starosta przyszedł po rozmowie z dyrektorem, mogłem spodziewać się wszystkiego.

I kiedy Bzyński wrócił od Iwana Iwanowycza i wywołał mnie na korytarz, przygotowany byłem już na najgorsze.

Łewko zakomunikował, że przyjechali nauczyciele szwedzcy i pragną spotkać się z grupą absolwentów.

— Iwan Iwanowycz polecił wziąć także ciebie — bez szczególnego entuzjazmu oznajmił Łewko.

Współczułem mu. Jak mógłby się zdobyć na entuzjazm? Przecież ja w żadnych olimpiadach udziału nie biore, chyba tylko w sportowych. W dyskusjach na temat przyjaźni i miłości wykazuję wyłącznie pisemną aktywność — wysyłam do prezydium karteluszeki.

Za ostatni liścik wypędzono mnie z wieczoru. Zainteresowałem się, dlaczego lektorzy bez końca cytują, pożądane byłoby usłyszeć ich własne zdanie, bo przecież cytować to i my potrafimy, i przytoczyłem przykład: Z cudzego konia i w pół drogi zsiadaj...

— A jeżeli ja nie pójdę? — zapytałem. — Bierzcie Ohudka, Pipina-jeszcze-krótszego, a i ty sam jesteś encyklopedystą.

— Jeśli o mnie idzie, to ja bym ciebie zwolnił — szczerze wyznał Łewko — ale wzięliśmy matematyków, fizyków i chemików z naszych klas. Potrzebny jest literat. Lidia Ołeksijiwna, mówiąca między nami, była przeciwna twojej kandydaturze.

— Wspaniale! — ukryłem za tym okrzykiem poczucie obrazy. — Ja jestem też przeciwny mojej kandydaturze.

— Ale Pawło Andrijowycz mówi — tylko Tkaczuk.

— On tak powiedział? — ucieszyłem się.

— I Iwan Iwanowycz jest za tobą. Więc uważaj.

— Będę.

— Co będziesz?

— Uważać.

— Nie mam ochoty na żarty, Tkaczuk! — oficjalnym tonem oświadczył Łewko.

Wspaniały chłopak z tego Bzyńskiego. Biegamy z nim w jednej sztafecie, ja na pierwszej zmianie, on — na trzeciej. I śpiewa wysmienie. Cóż, szkoda tylko, że przestał występować w koncertach od razu, jak tylko wybrano go na przewodniczącego.

— Łewku, zapytałem — a czemu ty już nie śpiewasz?

— Jak to — nie śpiewam? — zdziwił się.

— Na wieczorkach artystycznych.

— I czym ty sobie głowę zawracasz? — oburzył się Bzyński.
— Taka odpowiedzialność, taka odpowiedzialność, a ty... Chodźmy.

Aż poczerwieniał z przejęcia. Ale z tym jest mu do twarzy. Taki wysoki, barczysty brunet, podobny z czegoś do naszego nauczyciela gimnastyki. Chyba właśnie z tego rumieńca na cały policzek.

W sali konferencyjnej gromadzą się nasi szkolni erudyci. Trochę przestraszeni, skupili się koło sceny, gdzie stoi długi stół, zasłany obrusem z zielonego sukna.

Przyłączyłem się do nich.

— O co będą pytali? — niepewnie obejrzała się Zinka Kowzyk z dziesiętej B.

— Ty sprowadzisz wszystko do teorii względności, to ci dobrze wychodzi — uspokoiłem ją.

— A ty do poezji twojego kochanego Tyczyny — odcięła się natychmiast.

— Słusznie, będę czytał jego wiersze w języku szwedzkim.

— A znasz szwedzki? — zapytał Charytosza Skulski. Nie dlatego, że uwierzył, nie jest taki głupi — po prostu chętnie przekomarzaliśmy się, by opanować tremę.

— Więc posłuchaj — rzekłem i zacząłem deklamować: — „Salming, Edberg, Olberg i Erikson. Chelusta — Jans! Tre Krunur”.

— Ale jesteś sprytny! — roześmiała się Zina. — Przecież to szwedzcy hokeiści.

— Pozwólcie mi uścisnąć waszą dłoń — ukłoniłem się z szacunkiem.

— Za co?

— Po raz pierwszy widzę dziewczynę, która zna nazwiska sportowców.

— A Nela Horodnyk?

— O, to aż dwie dziewczyny od razu! A może jeszcze ze dwóch chłopców się znajdzie. Nawet jeśli Charytosza weźmie mnie na barana, nie zdołam jej...

— Pocałować — uprzedziła mnie Zina.

— Oberwałeś? — zarechotał Skulski.

— Ciszej! — obejrzał się Bzyński. Stał na progu i co chwila podbiegał do nas, dopingując nas gestami i okrzykami.

— Milczymy — zrobiłem do niego wielkie oczy. Bzyński wysunął się przez drzwi i odskoczył gwałtownie.

— Idą! — zawołał nerwowo, ochryplym głosem. — Siadajcie przy stole, zachowujcie się niewymuszenie.

On sam piekł raki.

Usiedliśmy przy stole, wszyscy w jednym rzędzie. Było nas ośmioro. Niewymuszenie znieruchomieliśmy na swoich miejscach.

Na stole leżały stosiki błyszczącego papieru, starannie zatemperowane ołówki. Pośrodku stały butelki z wodą mineralną i kilka szklanek.

Okrutnie zachciało mi się pić.

— Lewku, można? — wskazałem na butelkę.

— Coś ty?! — aż zatrzęsł się cały.

— Przywitajcie gości! — usłyszeliśmy głos Iwana Iwanowycza i wstaliśmy z miejsc.

— Dyrektor, uśmiechając się delikatnie, przepuścił przed sobą Szwedów. Co chwila nie wiedzieć czemu powtarzał: „Pardon”.

Było ich czworo. Energiczna młoda kobieta w wielkich okularach, mężczyźni ubrani w czarne garnitury, starannie uczesani. Kiedy usiedli naprzeciwko nas, przyjrzałem się im uważniej. Dwóch było już w podeszłym wieku, u jednego z nich widniał na lewym policzku fioletowy pieprzyk — jak plamka atramentu. Dosyć dobra cecha charakterystyczna dla pedagoga... Trzeci — całkiem jeszcze młody, jasnowłosy, z szeroko osadzonymi pod wypukłym czołem oczyma.

— Przyjaciele — rzekł jasnowłosy — pewnie już wiecie, w jakim celu was zwołano.

Okazało się, że to tłumacz. Wymienił swoje nazwisko — Kyczak.

— Tak, oni są poinformowani — potwierdził Iwan Iwanowycz. I chociaż uśmiechnął się po tym, zauważyłem na jego twarzy cień niepokoju.

— Cóż, doskonale, ułatwiliście mi pracę — odezwał się Kyczak. — Mogę tylko dodać: nasi szwedzcy goście to ludzie o postępowych poglądach. Przynajmniej dwoje z nich. I jeśli niektóre ich pytania wydadzą się wam dziwne, nie doszukujcie się w tym żadnych podstępów.

Zwrócił się do kobiety, coś powiedział do niej. Ona zaś kiwnęła na swego sąsiada, mężczyznę z plamką.

Ten obrzucił nas wzrokiem, szybko zapytał o coś.

— Pana Lindgrena interesuje — przetłumaczył Kyczak — co wy wiecie o jego ojczyźnie?

Lindgren, Lindgren... Skąd ja znam to nazwisko? Nie myślałem o pytaniu — intensywnie przypominałem sobie.

Tymczasem Zina Kowzyk już odpowiadała. Precyzyjnie, jak na egzaminie, sypała cyframi, nazwami geograficznymi.

— Obszar Szwecji — czterysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, ludność — ponad osiem milionów mieszkańców, stolica — Sztokholm, jeden milion trzysta pięćdziesiąt tysięcy z hakiem...

— Co to hak? — przerwał jej Szwed. Znał trochę nasz język.

Tłumacz długo objaśniał to słowo.

— Proszę im powiedzieć, że hak może być różny — podpowiedziała Zina — w danym przypadku — pięć tysięcy ludzi.

Nareszcie goście pojęli sens słowa i wesoło roześmieli się.

Ale najbardziej ucieszył się Iwan Iwanowycz... Początkowo nawet zmartwił się tym hakiem i z wyrzutem patrzył na Zinę. Teraz z aprobatą kiwał do niej głową.

— Dobrze — odezwał się mężczyzna z fioletową plamką. — Jestem zadowolony z odpowiedzi. Dziękuję.

Zwrócił się do kobiety, a ta, chytrze przymrużywszy oczy, powiedziała kilka słów.

— Pani Bergman pyta, kto z was tańczy szejka?

Tego się nie spodziewaliśmy. Zaskoczeni, nie wiedzieliśmy, co mamy mówić.

— Przecież uprzedzałem — powiedział tłumacz — że pytania będą różne, żadnego związku między nimi nie szukajcie. Tak więc...

Szwed, który siedział obok Lindgrena, człowiek o suchej białej twarzy, powiedział coś z wyraźnym niezadowoleniem.

Tłumacz — widać to było — usprawiedliwiał się.

— Pan Stern jest zagniewany, uważa, że ja wam pomagam — szybkoitko wyjaśnił Kyczak i cicho dodał: — A niech go diabli...

Roześmieliśmy się.

Wśród gości powstał gwar. Tłumacz ich uspokoił.

— Powiedziałem im, że wy wszyscy tańczycie szejka.

— Prawie tak jest istotnie — potwierdził Łewko.

Ale tu zaraz padło nowe pytanie.

— Pani Bergman chciałaby wiedzieć, czy jesteście już tacy biedni, że nie macie swoich własnych tańców?

Zapadła cisza.

Iwan Iwanowycz zaniepokojony poruszył się na krześle.

— Widzicie — spokojnie rzekł Charytosza — kiedy do Szwedów przyszedł szejk, oni, jak sędzę, swoich chłopców i dziewcząt o to nie pytali. Dlaczego my mamy stanowić wyjątek? A nawiasem mówiąc, mamy wiele swoich tańców. Ale szejk też nam się podobą.

Wysłuchawszy odpowiedzi, pani Bergman zaczęła się uśmiechać.

— Ona słyszała, że zachodnia moda jest u was zabroniona.

— Dlaczego? — spytał Charytosza. — Ja na przykład noszę szwedzkie buty.

Przy stole zrobiło się weselej.

Pan Stern swoim pytaniem przerwał jednak ten nastrój wesołości. On nie rozumie bowiem czegoś, o czym przecież wie — że młodzież radziecka wychowywana jest w duchu nieprzejednania wobec wszystkiego, co zachodnie.

— Nie, to nie jest tak — wyrwałem się.

— A jak?

Zaschło mi w gardle, ale wiedziałem, co mam do powiedzenia. Patrząc w oczy blademu panu, starałem się jak najspokojniej wyłożyć swoją myśl. Nie, nieprzejednani jesteśmy nie wobec wszystkiego, co zachodnie — opowiadanie Ziny Kowzyk o Szwecji jest tego dowodem. I nie należy przeszkakiwać z tańców na politykę. Kiedy na Zachodzie kupują nasze maszyny, to, prawdopodobnie, niezbyt obawiają się, że będą one przenosiły idee komunistyczne. A komunizmu okrutnie się boją, nie wszyscy oczywiście, lecz tylko bogacze. Tak samo i my nie uważamy, że Charytosza na swoich szwedzkich zelówkach będzie roznosił kapitalistyczne przekonania. Choć, nawiasem mówiąc, kapitalizmu nie obawiamy się.

Kyczak przełożył moje słowa i goście długo rozmawiali mię-

dzy sobą. Mężczyzna z plamką atramentu powiedział coś ostro do swojego sąsiada o bladej twarzy.

— Dosyć już o polityce — przełożył jego słowa Kyczak. — Pan Lindgren pyta teraz o coś innego. Za kilka tygodni kończycie szkołę. Czy wszyscy już wybrali przyszły zawód?

— Nie.

— Dlaczego?

— Gdyby już w szkole można było wybrać zawód, wiele gałęzi gospodarki pozostałoby bez fachowców.

To powiedział Myszko Chyżuk z dziesiątej B. Niepokaźny chłopiec z zadartym nosem, ubrany bardzo skromnie. Nie ma ojca, a mama pracuje jako sprzątaczką w naszej szkole.

— Pan Lindgren nie rozumie odpowiedzi.

Lindgren... Lindgren... No skąd ja znam to nazwisko?

— Wyjaśnię — Myszko obciągnął wytartą marynarkę. — Nie ze wszystkimi zawodami można zapoznać się w szkole. Powiedzmy, jakie mamy wyobrażenie o pracy operatora filmowego? A przecież kinematografia nie zostaje bez operatorów.

Ciekawie ten Myszko myśli o tym, co i mnie nurtuje.

— Zamierza pan zostać operatorem filmowym?

— Nie. Ja mówię o koledze z innej szkoły. Dwa lata już uczęszcza na zajęcia do Domu Twórczości Ludowej, jest tam amatorskie studio filmowe. Na republikańskim przeglądzie filmów amatorskich film Rai zdobył wyróżnienie. Mój kolega nazywa się Raja...

Myszko był wyraźnie speszony.

— A co może powiedzieć Chyżuk o sobie, o swoim wyborze?

— Mój przyszły zawód poznałem także nie w szkole.

— Jaki zawód?

Teraz w rozmowie brali udział wszyscy Szwedzi, zasypując Myszkę pytaniami.

— Ja będę pilotem lotnictwa wojskowego.

Wśród Szwedów powstał ożywiony gwar.

A my z powagą patrzyliśmy na Myszkę. Prawda, byłem trochę zaskoczony, że on, najlepszy w szkole matematyk, wybrał szkołę wojskową. Ale w końcu, dzisiejsze lotnictwo — to nie tabliczka mnożenia.

— Jeżeli zapoznał się pan z przyszłym zawodem nie w szkole, to gdzie, jeśli to nie sekret?

— Nie sekret. W aeroklubie. Na razie latam na szybowcu.

— Czy nie wydaje się panu — nie dawał spokoju Myszkowi Lindgren — że wybrał pan w zasadzie pozbawioną perspektyw profesję? Wyobraźmy sobie, za jakieś dziesięć—piętnaście lat narody porozumiewają się w sprawie pełnego rozbrojenia. Co pan wtedy będzie robił?

— Chciałbym, aby tak było — jakoś smętnie uśmiechnął się Myszko. — Mój tato był pilotem wojskowym. Zmarł od ran... jeszcze z wojny... Ponad trzydzieści lat chodził o kulach...

— Niestety, w sprawach rozbrojenia umawiają się nie narody, lecz rządy — powiedziała Zina Kowzyk.

— O, młoda pani jest dyplomatą! — zawołała Szwedka. — Może wybiera się pani do Instytutu Stosunków Międzynarodowych? Tak chyba nazywa się on u was?

Zina wzruszyła ramionami.

Dotknął mnie ironiczny ton pani Bergman.

— Proszę przypomnieć naszemu gościowi — zwróciłem się do tłumacza — że właśnie w Szwecji pierwszym posłem radzieckim była kobieta.

Okrzyki Szwedów nie wymagały tłumaczenia.

— O, Kołontaj*! — powtórzył kilkakrotnie Lindgren.

— A, mimo wszystko, co pan będzie robił, kiedy przestanie już istnieć lotnictwo wojskowe? — znowu zwróciła się z pytaniem do Chyżuka pani Bergman.

— Będę latał. Samoloty przecież zostają. A poza tym... Który z pilotów dzisiaj nie marzy o kosmosie?

Błąd pan Stern coś długo mówił do tłumacza. Ten nawet notował jego słowa. Potem zwrócił się do nas.

— Jak zrozumieli nasi goście, szkoła nie w pełni zadowala swoich wychowanków. Odnośnie wyboru zawodu. Musi więc istnieć konflikt między uczniami i nauczycielami. Ograniczone perspektywy, jakie daje wykształcenie średnie, powinny wywoływać u was niezadowolenie.

* Aleksandra Kołontaj (1872—1952) — radziecka działaczka ruchu robotniczego, od 1923 r. pełniła funkcję ambasadora kolejno w Norwegii, Meksyku, Szwecji

Widziałem, jak zaniepokoił się Iwan Iwanowycz.

A my milczeliśmy. Pytanie było wyraźnie obliczone nie na naszą skalę doświadczeń. Już szybciej mogliby na nie odpowiedzieć nauczyciele. A może właśnie nie? Przecież my zastanawiamy się nad wszystkim, co nas otacza. Czyż ten sam Myszek Chyżuk nie powiedział, że oprócz szkoły istnieją różne inne możliwości sprawozdania uzdolnień?

Nawiasem mówiąc, wcześniej jakoś o tym nie myślałem. Może dlatego, że moje powołanie było tu, w szkole...

— Nie ma podstaw mówić tu o ograniczonych perspektywach — odezwał się Lewko Bzyński. — Szkoła daje nam dostateczną ilość wiedzy, abyśmy mogli dokonać świadomego wyboru.

— A sam wybór? Jak go dokonać?

— Wyższe uczelnie prowadzą dni otwarte, zaznajamiają uczniów... Regularnie bywamy w różnych zakładach pracy, mamy patronów — kolektywy robotnicze. No, i kółka zainteresowań w szkole. I kółko młodych techników, i kółko młodych przyrodników. Pałac pionierów, gdzie sekcja preorientacji zawodowej zbiera życzenia absolwentów, ale nie tylko absolwentów, organizuje spotkania z fachowcami, wycieczki do zakładów przemysłowych...

Lewko mówił pewnie, ze znajomością rzeczy. Rzeczywiście, komitet komsomołu nie stoi z boku wszystkich tych spraw, które nurtują każdego z nas. I cieszyłem się, że słowa naszego przewodniczącego przekonały gości.

Kyczak przetłumaczył nam uwagę pana Lindgrena, że u nich, w Szwecji, takich możliwości uczniowie nie posiadają.

Wydało mi się, że koledzy Lindgrena nie bardzo są zadowoleni z jego wyznania.

Pan Stern zmarszczył się, mówiąc:

— W pewnej mierze to jest tak. W pewnej mierze, jednak nic nie usłyszeliśmy jeszcze o konflikcie między uczniami i nauczycielami.

— A co on może usłyszeć? — zwrócił się do tłumacza Charyto-sza. — Co może usłyszeć, kiedy nic takiego nie ma.

Bładolicy Szwed pokiwał głową:

— Czyżbyście byli zadowoleni ze wszystkich nauczycieli?

— Nie — odpowiedziałem i zląkłem się, spojrzawszy na Iwa-

na Iwanowycza. Usiłując nie spotykać się z jego wzrokiem, ciągnąłem dalej: — W każdym zawodzie są ludzie utalentowani i zwyczajni. A są także po prostu niezdary. Prawdopodobnie zawód nauczycielski nie jest wyjątkiem. Ale nie musi to być żadną przyczyną konfliktu, tym bardziej ze szkołą.

Lindgren potarł swoją fioletową plamkę i spytał, kim ja chcę zostać.

Lindgren, Lindgren...

— Nauczycielem.

— O, młodzieniec jest naszym kolegą! A czy jest przekonany, że będzie utalentowanym nauczycielem?

Oto jest pytanie! Można by odpowiedzieć, że wybierając sobie zajęcie bliskie sercu, człowiek nie zamierza być średniakiem. A w ogóle, czy można o sobie powiedzieć, że jesteś utalentowany? Milczałem przez chwilę. Goście patrzyli na mnie wyczekująco.

— Panie Lindgren, gdybym ja pana zapytał, czy jest pan utalentowanym nauczycielem, jak by to pan potraktował?

Szwedzi roześmieli się.

Pani Bergman poinformowała, że jej kolega pan Lindgren jest jednym z najznakomitszych pedagogów w Szwecji, prawdziwym talentem.

— Dobrze, że o panu Lindgrenie ma kto powiedzieć życzliwe słowo — powiedziałem — a ja niestety nie mam jeszcze kolegów.

I goście znowu się roześmieli.

Iwan Iwanowycz, poczekawszy, aż ucichnie śmiech, poprosił o głos.

— Niestusznie Tłaczuk uważa, że nie ma tu kto powiedzieć o nim.

I dyrektor opowiedział gościom o tym, jak pracowałem jako zastępowy, o moich trubłainowcach — tylko nazwał ich kółkowiczami. Powiedział też, że szkoła da mi rekomendację — skierowanie do instytutu pedagogicznego.

Wywołało to wśród Szwedów szczególne zainteresowanie.

— Więc szkoła może u was rekomendować do wyższej uczelni? I rekomendacja ta jest honorowana?

— Również komsomolska organizacja może u nas rekomendować do instytutów — podniósł się Bzyński. — Albo do zakładów,

albo na budowy, na komsomolskie budowy. I do szkół wojskowych.

Szwedzi pospiesznie notowali, zadawali dodatkowe pytania, znowu pisali.

Szczególnie cieszył się pan Lindgren.

Lindgren...

Przypomniałem sobie! Astrid Lindgren.

— Można? — podniosłem rękę.

— Bardzo proszę — kiwnął głową tłumacz.

— Czy nie jest krewną naszego gościa znana pisarka szwedzka Astrid Lindgren?

— Mój młody kolega zna Astrid Lindgren?

— U nas ją znają miliony uczniów.

— To bardzo miłe. Nie, ona nie jest moją krewną. Ale sprzymierzeńcem, bo jej książki przychodzą z pomocą nam, pedagogom.

— Między innymi — zwracałem się już tylko do Lindgrena, sądząc, że on lepiej mnie zrozumie — jeśli chcemy mówić o konflikcie między uczniami i nauczycielami, to nie od rzeczy będzie wspomnieć o Astrid Lindgren. W jej powieści „Fizia Pończoszanka” główna bohaterka Fizia nie tak znów bardzo szanuje szkołę. Sądzę, że ona po prostu protestuje przeciwko szkole.

Moje słowa wywołały lekkie zdenerwowanie u pana Sterna. Początkowo zaczął nacierać na Kyczaka, ale gdy ten chciał przetłumaczyć, przecząco zamachał rękami.

A pan Lindgren spokojnie uśmiechał się samymi kącikami ust i pomrukiwał: „Hm, hm...”

— Dobrze — powtarzał — dobrze. Astrid Lindgren to mój sprzymierzeniec.

— Czy wielu chłopców zamierza uczyć się w instytucie pedagogicznym? — przetłumaczył Kyczak pytanie pani Bergman.

— Oprócz Tkaczuka na razie nie wiem o żadnym chłopcu — odpowiedział dyrektor. — Za to wiele dziewcząt.

Do rozmowy włączył się znowu bladolicy pan Stern:

— Wiadomo, że zawód nauczycielski jest zbyt sfeminizowany. Czytaliśmy, że społeczeństwo wasze jest tym faktem zaniepokojone. Czy jest wyjście z sytuacji, jaka powstała?

— Co to jest sfeminizowanie? — szeptem spytała mnie Zina.

- Kiedy przeważają kobiety.
- Matriarchat?
- No, nie. Ale coś podobnego...

Iwan Iwanowycz strącił z czubka nosa niewidoczną pajęczynkę.

— Zaniepokojone, zupełnie słusznie. Jednak pytanie naszego gościa kryje w sobie jakiś dramatyzm. Czy jest wyjście z sytuacji? Po co tu mówić o wyjściu, wystarczy, że sytuacja ta zwróciła uwagę społeczeństwa. Jest to gwarancja, że będzie zrobione wszystko, co niezbędne. Bynajmniej nie umniejszając roli naszych nauczycielek, powiem: szkoła bardzo potrzebuje pedagogów-mężczyzn. Przecież tam, gdzie przeważają nauczycielki, wychowanie jest nieco jednostronne. Nie nauczanie, z tym kobiety wspaniale sobie radzą, lecz samo wychowanie. Naszym chłopcom, a i dziewczętom także, potrzebni są odważni wychowawcy, mężczyźni, którzy byliby dla nich wzorcem. Sądzę, że w najbliższym czasie instytuty pedagogiczne dadzą nam takich ludzi. Liczymy tu na komsomolską rekrutację.

— A co to jest komsomolska rekrutacja? — zainteresowała się Szwedka.

— Nasz przewodniczący Łewko Bzyński mówił już, że organizacje komsomolskie rekomendują chłopców i dziewczęta do nauki i do pracy. Otóż jeśli w jakiejś sferze występuje zapotrzebowanie na nowych specjalistów, komsomoł ogłasza rekrutację młodzieży. Wysyła najlepszych spośród najlepszych.

— A czy nie otworzy to drogi dla ludzi bez powołania?

— Nie, z doświadczenia wiemy, że komsomoł umie znajdować potrzebnych dla określonej sprawy ludzi.

Przez pewien czas rozmowa toczyła się wokół tego tematu, póki pan Lindgren jej nie przerwał. Uśmiechnąwszy się do mnie, jak-
to podsumował:

— Osobiście jestem przekonany, że rozwiązanie ten problem. Mój młody kolega jest dowodem tego. Miło mi, że pierwszy kandydat na pedagoga, jakiego spotkaliśmy u was, to młodzieniec. Szczerze życzę mu być nauczycielem, jakich chce mieć w szkole wasz szanowny dyrektor.

Potem jeszcze z pół godziny odpowiadaliśmy na różne pytania, ale wydało mi się, że goście już stracili zainteresowanie. Przy-
najmniej pan Stern i pani Bergman.

— A jak odpoczywacie? — zapytała dość obojętnie.

— Urządzamy wieczorki.

— Tańczymy.

— Śpiewamy.

— Jacy są u was najpopularniejsi piosenkarze?

Wymieniliśmy piosenkarzy, zespoły.

Tłumacz wyjaśnił, że pani Bergman jest specjalistką od wychowania estetycznego dzieci.

Widzisz ją, pomyślałem sobie, niby zajmuje się estetyką, a zostawiła ją na koniec rozmowy. No, nic, my jej zaraz pokazemy. Nie wiedziałem jeszcze, jak przyjmą moją propozycję koledzy, a przede wszystkim Łewko, ale nie wytrzymałem.

— Może pani Bergman chciałaby posłuchać pieśni ukraińskiej?

— Dziękuję. Kupiłam kilka płyt.

— Ale ja nie proponuję płyty. Łewku, zaśpiewaj „Ręcznik wyszywany”!

Bzyński wytrzeszczył na mnie oczy i zasyczał:

— Co ty, zwariowałeś?

Ale Iwan Iwanowycz podtrzymał mnie:

— Dawaj, Bzyński, niech zobaczą, co umiecie.

Nie czekając na zgodę Łewka, pobiegłem na scenę, rozsunąłem kurtynę.

— Zino, siadaj — uniosłem wieko pianina.

Łewkowi nic innego nie pozostawało, jak tylko wyjść na scenę. Nie, wśród swoich komsomolskich spraw nie stracił jeszcze głosu. Jak on śpiewał! Ach, jak śpiewał!

Pani Bergman całym ciałem wychyliła się do przodu i nie odrywała oczu od naszego Łewka. A blademu Sternowi zmienił się nawet kolor twarzy.

— Bravo! Bravo! — długo klaskali w dłonie Szwedzi, kiedy Bzyński skończył.

— „Na kalinie mnie matula kołysała” — wykrzyknąłem, przypomniawszy sobie Julkę, jej występ w „Romaszce”. I już nie mogłem zatrzeć w pamięci jej promiennego uśmiechu, uwolnić się od odurzającego zapachu mięty. Co to znaczy? Czyż do tego stopnia jest mi jej brak?...

— Może wystarczy? — nieśmiało odezwał się Łewko.

— Dawaj, dawaj! — po naszymu wołali Szwedzi.

Łewko znowu zaśpiewał. Jeszcze lepiej, jeszcze pewniej.

A erudyci, nie umawiając się wcale, zgodnie podchwycili pieśń — i zapomnieliśmy już, że śpiewamy dla kogoś...

— Brawo! Brawo!

— Przetłumaczyć? — zapytał mnie Kyczak.

— Co? — nie pojąłem go.

— To słowo „brawo”.

Pani Bergman poprosiła tłumacza i razem udali się do Łewka. Usiedli koło pianina i zaczęła się między nimi nowa rozmowa.

— Kolego Kyczak — podszedłem do nich — ja zaraz coś powiem, ale proszę tego nie tłumaczyć. Łewku, uważaj, żeby ta pani nie spaliła cię na popiół swoim zakochanym wzrokiem.

— Walerku! — oblał się rumieńcem Bzyński.

— Pani Bergman pyta — mrugnął do mnie tłumacz — co pan powiedział przed chwilą?

— Proszę coś wymyślić.

— Do klas! Do klas! — dał komendę Iwan Iwanowycz. — Tylko pożegnajcie się z gośćmi. Bo ja was znam...

Uniósł rękę do nosa, ale w końcu nie stracił niczego: nie było tej niewidocznej, denerwującej pajęczynki. Dyrektor uśmiechał się z zadowoleniem.

List

„Witaj, Walerku!

W pierwszych słowach swego listu piszę, że jestem żywy i zdrowy, czuję i Tobie życzę.

Zawieźli mnie tu, do Humania, i nawet na ulicę nie wypuszczają. A dzisiaj wyszedłem przez okno i udałem się na spacer. Właściwie nie tyle na spacer, ile poszukać poczty. Żeby wysłać list do Ciebie. Przecież więcej nie mam do kogo. Tato zawiózł mamę do Leningradu, a co tam u nich się dzieje — nie wiem. A ciotka Marfa trzyma mnie w domu i mówi, żebym modlił się przez cały czas, bo moi rodzice są wielkimi grzesznikami, a ja będę ich «odkupieniem». A co to takiego «odkupienie»? Ja myślałem, że trzeba coś kupić, i spytałem ciotki, ale ona mnie zbiła.

A jakimi oni są grzesznikami? Czy mama zachorowała przez

to, że nie wierzyła w Boga? I tato nie pił przed jej chorobą nigdy, i nie bił mnie. Czemu ta ciotka kłamie? Dlaczego ona przeklina? Dlaczego przyprowadziła wczoraj złych wujków i ciotki, aby oni mnie straszili? Dlaczego obstąpili mnie i zaczęli wykrzykiwać jakieś głupie słowa? Nie zapamiętałem tych słów, bo przestraszyłem się bardzo. Tylko jedno słowo zapamiętałem «Izydi» *.

Szczególnie gorliwy był główny wujek, cały taki czarny i straszny. Szturchnął mnie palcem i aż chrząkał «Izydi».

A wszyscy oni za nimi krzyčili tak samo. A ja wiem, że Izyda — to bogini w starożytnym Egipcie, uczyliśmy się tego. Dlaczego on krzyczał o niej?

Ja niczego nie rozumiem, boję się. Więcej nie wrócę do ciotki, bardzo się boję.

Przekaż pozdrowienia Kati, a także Stasykowi, wszystkim trubłainowcom. Ciebie również bardzo serdecznie pozdrawiam, bo nikogo już teraz nie mam.

A pocztę odnalazłem. Tu jest tak jasno i dużo ludzi, że jeszcze posiedzę i popatrzę na nich...”

Rozmowa z matką

— Waleriju, ty nigdzie nie pojedziesz!

— Pojadę, mamó. Jutro rano. Razem z Iwanem Iwanowyczem. Nie przejmuj się — do Humania jest niedaleko, pojutrze wrócimy!

— Czyżby dyrektor sam nie mógł przywieźć tego chłopca?

— Iwan Iwanowycz prosił mnie, abym z nim pojechał, bo niezbyt dobrze zna go z widzenia. Kiedy pokazałem list od Kostyka...

— Po co ci mieszać się do tej historii?

— Mamó, nie zabraniaj mi, bardzo proszę. Przecież czytałaś ten list.

— W porządku, rozumiem — niepokoi cię los chłopca. Ale niech to będzie ostatnie powierzone ci zadanie.

— To nie zlecenie, ja sam...

* Izydi (starosł.) — wyjdź!

— Nie zapominaj, że masz teraz taki trudny rok. Nie zdążysz zdać egzaminów szkolnych, a już — wstępne do instytutu. Przecież wcale nie będziesz miał lata, musisz przyłożyć się do chemii, fizyki. Weźmiemy korepetycje.

— Mamo, niepotrzebne mi są chemia i fizyka.

— Potrzebne, pójdiesz na medycynę.

— Nie.

— Pójdiesz!

— Wybacz, mamo, nigdy ci się nie sprzeciwiałem, ale teraz nie ustąpię.

— Walerku, czy naprawdę nie widzisz, na co siebie skazujesz? Teraz nie masz spokoju przez jakiegoś chłopca i on jest tylko jeden, a będziesz miał takich wielu. I jeszcze pojedziesz na wieś, bo przecież gdzie mogą cię skierować po instytucie pedagogicznym?

— Mamo, czy słyszałaś cokolwiek o Suchomłyńskim?

— Kto to?

— Był taki nauczyciel. W obwodzie Kirowogradzkim. On właśnie został akademikiem, nie opuszczając ojczystej wsi.

— Naiwnie uważasz, że i ciebie czeka taka droga?

— Dlaczego naiwnie? Ale ja nie o tym chciałem mówić. Byłem kiedyś w lesie z moimi dziećkami i Kostyk, no ten, który napisał do mnie z Humania, takimi oczyma patrzył na brzozę... takimi oczyma, że ja... Jeszcze nie umiem wyrazić słowami tego, co czuję. Ale jak ucieszyłem się, kiedy przeczytałem u Suchomłyńskiego o tym, co odczuwałem wtedy w lesie! Posłuchaj, przepisałem to sobie. „Za najszcześniejsze chwile swojej pracy uważam te chwile, kiedy dziecięca dusza prosi o słowo, szuka i odnajduje wyraziste, barwne, upojne odcienie, rodzi się obraz poetycki”.

— Dziecięca dusza... Ty sam jesteś jeszcze dzieckiem! Walerku, jak można patrzeć na wszystko przez różowe okulary? Przecież to wieś — bodaj w niej mieszkało stu akademików — wieś, i to wszystko. Błoto — ni przejść, ni przejechać. W gumowych butach będziesz chodził... Boże mój, przecież to reumatyzm!

— Nie przejmuj się, jestem zahartowany — jak każdy jog.

— Jogu mój nieszczęsny, i kiedy ty wreszcie staniesz z głowy na nogi?

- Stoję, mammo. Mocno stoję.
- Daj spokój. Czy ja nie widzę? Przewrócić ci w głowie przecieź nietrudno — jesteś dzieckiem. Ot, choćby i Julka...
- Mammo!
- Nie krzycz na mnie. Kto wie, czym to by się skończyło, gdyby ona nie wyjechała.
- Mammo, już raz ją obraziłaś, po co jeszcze zaocznie?...
- Lerku, ty ją kochasz!
- Nie...
- Przecieź widzę.
- Nie ją...
- TALE?
- Nie mówmy o tym...
- A ona?
- Proszę cię, nie trzeba...
- Może przez nią właśnie uciekasz?
- Gdyby u nas była pedagogika, zdawałbym tu.
- Lerku, a jeżeli się mylisz? Może nie jest ci potrzebna ta pedagogika?
- Dawno już postanowiłem.
- Jak tato przeżywa...
- Już rozmawiałem z nim.
- I co z tego? On jeszcze dotąd ma nadzieję, że się rozmyślisz.
- Mówisz tak, jakbym zamierzył coś złego.
- Tato zawsze myślał, że będziesz kontynuował jego dzieło. A ty przecieź wiesz, jakim on jest lekarzem. Przyjechał kiedyś Amosow, oglądał jego operację. Potem powiedział, że takie ręce, jakie ma twój tato, zdarzają się raz na stulecie. A tato: „Niedługo, profesorze, ujrzy pan jeszcze lepsze ręce”. Amosow zainteresował się, czyje. „Mojego syna” — odpowiedział tato. I wiesz, co powiedział na to Amosow?
- Co?
- Że przyjedzie na twoją pierwszą operację.
- Wygląda na to, że tato nie chce oszukać Amosowa.
- Głuptasie, on nie chce siebie oszukać. A przede wszystkim — nie chce, żebyś ty popełnił błąd.
- Mammo, uwierz mi, że jestem przekonany...

— A skąd masz taką pewność, że podjąłeś właściwą decyzję?

— Czuję to. I rozumiem. Sądzisz, że mało o tym myślałem? Sądzisz, że to kaprys? Ale nie będę mówił o sobie, przyjdzie czas — przekonasz się. Rodzice jeszcze uważają nas za dzieci, a my już żyjemy własnym życiem. Wiele już rozumiemy. I umiemy. Ot, choćby słoneczniki Tali. A czy tylko ona jedna odnalazła już siebie? Tylko u każdego jest z tym inaczej, każdy ma swój decydujący punkt. Pamiętasz, Pawło Andrijowycz mówił o powołaniu? Na spotkaniu ze Szwedami — opowiadałem ci o nich — jeden z chłopców oświadczył, że będzie pilotem. Rozmawiałem z nim później. Wiesz, jak on do tego doszedł? Łamał swój charakter. Okazuje się, że od dzieciństwa miał lęk wysokości, bał się nawet na balkon wychodzić. Wspinał się jednak na drzewa, na skały, całymi godzinami przesiadywał na krawędziach urwisk i zmuszał się, by nie zamykać oczu. Wysokość wyprostowała go. I stała się jego przyszlą profesją. A zaczęło się od tego, że było mu wstyd za samego siebie... No, a Igor Woroniuk? Nawet nie domyślałem się, że ma taką siłę woli. Lekkomysłny, prawie łobuz, a codziennie torturuje siebie ćwiczeniami. Przedwczoraj przyszedłem do niego, a jego mama dalej niż do przedpokoju nawet nie wpuszcza, bo Igor, mówi, znowu ma straszne bóle, głowa mu pęka. Od jego mamy właśnie dowiedziałem się. Igor kiedyś, jeszcze przed szkołą, jąkał się, ale go wyleczono. Ubiegłego lata jednak jękanie powróciło, nie bardzo widoczne, ale on przecież chce być artystą. Chodzi do lekarza, ćwiczenia zupełnie wyczerpują go, one powodują właśnie te bóle głowy. Ale Igor nie zmienia zamiaru, nie pragnie niczego innego... Mamo, my już wiemy, czego chcemy naprawdę.

— Ale dla nas pozostajecie mimo wszystko dziećmi, synku.

— Dorosłymi dziećmi.

— Od małych dzieci głowa boli, od dużych — serce... Co ci przygotować na drogę?

— Nic nie trzeba, my tylko tam i z powrotem.

— Założysz palto taty, bo jeszcze chłodno.

— Mówisz — dzieci. A palto taty na mnie akurat dobre.

— Urosłeś, a głowa...

— Co głowa? Czapka taty również pasuje.

— Daj spokój swoim żarcikom, nie do nich mi teraz. Na jeden dzień tylko cię wypuszczam i już czuję niepokój, a jak pomyślę, że na całe lata. Nie, nie dopuszczę do tego!

Przeczcucie słońca

Lubię miasto o świcie, kiedy już nie śpi, ale jeszcze też nie obudziło się do końca. W takich chwilach jest ono ciche jak wioska. Jest jak dorosły człowiek, który zmrużywszy powieki, wspomina w półśnie swoje dalekie dzieciństwo. Bo przecież miasto było kiedyś wsią — to jego dzieciństwo. Tak pięknie powiedziała o tym Tala swoimi słonecznikami!

Pierwsze dźwięki wygłuszone we mgle, nie przeszkadzają ulicom szeleścić gałązkami drzew. Niebo pojaśniało, ale jeszcze nie widać, czy jest czyste czy zachmurzone: gwiazdy pogasły, a słońce jeszcze nie wstało.

Ale ja czułem, że dzisiaj będzie słoneczny dzień. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Może to od pradawnych przodków, którzy żyli tak blisko przyrody, że całym swoim jestestwem odczuwali każdy jej ruch? Instykt, który przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Jakieś nie uświadomione przeze mnie spostrzeżenia. Powiedzmy kolor nieba i zapach powietrza. Albo młode listowie na starych kasztanach. Może w rozchylonych zielonymi dłońmi listeczkach jest coś takiego, co zwiastuje nadejście słońca i przekazuje odczucie światła człowiekowi?...

Myślę o różnych rzeczach, żeby zagłuszyć niepokój. Czy znajdziemy Kostyka? Iwan Iwanowycz jest przekonany, że znajdziemy. Nie szkodzi, że chłopczyk nie podał numeru budynku, najważniejsze — znamy nazwę ulicy, przy której mieszka. Dobrze. A jeżeli ciotka nie zechce go wypuścić? Iwan Iwanowycz mówi, że w radzie miejskiej udzielą nam pomocy. Ale przecież pojutrze jest Pierwszy Maja. Czy zdążymy przed świętem? A co, jeżeli Kostyk uciekł, z poczty nie wrócił jednak do ciotki?

Po raz pierwszy w życiu zważył się na mnie taki kłopot i z braku przyzwyczajenia nie potrafiłem o niczym innym myśleć.

Na placu Halickim już z daleka dostrzegłem naszych studentów-praktykantów. Stali z walizkami i torbami przy kasie, czekali oczywiście na autobus jadący na lotnisko. Chociaż nie pro-

wadzili lekcji w naszej klasie, znałem ich: przychodzili do nas na wieczorki. Dwóch chłopców i czworo dziewcząt, wszyscy z wydziału historycznego. Przez trzy tygodnie odbywali u nas praktykę i teraz odjeżdżają do domu.

Zatrzymałem się koło pomnika Suworowa i ukradkiem obserwowałem studentów. Czy za kilka miesięcy będę wśród nich? Aż trudno było uwierzyć, że jest to możliwe. Ale na uniwersytet nie pójde, słyszałem taką opinię: jeżeli chcesz być nauczycielem-praktykiem, a nie naukowcem, instytut pedagogiczny jest lepszy.

Nad grupą studentów o całą głowę górował ich kierownik. Z ożywieniem coś opowiadał, zadarłszy klinowatą bródkę. Ciekawy z niego człowiek. Początkowo, kiedy go zobaczyłem w szkole, zdziwiłem się nawet, że jest docentem, doktorem nauk historycznych — był człowiekiem tak bezpośrednim i dziwnym. Na wieczorkach tańczył z naszymi dziewczętami, demonstrował nam chińskie sztuczki — brał kiedyś udział w pracach wykopaliskowych na pustyni Gobi i tam się ich nauczył. Czymś przypominał on Pawła Andrijowycza, choć był wysoki i cienki jak tyka. A może tak mi się zdaje, bo najczęściej obcował z Pawłem Andrijowyczem, pracownię geograficzną uczynił swoją przystanią i całymi dniami w niej przebywał. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się od Pawła Andrijowycza, że docent Serhij Petrowycz Korba jest jego kolegą z uczelni, tylko młodszym o trzy lata. Nasz wychowawca dał nam poczytać książkę Korby „Nie wyjaśnione zagadki scytyjskich kurhanów”. Kiedy ją czytałem, było mi nawet żal, że historia nie pasjonuje mnie tak, jak literatura.

Nadjechał autobus lotniczy, zamknął w sobie Korbę i studentów. Po chwili odjechał. Na chodniku — ani żywej duszy. Tak, jakby w ogóle nie było tych ludzi, na których spoglądałem z zazdrością, jakby byli tylko malarskim wytworem mojej wyobraźni...

Przejąwszy plac, skręciłem w zaułek targowy — tędy bliżej do szkoły. Nie tylko bliżej, ale i cieplej. Wzdłuż całej niemal długości zaułka rozciąga się zbudowany niedawno kryty rynek. Można więc iść nie ulicą, lecz pod wysokim sklepieniem tej konstrukcji. Nawet w czasie najokrutniejszych mrozów tu można odnaleźć troszeczkę lata: nasze rodzime owoce, kaukaskie man-

darynki, granaty. I ogrzać się nieco. Wejdiesz głównym wejściem, chowając w szalu zsiniały nos, i wyjdiesz bocznymi drzwiami z nosem uszczęśliwionym, uspokojonym ciepłem i resztkami aromatów lata.

Teraz jest już ciepło, dokoła panuje prawdziwa, a nie targowa wiosna, ale ja z przyzwyczajenia zmierzałem utartym szlakiem. Odruch zimowy.

Ponadto chciałem sprawdzić, czy stoją jeszcze kosze na śmieci w kształcie bocianów, o których, idąc za radą Pawła Andrijowicza, napisałem notatkę i zaniósłem do redakcji. Publikować jej nie zamierzali, ale oświadczyli, że zajmą się tą sprawą, bo w zupełności podzielają moje oburzenie.

Danego słowa dotrzymani: pokrzywdzonych ptaków nie było... „Niech to będzie dobrym znakiem na dzisiejszy dzień” — pomyślałem.

Kroczyłem wzdłuż długiego straganu, na którym leżały piramidy pomarańcz i mandarynek.

Kupujących było mało — pora zbyt wczesna, i sprzedawcy prześcigali się, proponując mi swoje pachnące owoce.

Patrząc na pomarańcze, pomyślałem, że podobne są one do słońca. Słoneczniki także. Tylko inaczej, na swój sposób. W ogóle, ile to na ziemi jest maleńkich słońc! Złociste jabłka, żółte arbuzy, bursztynowe czereśnie, nawet najzwyczajniejsza cebulka... Chyba wszystko, co wspina się do słońca, wszystko, co żywi się jego ciepłem i światłem, chce być podobne do niego.

Przy wyjściu kupiłem pomarańczę. Wybrałem największą i najjaskrawszą. Dla Kostyka. Nawet tym zakupem usiłowałem przekonać siebie, że odnajdziemy chłopca.

Wyszedłem na ulicę.

Po mgłę nie pozostało ani śladu. Jasno, zupełnie majowo jasno świeciło słońce. Mimo wszystko nie pomyliłem się, przeczuwając, że dzień będzie słoneczny.

Stąd do szkoły już niedaleko.

Ale przyszedłem chyba za wcześnie. Na podwórku nie było nikogo, drzwi zamknięte.

Pokręciłem się koło wejścia i zawróciłem do okna gabinetu dyrektora. Było uchylone: pewnie Iwan Iwanowycz jest już na miejscu.

Może zawołać? Uśmiechnąłem się na myśl o tym, jak wołam dyrektora. Może jeszcze gwizdnąć?

Nie, wołać oczywiście nie zacząłem, ale wymyśliłem sposób na to, jak zawiadomić o swoim przybyciu. Pod klonem leżała pognieciona blaszanka, takimi maluchy grają w piekarza. Zacząłem więc ją kopać z lekka, jak piłkę.

Oczywiście, Iwan Iwanowycz zaraz wyjrzał.

— A, to ty — z niesmakiem obserwował kolejny lot puszki — powiedz mi, Tkaczuk, kiedy ty wydoroslejesz?

Nie będę mu przecież wyjaśniał, że to sygnalizacja, że tak chciałem go zawołać.

— Przepraszam — posłusznie rzekłem i przywitałem się: — Dzień dobry, Iwanie Iwanowyczu.

— Dobry. A poranek rzeczywiście jest dobry. Poczekaj chwilę, zaraz przyjedzie samochód, wydział oświaty daje nam swój.

I znikł w pokoju. Ale na krótko.

— Spójrz — wychylił się z kaktusem w rękach. — Nie jest to żaden pęcherzyk, lecz najprawdziwszy pąk.

— To co, zakwitnie? — spytałem.

— Możliwe...

Postawił kaktus na parapecie.

Nagle zapragnąłem bardzo, żeby Iwan Iwanowycz doczekał się swojego czerwonego kwiatu.

Spis treści

Przyjaciele	5
Zwyczajny szkolny dzień	14
Zimna Lilia	23
Załoga	27
Rosianka i gwiazdy	38
Wybór	41
Bez oceny	48
Obok cudownych dzieci	52
Czas wielkich nadziei i rozczarowań	55
Rozmowa z dyrektorem	60
Zebrańie rodzicielskie	71
Tato i mama	77
Wiosenny las	81
Wieczór rozrywek	86
Trublainowcy	96
Na zawsze komisarzem	102
Słoneczniki nad ulicą	105
Julka	112
Aprilisowe żarty	114
Alarm!	119
Rozmowa z ojcem	125
Kara	130
Rozmowa z nauczycielem	137
Klasa wre gwarem	139
Poszukiwania	142
Asymetria uczuć	147
A ona pokochała...	154
Światła obcych okien	158
Wybierz tylko właściwą drogę	161
List	174
Rozmowa z matką	175
Przeczcucie słońca	179

Redaktor
ANNA WALENKO

Redaktor techniczny
MARIA ENGLICHT

Korektorzy
EWA KORCZEWSKA
ALEKSANDRA DMOWSKA

ISBN 83-10-08474-9

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”

Warszawa 1983 r. Wydanie pierwsze.

Nakład 20 000+250 egzemplarzy.

Ark. wyd. 10,7. Ark. druk. A1 — 11,5.

Oddano do składania w marcu 1983 r.

Podpisano do druku we wrześniu 1983 r.

Druk ukończono w grudniu 1983 r.

Białostockie Zakłady Graficzne.

Białystok, Al. Tysiąclecia PP 2

Zam. nr 146/83 M-3

Cena zł 65,—

Bohater powieści, uczeń klasy maturalnej,
opowiada o życiu codziennym szkoły,
o wahaniach i niepokojach związanych
z wyborem zawodu, o miłości i przyjaźni.

1.02.84.

89/65